

**Prof. Jerzy
Bralczyk**

**JĘZYK POLSKI
W CZASACH
ZARAŻY
POLITYCZNEJ**



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300



CAPITOL

by night 

GORĄCA NOWOŚĆ!

PREMIERA
PAŹDZIERNIK 2023

autor
Peter Quilter

NASTĘPNEGO DNIA RANO

przekład
Elżbieta Woźniak

reżyseria Ewelina Pietrowiak

scenografia
Dorota Banasik

muzyka
Mateusz Dębski

teksty piosenek
Michał Wojnarowski

kostiumy
Aleksandra Reda

KATARZYNA SKRZYNECKA KAROLINA PIWOSZ MICHALINA SOSNA
PIOTR GAWRON-JEDLIKOWSKI MAREK KALISZUK KONRAD KORKOSIŃSKI KAMIL MRÓZ

• KUP

BILET
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

SAUNA



EIVIND
VULLUM

MCHY I
POROSTY

IMPROV
SESSION

vol. 1
2nd edition
sauna season 2023/2024

SPA2

Miśniewo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

Definowane po drodze Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach
programu Narodowego Centrum Kultury Kultury - Intensywne, Edycja 2023

Patroni Medialni

RMF
MAXX

onet

WZCZPISPOLITA

Polityka

Żywioty

ams

Familie.pl

Przebieg

Partnerzy Teatru

kicket

O bag

mokosh

ARTYWA
WARSZAWA

STREFA
MUSIC

mza

recman

www.kuchnia-warszawa.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl/5ec2ec4846



Wyłuskać wiarygodnych

Suweren, czyli my, naród, ma teraz swoje pięć minut. Przez kilka tygodni dla polityków będziemy najważniejsi. My, wyborcy. Przez cztery lata to wyborcy zabiegają o względy polityków. Proszą ich o to czy o tamto. Czasem żądają. Ale głównie są w roli petentów. Politycy wybrani przez suwerena mają bardzo krótką pamięć. I, jak się okazuje, dość słabe charaktery. Zbyt łatwo ulegają pokusom.

Choć, aby być uczciwym, muszę odnotować, że jest gromadka pamiętających o tym, że obietnic trzeba dotrzymać. A skoro są, to o nich trzeba pamiętać szczególnie w tej kampanii wyborczej. Pozostali budzą się po czterech latach i obrotownicy w piórka chcieliby kontynuować to, do czego kompletnie się nie nadają. Nie oszczędzą wyborcom żadnego kłamstwa, byle tylko zostać na Wiejskiej.

A zwykły wyborca nie wie, bo i skąd, że bierze udział w bardzo nierównym pojedynku. Z naszych podatków politycy opłacają tak szczegółowe sondaże, że wiedzą o nas prawie wszystko. W pierwszej kolejności to, co komu, jakiej grupie społecznej i zawodowej, trzeba obiecać, by dostać poparcie. Czyli głos włożony do urny. Mają też spore środki na inne wydatki. Na to, by specjaliści ukryli ich wady i nauczyli przyjaznych gestów. I grepsów, którymi można zaciekać słuchaczy i widzów. Sami niczego nie tworzą. Dostają wymyślone przez ekspertów hasła i programy wyborcze. Wielu polityków jako wkład własny ma jedynie nazwisko. Własne ma oczywiście

konto bankowe. Z regularnymi wpłatami. Bardzo trudno z takim dobrobytem się rozstać. Zwłaszcza że jeszcze mniej wymagającego pracodawcy nie da się znaleźć.

Zrobią więc wszystko i powiedzą wszystko, by jeszcze raz się załapać do parlamentu.

Takie media jak nasze muszą pokazywać ich kłamstwa i kombinacje.

Nie oznacza to jednak, że na listach nie ma wartościowych, sensownych i kompetentnych ludzi. Są. Trzeba ich jednak samemu znaleźć. Tej pracy nikt za nas nie wykona.

Tak jak pisałem w ubiegłym tygodniu, trzeba wiele trudu, by wyłuskać z list tych najwartościowszych. Tylko już potwierdzona wiarygodność kandydatki lub kandydata daje nadzieję na trafny wybór. A zapowiada się, że sytuacja po wyborach będzie taka, że może się liczyć dosłownie każdy mandat.

Te wybory są już pod każdym względem nieuczciwe. Tak brutalnej, bezwzględnej i finansowo nierównej kampanii jeszcze nie było. Za pieniądze podatników, czyli w większości za pieniądze ludzi chcących zmiany, rządzący próbują kupić sobie kolejną kadencję. Czy im się uda? To zależy, kto obudzi więcej ludzi z tych 40%, które zwykle nie głosują.

Nie zanosz się na trwale rozwiązanie. Po wyborach zostanie z tymi wszystkimi kłopotami, które nas dołują. Oby jednak z nową władzą.



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (3/2023)

ZDANIE

9 zł

„Troje na jednego”
z **ADAMEM BODNAREM**
„Cały czas pozostają
wyspy swobody”

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Język polski w czasach zarazy politycznej**
– rozmowa z prof. Jerzym Bralczykiem
- 12 Nic osobistego, tylko biznes**
Lukratywny interes na wizach
- 24 Strach się bać na drogach**
NIK o szkoleniu kierowców
- 28 W Polsce przespał się dyskusję o migracji**
– rozmowa z dr. hab. Pawłem Kaczmarczykiem
- 32 Ostatnia taka impreza**
Dni Świeckości w Krakowie

WYBORY 2023

- 16 Czy damy się wkręcić w polaryzację?**
– rozmowa z Marcinem Dumą
- 22 Pani senator na tropie**
Lidia Staroń wciąż ściga rzekomą mafię

ZAGRANICA

- 34 Polaryzacja po słowacku**
Ostra kampania wyborcza
- 38 Światowe centrum koksu**
Europa nie radzi sobie z narkotykami
- 50 Tureckie wakacje medyczne**
Szpitale przyciągają turystów

HISTORIA

- 42 Magnuszew, Czerniaków**
Platerówki w powstaniu warszawskim

OPINIE

- 46 Wiesław Krzywicki**
Kamienie na szaniec?

OBSERWACJE

- 54 Dom Charbielin z widokami**
Wina dobre, bo polskie

PSYCHOLOGIA

- 58 Samotność roznosi się jak wirus**
Nowe postrzeżenie miłości

KULTURA

- 61 Kulturalia**
- 66 Homo Sentiens**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Wyluskać wiarygodnych
- 15 Jan Widacki**
Dzieje się
- 21 Piotr Gadzinowski**
Starość to przyszłość
- 23 Andrzej Romanowski**
Moja mama umarła przez PiS
- 27 Stanisław Filipowicz**
Wolność i splendor pustej kieszeni
- 31 Roman Kurkiewicz**
Błaznaczak, Duda: Spocznij!
Odmaszerować!
- 37 Tomasz Jastrun**
Mięsista kość
- 53 Wojciech Kuczok**
Pręgiere i oltarze

16

WYBORY 2023

CZY DAMY SIĘ WKREĆĆ W POLARYZACJĘ?

– rozmowa
z Marcinem Dumą



OBSERWACJE

DOM CHARBIELIN Z WIDOKAMI

Wina dobre, bo polskie

58

PSYCHOLOGIA

SAMOTNOŚĆ ROZNO SIĘ JAK WIRUS

Nowe postrzeżenie
miłości



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5ec2ec4846

f Niechże opozycja pokaże kandydatów w Wejherowie

Jeżeli opozycja chce wygrać wybory w Wejherowie i w gminie Wejherowo, to niechże powiesi banery swoich kandydatów. Wszędzie wiszą w dużej liczbie wizerunki kandydatów PiS. Byłam dzisiaj we wsi Sopieszyno. Przy przystanku PKS jest długa bariera – i wiszą na niej banery PiS. Po kilka rządkiem. Jeden tylko z PSL. Ja nawet nie wiem, jacy są kandydaci w tym okręgu wyborczym.

Teresa Moza



f Na lewicy bez złudzeń

Problemem współczesnej lewicy jest brak spójności programowej i ideowej oraz jednostek wybijających się ponad przeciętność. Próżno szukać następców takich ludzi jak Włodzimierz Cimoszewicz – może i solista, ale człowiek konkretny i prawdziwy fachowiec w swojej dziedzinie.

Próżno szukać następców prezydenta Kwaśniewskiego czy premiera Millera. Mieli oni odmienne wizje, różne charaktery, ale potrafili współpracować ponad podziałami na rzecz państwa. I byli/są osobowościami. Kwaśniewski potrafił godzić naprawdę różne ideologicznie środowiska, starając się reprezentować cały naród. Zawsze cechował się jakimś magnetyzmem i luzem, którym zjednywał sobie ludzi. I prezentował wysoką kulturę osobistą. Tak, pamiętam o jego wpadkach.

Millera szanuję za nieprzejmowanie się poprawnością polityczną – chociażby w kwestii Wołynia – i niezależność poglądów od panującej w danej chwili narracji mediów głównego nurtu.

Włodzimierz Czarzasty na tym tle nie wypada zbyt imponująco. Pozuje na intelektualistę, ale niekoniecznie mu to wychodzi. Często jego przemówienia są podszyte bufonadą, a działania w efekcie finalnym prowadzą do podziałów i wykluczenia. A nie tędy droga.

Szanuję intelektualistów, którzy nie porywają może tłumów, jak marszałek Borowski, ale miewają coś interesującego i odkrywczego do zakomunikowania. Marek Borowski to zupełnie inna liga w porównaniu z Włodzimierzem Czarzastym. Zarówno pod względem intelektu, jak i kultury.

Z młodszych pokoleń dosyć ciekawie intelektualnie wydaje się Adrian Zandberg, ale z uwagi na swoje poglądy – w powszechnym odbiorze dosyć skrajne i nieprzystające do rzeczywistości – raczej nie wyjdzie poza swoją niszę.

Bogusz Dawidowicz

f PiS fałszywie gra na antyniemieckiej strunie

Irytuje mnie granie przez partię rządzącą na strunie antyniemieckości. Jestem germanistą i wiem, jakim partnerem gospodarczym są dla nas Niemcy. Sam fakt takiego zdobywania wyborców uważam za prymitywny. Skoro tak dobrze nam idzie jako państwu, zerwijmy wszystkie relacje z innymi krajami i to udowodnimy. A samo referendum i jego pytania to kolejna pułapka, która ma pomóc PiS dopełnić do wygranej. O kwestii Polonii już nie wspomnę. To świadczy o tym, że PiS nie ma już tak silnych atutów. Nikomu nie życzę takiej Polski, jaka jest teraz. Nie wierzę jednak w odebranie PiS władzy.

Kamil Wójcik

ZDJĘCIE TYGODNIA



Tańczyły dwa Michały. Potyczka słowna Michała Kołodziejczaka (Agrounia) i Michała Rachonia (TVP) przed budynkiem Telewizji Polskiej. Warszawa, 19 września 2023 r.

Prezydent Ukrainy **Wołodymyr Zełenski** nie mógł znaleźć czasu na spotkanie z prezydentem **Andrzejem Dudą** w czasie sesji ONZ w Nowym Jorku. Pewnie był zajęty przygotowaniem przemówienia, w którym ostro skrytykował Polskę za embargo na ukraińskie zboże. Trzeba było dopiero mediacji prezydenta Litwy **Gitanasa Nausėdy**, żeby do spotkania jednak doszło.

Policja tak dzielnie broniła wiecu premiera **Morawieckiego** w Otwocku, że gdy **Kinga Gajewska**, posłanka **PO**, zaczęła przez megafon mówić o aferze wizowej, zawleczono ją do radiowozu. Nie pomógł immunitet, bo z wykręconymi rękami trudno pokazać legitymację poselską.

8453 osoby aresztowano w Polsce w 2022 r. na mocy 23 tys. wystawionych wniosków prokuratorskich o zastosowanie tymczasowego aresztowania.

Według danych Urzędu ds. Cudzoziemców zezwolenie na pobyt w Polsce ma obecnie **804 tys. osób spoza UE** (w tym 486 tys. Ukraińców). Według Komisji Europejskiej w 2021 r. w całej Unii wydano 2,9 mln pierwszych zezwoleń na pobyt. Jedną trzecią (967 tys.) wydała Polska.

Polscy siatkarze zostali mistrzami Europy po wygranej 3:0 z Włochami w Rzymie. Podopieczni **Nikoli Grbicia** wygrali w tym roku także Ligę Narodów. Najlepszym siatkarzem (MVP) został **Wilfredo León**. Od Europejskiej Konfederacji Siatkówki Polska dostała 500 tys. euro.

Prof. Samuel Stranks, badacz optoelektroniki z Uniwersytetu Cambridge, został laureatem Europejskiej Nagrody Naukowej im. **Stanisława Lema**.

Jakub Nowak, pisarz specjalizujący się w fantastyce, za debiutancką powieść „To przez ten wiatr” dostał Nagrodę Literacką im. **Witolda Gombrowicza**. A wraz z nią 40 tys. zł i statuetkę.

Artur Zaborski, współpracujący z naszą redakcją, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni otrzymał nagrodę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w kategorii krytyka filmowa, „za łączenie działalności festiwalowej z profesjonalnymi relacjami filmowymi z różnych zakątków świata”. Gratulujemy.

Na promocję programu 800+ rząd wydał w czasie wakacji ponad 6 mln zł. Najwięcej zapłacono w Krotoszynie, gdzie był premier **Morawiecki**. Podatników ta impreza kosztowała 159 tys. zł.

Najwyższą emeryturę w Polsce, czyli 43,4 tys. zł brutto, otrzymuje w Zabrze mieszkaniec woj. śląskiego, który przeszedł na emeryturę w wieku 88 lat po przepracowaniu 62 lat i pięciu miesięcy bez zwolnień lekarskich.

Nowym selekcjonerem piłkarskiej reprezentacji Polski został **Michał Probiez**. Jest dobrym trenerem, ale został wybrany, bo jest znajomym prezesa PZPN **Cezarego Kuleszy** z czasów Jagiellonii Białostok. Największy problem będzie miał z piłkarzami, bo to oni od dawna grają słabo.

PRZEBŁYSKI

Szlak ofiar Hajdarowicza

Pisaliśmy już o nim. I pewnie jeszcze da o sobie znać. **Grzegorz Hajdarowicz**. Człowiek demolka. Lubi wspominać, jak w PRL rzucał kamieniami w milicję. W dzikim kapitalizmie lat 90. ta umiejętność wystarczała do zarabiania kasy na naiwnych rodakach. Do historii mediów przeszła nocna schadzka Hajdarowicza z **Pawłem Grasiem** przy śmietnikach obok Sejmu. To było w czasach, gdy Hajdarowicz przy wsparciu polityków przejął kontrolę nad „Rzeczpospolitą”. Rola barona medialnego nie była jednak skrojona na głowę tego zadymiarza. Do czego się zabrał, to katastrofa. Żywoć skończyły „Uważam Rze” i kultowy „Przekrój”. Hajdarowicz od dawna chciał się też pozbyć „Rzeczpospolitej”. Sprzedać i zarobić. Skusiła się spółka **Pluralis**, której głównymi udziałowcami są: belgijska Fundacja Króla **Baldwina** (29,66%), belgijskie konsorcjum medialne **Mediahuis** (26,46%) i **fundusz Sorosa, SEDF** (18,14%).

Z pewnością „zadbają” o polskie interesy. Bo o swoje Hajdarowicz sam zadbał.

Rolnicy dostali... pocałunki Telusa

Jak nie cyrkowy występ z gaśnicą, to całusna ustawka w „SE”. Takie jaja robi sobie z rolników „ich” minister **Robert Telus**. Zamiast dotrzymać choć jedną z wielu obietnic, którymi mami rolników, **Telus** zajął się swoimi występami. Nieudolnie wchodzi w buty celebryty. Gdzie mu tam w głowie katastrofa, w jaką **PiS** wpędziło rolników. Nie ma wypłaty suszowego, bo – jak nieoficjalnie mówią urzędnicy – nie ma kasy. Pieniędzy nie ma też na dopłaty do nawozów. Ani dla tych, którzy posłuchali byłego ministra **Kowalczyka** i nie sprzedali zboża.

Zamiast tego rolnicy mogą sobie obejrzeć romantyczną randkę **Telusa**. I trzy jego pocałunki z żoną.

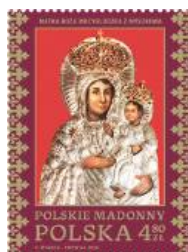
Znaczki z Maryjkami

Jeśli cierpieć na bezsenność, spróbujcie odpowiedzieć na pytanie, które zadały „Fakty po Mitach”. Ile jest w Polsce wizerunków **Matki Boskiej**? Najczęściej źródła podają, że 1001, w tym 200 koronowanych.

Wśród najbardziej znanych są: **Matka Boska Częstochowska**, **Matka Boska Licheńska** i **Matka Boska Fatimska**. Są jednak jeszcze **Matka Boska Harcerska**, **Matka Boska Ludzi Pracy**, **Matka Boska Siedmiobołesna**, **Matka Boska Siedmiostrzelną**, **Matka Boska Dobrej Śmierci**, **Matka Boska Wodząca Oczami**, **Matka Boska Ursynowska**, **Wytrwale Szukająca Matka Boska Przedziwna** i **Matka Boska Trzykroć Przedziwna**.

„Polskie Madonny” to kolejna edycja znaczków **Poczty Polskiej**. Po **Matce Boskiej Dzieżniowskiej**, **Matce Bożej Uśmiechniętej** z **Pszowa** teraz wyemitowano znaczki z **Matką Boską Mrzygłodzką** i **Matką Bożą Pocieszenia**.

Do tysiąca znaczków jednak daleko. Chyba czeka nas przyspieszenie.





PYTANIE TYGODNIA | Skąd w mediach społecznościowych tyle agresji?

SYLWIA CZUBKOWSKA,

podcast *Techstorie/Radio TOK FM*

Można oczywiście założyć, że takie są media społecznościowe, jacy są ich użytkownicy, więc agresja, mowa nienawiści i radykalizacja w nich stanowią odbicie tego, jakim jesteśmy społeczeństwem. Tyle że takie tłumaczenie ma w sobie spory ładunek naiwności. Rzecz jasna, głównie ludzie kształtują to, co się dzieje na platformach, ale dziś już wiemy – są na to kolejne badania i dowody – że nasze zachowania są skutecznie ogniskowane i podbijane przez algorytmy mediów społecznościowych. Równocześnie pojawia się mechanizm psychologiczny, zgodnie z którym sami użytkownicy, wiedząc, że jeśli wrzucą skrajne treści, wywołają większe emocje i zdobędą zasięgi, idą w tę właśnie stronę. Nie potrzeba zatem algorytmu, byśmy sami doprowadzali do jeszcze większej polaryzacji i radykalizmu.

NIKOLA BOCHYŃSKA,

redaktorka naczelna *CyberDefence24.pl*

Moim zdaniem agresja w mediach społecznościowych bierze się z poczucia anonimowości – jestem pewna, że większość osób piszących w sieci obraźliwe komentarze nie byłaby w stanie w oczy powiedzieć podobnych słów. Dodatkowo użytkownicy nie mają świadomości, że nie są bezkarni i, ubliżając komuś w sieci, mogą de facto popełnić przestępstwo zniesławienia. Przede wszystkim wciąż brakuje edukacji, jakie

konsekwencje w psychice wywołuje hejt. Na końcu powinniśmy także pomyśleć: co, gdyby podobne obraźliwe określenia, które kierujemy wobec drugiej osoby, dotyczyły naszej rodziny? Do tego potrzeba zwykłej ludzkiej empatii.

PROF. JACEK WASILEWSKI,

medioznawca, *UW*

25 lat temu, kiedy nie było mediów społecznościowych, badałem napisy w toaletach. Gatunek polegał na tym, że ktoś zaczynał wątek, a potem kolejne osoby dopisywały swoje zdanie albo odpowiadały poprzednikom. Tematy były głównie polityczne. Politycznie jest najłatwiej stworzyć grupę nas i onych, a tych onych określić jako odsądzonych od czci i wiary. Głupich po prostu. Im bardziej nie musimy ich słuchać i nie obchodzi nas ich argumentacja, tym głupszy nam się wydają. A jeśli nas nie obchodzi i nie mamy wobec nich empatii, bo oni nie są w żadnym calu nami, tylko nimi, agresja słowna ma otwarte drzwi. A po agresji słownej jest agresja fizyczna. Im bardziej oni są onymi, tym szerzej otwieramy drzwi agresji. Jeśli oni są dostatecznie inni, to nie musimy ich znać, bo po co; sami w swojej grupie możemy się dzielić tym, jacy to oni źli, niemoralni, jak bardzo nam zagrażają. A jeśli nam zagrażają – bo wszyscy tak mówią, bo jakoś trzeba uzasadnić swoje emocje względem nich – to tym bardziej należy się ich pozbyć. Agresja w mediach społecznościowych działa na takiej właśnie zasadzie.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Język polski w czasach zarazy politycznej

Nie chodzi o to, żeby słowa sklejały się ze sobą, tylko żeby użyć tych właściwych



Rozmawia Robert Walenciak

Panie profesorze, cieszy się pan, gdy zaczyna się kampania wyborcza? Wiadomo, słów padnie dużo, może coś będzie nowego, oryginalnego? Dla badacza to chyba gratka?

– Pytanie dobre, bo nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Oczywiście, z jednej strony człowiek oczekuje igrzysk, jakichś wyrazistych zachowań, dobrego materiału do refleksji.

Do badań.

– Języka polityki już nie badam, ale jeszcze nań reaguję. Lecz jest i druga moja strona, czyli obywatel, który wolałby, żeby było inaczej. Żeby nie było inwektyw, żeby nie było agresji,

PROF. JERZY BRALCZYK

żeby nie było słów, które rażą. Tu będę trochę banalny, bo to są akurat wulgaryzmy, i to używane przez różne opcje. Kiedy słyszę słowa na wy... np. ze strajków kobiet, to mam przecież kłopot. Mógłbym się z nimi identyfikować, ale wulgaryzowanie mnie odstrasza, odtrąca.

Wojna czy teatr?

Skąd ta moda na wulgaryzmy? Na tzw. mocny język?

– Mam podejrzenie, że często jest tak, że mniej liczą się argumenty, mniej liczy się skuteczność działania, czyli kalkulacja – co ludzie na dane słowa powiedzą, co sobie pomyślą, a dominuje chęć agresji, chęć wyładowania się. To sprawia taką satysfakcję, że wielu nie potrafi się temu oprzeć. Jest to emocjonalnie zrozumiałe, zwłaszcza gdy człowiek się nakręca.

Lub nakręcają go zwolennicy.

– Jak jest w swoim gronie, to ma dodatkowy doping. Ma też usprawiedliwienie – że tamta

druga strona też w słowach nie przebiega. I zaczyna się pewien rodzaj walki. Ciągłe powtarzam, że w polityce działają dwie metafory. Jedna – wojny, druga – teatru. Może być tak, że politycy po wyjściu ze studia telewizyjnego pójdą razem na piwo albo wciąż będą się atakować. Nie wiadomo, co lepsze. Bo atrakcyjna jest i wojna, i teatr. Z drugiej strony potępiamy walkę, gdyż prowadzi do nienawiści, do niszczenia, ale i potępiamy udawanie. W tym przypadku działa taka wartość, która jest podstawowa, a nazywa się prawdą.

Bo gdy idą na piwo, to znaczy, że przed widzami udawali. A w rzeczywistości ich spór był na niby, nie był prawdziwy.

– Każdy ma swoją prawdę i powinien być jej wierny. Tak uważamy. Powinna więc istnieć spójność między tym, co myślimy, a tym, jak się zachowujemy, co robimy. Ta spójność warunkuje prawdziwość, a jednocześnie – uwaga! – sankcjonuje nasze zachowania, także te jak najbardziej brutalne. Bo my dążymy do prawdy i to nas usprawiedliwia. Drugi świat metafory, czyli metafora teatru, udawania, ma za sobą inną, piękną wartość – czyli zgodę. My, grając w tym samym teatrze, musimy współpracować. I ta zgoda, którą ja akurat wyżej cenię niż prawdę (bo co mi po prawdzie, a zgoda się przyda...), może także być instrumentalizowana. Oba te światy metafor są atrakcyjne, ale też budzą obawę. Obawę przed ślepą walką, przed niszczeniem z jednej strony, a z drugiej przed kłamstwem. Bo udawanie zawiera w sobie kłamstwo.

Skąd to się bierze?

– Ta tendencja jest już od jakiegoś czasu. To dominacja wizerunku, dominacja PR i wszystkiego tego, co się nazywa postprawdą. To świat, w którym fejk jest usprawiedliwiony, a wręcz oklaskiwany, bo jest bardziej atrakcyjny.

Dziś ktoś kłamie i mówi: to jest moja narracja.

– Kiedyś takim słowem, którego nie lubiłem, był dyskurs. Ale dyskurs zakładał porozumienie. Kiedy mówiliśmy o dyskursie ekonomicznym czy o dyskursie politycznym, to uważaliśmy, że ci, którzy w nim uczestniczą,

wymieniają się argumentami, tworzą coś wspólnego. A kiedy mówimy o narracji, to zdajemy sobie sprawę, że nie jest interakcją. Narracja jest moja. Prezentując ją, czujemy prawo do nazywania rzeczy po swojemu, prawo do subiektywności. Mogę powiedzieć, że coś jest grube albo chude, albo wysokie, albo niskie, albo nawet brzydkie lub ładne. Może nawet dobre i złe. Zastanawiające jest, jak przymiotnik zły ostatnio funkcjonuje. Zły człowiek! „Uosobienie zła”, czyli Tusk, na przykład. Przecież Zły, pisany dużą literą, to jest diabeł.

Pasuje nam Bóg, bluzg i ojczyzna

Język opozycji jest chyba mniej biblijny i bardziej zróżnicowany.

– Bo i ona jest zróżnicowana. Probowałem swego czasu zastanawiać się, jak wyglądają języki różnych opcji politycznych. Oceniam, że mamy ich cztery podstawowe rodzaje. Czyli język konserwatywno-bogoojczyźniany-prawicowy, język wulgarno-populistyczny, Samoobrona go stosowała, ale też i inni, a poza tym w przestrzeni publicznej jest też trochę języka sukcesu i reklamy, a także trochę języka europejskiego. Ale ten ostatni nam średnio pasuje, tak samo jak to siodło krowie.

Często mniej liczy się skuteczność działania, mniej liczą się argumenty, a dominuje chęć agresji, wyładowania się.

Bogoojczyźniany Polakom pasuje.

– Bogoojczyźniany, połączony, jak się okazuje, z ulicznym. One się rymowały, tam można było użyć tych prześniętych, absurdalnie już mocnych określeń: zdrada, hańba, zbrodnia... Jak język Macierewicza. Można by nawet go pokazać jako rodzaj archetypu. Ale to już nieaktualne, teraz ten język jest sankcjonowany jako oficjalny. **Pisowscy dziennikarze mówią takim językiem.**

– Tak mówią „Wiadomości”.

I już niedługo, za chwilę, lud będzie tak mówił, bo jak ludzie ciągle coś słyszą, to potem powtarzają, szybko się tego uczą.

– Taką historyjkę opowiem: kiedyś byłem za granicą i musiałem

mówić w innym, nie w swoim języku, o swoich poglądach. I zauważyłem, że przedstawiam poglądy, które nie są moje.

Wszedł pan w koleiny tego języka.

– Tak, wszedłem w koleiny. A najgorsze było to, że po paru kwestiach zacząłem być lojalny wobec języka, którym mówiłem. Ten syndrom może też się pojawiać u ludzi, którzy niekoniecznie nawet tak myślą, ale mają do tego gotowe skrypty.

I nie mogą od tego języka uciec.

– Oczywiście! Ten język człowiek słyszy w telewizji, słyszy w kościele, słyszy też przy okazji tych przyjazdów różnych, potiomkinowskich, i innych. I to się wkleja. Mam nawet pewien rodzaj nie tyle uznania, ile usprawiedliwienia dla tych demagogów, którzy objeżdżają Polskę i wygłaszają swoje sądy, powiedziałbym, ograniczone do aforyzmu. Bo przecież o to chodzi!

Błaszczakiada, patos i muskuły

O jedno zdanie?

– A co zostaje? Tak jak z wielkich filozofów zostają krótkie zdania, tak teraz polityk określa się jednym albo dwoma grepsami, które można sobie powtarzać. Czasem to jest hasło. Te hasła to dopiero historia! „Z miłości

do Polski”! Dla mnie takie hasło może brzmieć jak usprawiedliwienie. Zrobiłem to z miłości. Czyli coś złego też mogłem zrobić, prawda? Więc się tłumaczę.

To jest również takie tłumaczenie, że coś robię z miłości do Polski, więc jestem w prawie. Mogę robić, co chcę!

– A tak! Wszystko mogę zrobić! Bo kocham. Hasło, jak każdy skrót, to rodzaj uproszczenia, czyli w pewnym sensie zafałszowania. Jak wiemy, komunikat, żeby dobrze funkcjonował, powinien być najpierw atrakcyjny, a potem wiarygodny. Tak jak reklama. Po pierwsze, żeby mnie zauważyli, a po drugie, żeby uwierzyli. Otóż ten drugi element ▶

► obecnie się redukuje. W sytuacji, w której relatywizm wygrywa, atrakcyjność staje się ważniejsza, a wiarygodność mniej ważna. Zwłaszcza że jednocześnie działa element uwiarogodniający, ale w skali meta. Bo mówi się: my jesteśmy wiarygodni, a oni kłamią – więc co my powiemy, to z założenia jest prawdą. A jak na poziomie deklaracji funkcjonuje inna wartość – wolność? W rzeczywistości może być już wszystko stracone, ale na poziomie deklaracji to będzie dalej istnieć. Będziemy mówić, że jesteśmy wolni, że możemy wszystko, choć może być różnie. Przecież my jesteśmy tak bardzo niepodlegli, że teraz za te abramsy gotowi jesteśmy zapłacić tyle, ile oni zechcą. Tak jesteśmy niepodlegli!

I chcemy, żeby tu byli amerykańscy żołnierze. Im będzie ich więcej, tym bardziej będziemy niepodlegli.

– To jest ta cała błaszczakiada, dla mnie trudna do przyjęcia. Nie znoszę patosu, a minister jest patetyczny. Mówienie ludziom, że bezpieczeństwo jest najważniejsze... Ale jak pojmowane bezpieczeństwo? Bezpieczeństwo to podstawowa ludzka potrzeba, ale patetyczne nadużywanie tego słowa jest propagandową manipulacją.

Że Rosja i Białoruś nam zagrażają i tylko silna armia nas obroni.

– Mam poczucie, że sprawa białoruskich helikopterów czy nawet rosyjskiej rakiety nie jest aż tak silnym świadectwem realnego zagrożenia, jak pokazuje to opozycja. Przez co zresztą potęguje się wartość pojęcia bezpieczeństwa tak ważnego dla władzy. Owszem, możemy mówić o zagrożeniu w sferze przestrzeni internetowej. Ale zostawmy ten temat. Bo zaraz będzie awantura.

Rozumiem pańską powściągliwość. Tak jest nastrój, że pewne rzeczy można mówić, a innych nie. Bo zaraz będzie krzyk, że zdrada.

– Niestety. Mamy, z jednej strony, prężenie muskułów jak przed II wojną światową, że nie oddamy guzika. A z drugiej – atak na wszystkich tych, którzy nie poddają się wojennej atmosferze. Kreowanie wojennej atmosfery wykorzystywane do uzasadnienia zwiększania wydatków na zbrojenia budzi moje zastrzeżenia.

Okazuje się, że atmosfera, którą się wytworzy, buduje język, który już na starcie jednych stawia na uprzywilejowanej pozycji, a drugich niemal na przegranej.

– I dlatego ci, którzy stanęliby na przegranej, przejmują ten język. To przypadek naszej opozycji w sprawie zbrojeń.

I opozycja, jak pan powiedział przed chwilą, gra w tę grę. Woła, że rakiety wlatują, że pociągi stają.

– Kto wie, czy nie groźniejsze jest wykorzystywanie śmigłowca do zabawy na festynie.

Słowa w górę wykrzykiwane

Czyli dominujący jest dzisiaj ten język bogoojczyźniany i uliczny, a my w związku z tym musimy się do niego dostosować.

– Albo odnosić. Narzucane są nam wartości, razem z nazwami. A potem się okazuje, że znaczy to

W polityce działają dwie metafory. Jedna – wojny, druga – teatru.

coś innego, niż się nazywa. Taką wartością jest np. wolność, która w języku PiS już nic nie znaczy. Człowiek Wolności? A wszystkie te akcje wolności? To zostało zdewaluowane. Teraz to samo jest z bezpieczeństwem. Bo to dobry chwyt.

Czy oni znajdują te słowa naukowo, grzebią, odświeżają, czy to tak samo przychodzi?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że wśród takiej masy PR-owców i spin doktorów to jest przynajmniej weryfikowane. Kilka takich skryptów tam się pojawia od czasu do czasu – to jest wrogość, to są obcy. Sama sprawa wpływów rosyjskich, na przykład. Są też wpływy niemieckie. Dlaczego nie?

Zagrożenia przychodzą ze Wschodu i z Zachodu, to mówi Kaczyński, tak ostrzega.

– Można powiedzieć, że to jest takie chwytywanie dwóch srok za ogon. Zawsze chętniej nie lubimy, niż lubimy. A myślę, że jeszcze to może narastać. Jeszcze się pojawią w PiS

narzekania na Ukraińców, żeby Konfederacji odebrać broń. Kto wie, czy nie pojawi się też antyamerykańskość? Ja bym się temu za bardzo nie dziwił. W tej chwili jesteśmy absolutnie lojalni wobec Wielkiego Brata, ale kto wie. Bo przez wielu ludzi Ameryka wcale nie jest postrzegana jako dobroczyńca.

Wszyscy dla prawicy obcy i źli?

– Myślę, że to jest taki trochę patchwork, że oni chcą złapać tych, którzy są przeciwko. A przeciwko komu, to mniej ważne.

Ważniejsza jest atmosfera.

– Patrzę na prezesa, w tej chwili populizm zaczął u niego dominować. A u innych? U innych zaczyna być ważna kwestia intonacji, rozłożenia akcentów. Prezydent Duda wygłasza poszczególne słowa, patrząc w górę – mamy tu patos w czystej postaci. Wygłaszanie niejako odrębnych słów utrudnia weryfikację. Nawet jeżeli to są zdania, to one istnieją jako słowa.

Jak za nieboszczki komuny – nie chodzi o to, żeby słowa sklejały się ze sobą, tylko żeby użyć tych właściwych. „Stały rozwój”, „kierownictwa rola”, „wspólnota socjalistyczna” – to było w PRL.

W tej chwili działa podobna reguła i też to muszą być słowa, które będą prawie wykrzykiwane.

On jest on

I zawsze musi być pokazany wróg!

– Wróg jest ważny. Jest jeszcze inna kwestia – że angażowani są w to ludzie, którzy są do zupełnie innych spraw, i podważają w ten sposób swoją rolę. Dla mnie jest nie do przyjęcia, że premier Morawiecki jest do tego wykorzystywany. Wolałbym, żeby był choć trochę premierem wszystkich Polaków.

Nie jest i nie będzie.

– Nie będzie. Dobrze, że prezydent nie jest aż tak jednoznacznie agresywny. Natomiast prezes mówi trochę inaczej. On zdania bardzo wyraża nie punktuje. Te zdania są zamknięte. Każde może być wyjęte i wciąż będzie coś znaczyło, wciąż będzie opisywało świat. Wiele z nich to zdania atrakcyjne dla jego odbiorców przez manifestowaną wrogość do obcych

albo do kreowanego na obcego – Tuska. Zwróćmy też uwagę na sposób zachowania. Kaczyński, gdy przemawia – stoi. A Tusk biega, chodzi. To w jednym przypadku daje poczucie stabilizacji, łączy się ze wspomnianymi strukturami zamkniętymi. W przypadku Tuska ruch dodaje dynamizmu. Jego publiczność pewnie lepiej reaguje na takie zachowania. To, co u Tuska trochę mnie razi, to rodzaj żargonu młodzieżowego, takie określenia jak bambik. To jest pod publiczność. Lub permanentne zwracanie się po imieniu czy per ty do swoich przeciwników. Zauważmy, u Tuska w tej sferze dominuje druga osoba liczby pojedynczej. A u Kaczyńskiego – trzecia osoba. Ten Tusk jest do tego stopnia obcy, że do niego nie można mówić ty. On jest on.

A do Mateusza można mówić Mateusz.

– Można też powiedzieć: Mateusku. U Tuska zaczyna działać element zabawy, do której zaprasza publiczność. Na przykład: Kaczyński ucieka przede mną, wypuszczę na niego Giertycha.

Zamiast debat politycznych, zamiast dyskursu mamy zabawę? Kto kogo zaorze, kto komu dogada?

– Kto kogo zaorze, kto komu dokopie, kto będzie lepszy. Przepraszam, znowu mi się to nie podoba. Z jednej strony, razi nas ta gniewność, zaciętość, a z drugiej – ucieczka w zabawę. Ale są rzeczy, które mocniej razi: kiedy widzę Hołownię i Kosiniaka-Kamysza, którzy się obejmują, a których niewiele w sumie łączy. Oczywiście, życzę im jak najlepiej, aby przeszli te 8%. Żeby chociaż mieli 8,1%! Bo jak tego nie będzie, to będzie klęska totalna.

Mów brutalnie, to się ukorzą

Zastanawiał się pan, dlaczego język polityki jest coraz bardziej agresywny?

– Wydaje się, że odpowiedź prosta jest najprawdziwsza. Po prostu ludzie tak chcą być postrzegani. Kiedyś mówiło się, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Teraz jest oczywiste, że gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają.

A trzeci traci, prawda?

– Traci, oczywiście. A żeby wygrać, trzeba mocniej walić... Przepraszam za banał – ktoś, kto używa mocnych słów, to jest tak jak u dzieci, manifestuje swoją siłę. Mówi brutalnie – ludzie tak to postrzegają – to znaczy, że może sobie na to pozwolić. Nie boi się. Strach jest w naszej kulturze wpisany jako jedna z najgorszych cech. A on mówi brutalnie, czyli jest odważny. Ma siłę.

I tak będą się przekrzykiwać?

– Są dwie koncepcje agresji. Jedni uważają, że jak ludzie wyładują się słowami, to mniej będą przechodzić do czynów. Ale jest także koncepcja, że używanie tych słów prowadzi do czynów... Wydaje mi się, że ta druga jest bliższa prawdy. W polityce słowa się materializują. One przechodzą natychmiast w działanie. Niedawno w PRZEGŁADZIE pisał Andrzej Romanowski, że nasz język już nie opisuje, tylko uczy nienawiści. Może to jest za dużo powiedziane. Może to jest uproszczenie, ale to byłaby taka droga: język nie tyle prezentuje rzeczywistość, ile prezentuje mnie prezentującego rzeczywistość. Po co polityk mówi? Po to, żeby być dobrze postrzeganym. I tłumaczenie, dlaczego mają mnie wybrać, to jest kwestia ładnego opakowania...

Zwróćmy uwagę na sposób zachowania. Kaczyński, gdy przemawia – stoi. A Tusk biega, chodzi.

I tu ciekawe zjawisko, które się nazywa Glapiński. On z kolei prezentuje piękny świat. Świetnie jest – mówi. – Mamy pieniędzy bardzo dużo. Byłem wczoraj w skarbcu, otworzyłem, patrzę, pieniędzy tyle, że aż się wysypują. A poszedłem do sklepu, to ceny niskie... W takiej melodii mówi Glapiński, postać dla mnie raczej niemiła. Ale kto wie, może ten rodzaj wystąpień się sprawdza?

Czy ten język polityki, debaty publicznej nie jest bogatszy i bardziej rozwinięty niż np. 20 lat temu?

– Wszystko się bardziej rozwija, coraz więcej jest słów, coraz więcej metafor, wziętych z nowego języka, także komputerowego. Nie jest tak, że ten język jest ubogi. Czasami sięga do prostych ujęć typu zły, dobry. Czasami odwołuje się do emocji. Ale

emocje mogą być różnie opisywane. Czekam więc, żeby Kaczyński przypomnieli jakąś okofobię. Podobało mi się też określenie, które chyba Borowski wymyślił – demokratuza. Ciekawe jest, gdy pojawia się nowe słowo i później zaczyna obrastać różnymi znaczeniami. Tak było z symetrystami. Symetryści są teraz dla niektórych wrogami numer jeden.

Europa, głupcze!

Czy to się zaostrzy? W miarę zbliżania się 15 października?

– Wiele wskazuje, że się zaostrzy. Z drugiej strony myślę, że jest pewna granica czy pewien opór materii, który sprawi, że już się nie da... Że wiele rzeczy doszło do ściany. Zdrajca, kłama, zły człowiek – to już właściwie jest prawie wszystko. Niemiec! Czyli kwestia wykorzystywania podprogowych skojarzeń. Grupa Wagnera – grupa Webera... I Kaczyński nagle mówi, że on może dyskutować z Weberem.

Tylko w jakim języku?

– Z tłumaczem! I wcale nie jestem pewien, czy zmiażdżyłby Webera. W każdym razie, jeżeli chodzi o przyszłość, trudno mi powiedzieć, bym był optymistą, ale widzę pewną

możliwość powściągnięcia językowej agresji. Silny język, brutalny działający na zdecydowanych. Utrwała. Ale już pojawiła się tendencja, by przekonywać raczej tych, którzy jeszcze nie wiedzą, na kogo oddać głos. Tu potrzebny jest element konkretny, który w naturalny sposób odda emocje.

Jaki element?

– Europa. Gdyby dało się pokazać – ale nie inwektywami, nie emocją – że PiS może nas wyprowadzić z Unii, że takie zagrożenie realnie istnieje. Że oni Polskę z Unii wyprowadzą albo ją tam zmarginalizują. I to jest prosty przekaz. A proste przekazy się kupuje. Zwłaszcza gdy zostanie pokazana możliwość utraty czegoś, co się ma i z czym jest dobrze.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Afera wizowa wstrząsnęła kampanią wyborczą w Polsce i mocno nad-szarpnęła wizerunek naszego kraju w świecie. W jej tle przewija się firma VFS Global, mająca umowę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych na obsługę wniosków wizowych składanych w części polskich konsulatów. I ktoś zarabia na tym miliony.

Na oficjalnej stronie polskiego rządu, www.gov.pl, w części poświęconej Indiom 25 kwietnia br. ukazał się komunikat w języku angielskim, w którym Wydział Konsularny Ambasady RP stanowczo odradzał korzystanie z usług biur podróży, które powołują się na szczególne relacje z naszą placówką dyplomatyczną, a także ostrzegał przed osobami oferującymi specjalne zezwolenia na wydanie wiz, rzekomo podpisane przez pracowników polskiej służby zagranicznej lub samej ambasady. W konkluzji autor komunikatu wyjaśnił, że wnioski należy składać w jednym z centrów wniosków wizowych, a procedura ubiegania się o wizę jest jasno opisana na stronie internetowej ambasady. Wyraźnie zaznaczono, że nie ma żadnych dodatkowych opłat, które należy uiścić, poza opłatą wizową wynoszącą obecnie 7054 indyjskie rupie, czyli 80 euro. Jednak „w przypadku składania wniosku w jednym z Globalnych Centrów Wizowych mogą obowiązywać dodatkowe opłaty za usługę zgodnie z cennikiem dostępnym na stronie internetowej VFS (<https://www.vfs-global.com/one-pager/poland/india/english/index.html>)”.

W tym miejscu dochodzimy do sedna sprawy. Ponieważ osoby ubiegające się o polskie wizy w Indiach nie mają możliwości składania osobistych wizyt w ambasadzie RP, skazane są na korzystanie z usług firmy VFS Global, która ma umowę z MSZ na obsługę tych procedur.

Od turystyki do outsourcingu wizowego

Historia spółki VFS Global (Visa Facilitation Services Global) rozpoczęła się w 2001 r., gdy Zubin Karkaria,

Nic osobistego, tylko biznes

Wizy to lukratywny interes, dla polskiego MSZ i prywatnej firmy z Dubaju – VFS Global



Zubin Karkaria jest Parsem, członkiem zamieszkującej Indie niewielkiej grupy etnicznej wywodzącej się od starożytnych Persów i wyznającej zaratusztrianizm.

dyrektor generalny elitarnej szwajcarskiej firmy turystycznej Kuoni Group, wpadł na pomysł, by zająć się outsourcingiem części administracyjnej procesu przyznawania wiz. Zauważył, że z każdym rokiem wydłuża się okres rozpatrywania wniosków w konsulatach. Było to wynikiem szybkiego wzrostu liczby chętnych do wyjazdu, a co za tym idzie, rosnącego nakładu pracy urzędników zatrudnionych w tych placówkach. Dotyczyło to głównie konsulatów bogatych państw, takich jak Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy, Wielka Brytania czy Australia. Przekazanie zewnętrznej firmie części obowiązków związanych z procesem przyznawania wiz z pewnością usprawniłoby funkcjonowanie konsulatów i obniżyło jego koszty. Urzędnicy mogliby się skupić na zasadniczym zadaniu – podejmowaniu decyzji.

Pomysł wypalił. Pierwsze centrum świadczące takie usługi zostało uruchomione w Bombaju. Dlaczego tam? Karkaria jest Parsem, członkiem zamieszkującej Indie niewielkiej grupy etnicznej wywodzącej się od starożytnych Persów i wyznającej zaratusztrianizm. Wiedział, że każdego roku Hindusi składają setki tysięcy wniosków wizowych, więc jego firma mogła na tym świetnie zarobić. I tak się stało. W ciągu pięciu lat VFS Global, wchodząca w skład Kuoni Group, podpisała umowy z rządami 11 państw, w tym tych najbardziej atrakcyjnych – Australii, Kanady i Wielkiej Brytanii. W 2018 r. pracownicy spółki obsłużyli ponad 25 mln wniosków wizowych w imieniu rządów już 62 krajów. Dziś jej biura działają w 147 państwach, a centrala mieści się w Dubaju. Wartość rynkowa VFS Global szacowana jest na ponad 2,5 mld dol.

Firma nie zajmuje się wyłącznie przyjmowaniem wniosków wizowych i przekazywaniem ich urzędnikom konsularnym do rozpatrzenia. W pewnym stopniu także je weryfikuje. Wiadomo, że współpracuje z bankami, firmami kurierskimi i, rzecz jasna, rządami państw, z których pochodzą jej klienci. W praktyce oznacza to, że przetwarza ona ogromne ilości poufnych danych. W swoim ośrodku w Bombaju, zajmującym się opracowywaniem nowych rozwiązań, prowadzi prace z dziedziny technologii cyfrowych, sztucznej inteligencji oraz uczenia maszynowego, których celem jest jak najdalej posunięta automatyzacja procesów związanych z przyznawaniem wiz.

Rozwój firmy finansowany jest nie tylko z pieniędzy przekazywanych jej przez rządy państw, z którymi ma zawarte umowy, ale również przez osoby ubiegające się o wizy i korzystające z jej usług. To właśnie budziło największe kontrowersje. VFS Global zarzucano m.in., że wywiera presję na ubiegających się o wizy, by skorzystali z usług premium, na które nie było ich stać. Takie skargi płynęły głównie od mieszkańców ubogich państw afrykańskich.

Zarzuty i miliardy

W latach 2005-2007 firma miała poważny problem związany z wyciekami treści wniosków wizowych, zawierających wrażliwe dane obywateli Nigerii, Indii i Rosji. Śledztwo

2 mln dol. na zapewnienie bezpieczeństwa przetwarzanych przez nią danych. Na kilka lat zapanował spokój, lecz w roku 2015 wykryto lukę w zabezpieczeniach. Okazało się, że włoskie formularze wizowe umożliwiały każdemu użytkownikowi dostęp do danych osobowych innych wnioskodawców, w tym daty urodzenia, danych paszportowych i adresu. Firma zmuszona była wprowadzić nowe zabezpieczenia.

Inne zarzuty wobec VFS Global dotyczyły wykorzystywania przez nią dominującej pozycji na rynku. W Nigerii oskarżano firmę o złe traktowanie klientów i zawyżanie cen usług.

Historia VFS Global rozpoczęła się w 2001 r., gdy Zubin Karkaria, dyrektor generalny szwajcarskiej firmy turystycznej Kuoni Group wpadł na pomysł, by zająć się outsourcingiem wizowym.

W 2020 r. w Wielkiej Brytanii pojawiły się publikacje opisujące, jak to spółka VDash Limited za większe pieniądze oferuje „szybsze, łatwiejsze i mądrzejsze” wizy brytyjskie firmom oraz osobom fizycznym, które w przeciwnym razie musiałyby przejść przez bardziej pracochłonny proces składania wniosków za pośrednictwem VFS Global. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że głównym akcjonariuszem VDash Limited była VFS Global Holding AG Switzerland. Firmy miały nawet wspólne biuro w pobliżu stacji Marylebone w Londynie oraz personel administracyjny i kadrowy. Pojawił

Rząd brytyjski zachował w tej sprawie powściągliwość. Rzecznik tamtejszego ministerstwa spraw wewnętrznych (Home Office) nie chciał komentować sprawy ewentualnego konfliktu interesów, oświadczył jedynie: „Dążymy do zapewnienia światowej klasy usług osobom korzystającym z naszych systemów wizowych”. Nie powinno to dziwić, gdyż, jak ujawnili dziennikarze gazety „The Independent”, Home Office po podpisaniu umowy z VFS Global zarobiło na wizach 1,6 mld dol.

W lipcu br. Monaz Billimoria, zastępczyni szefa VFS Global na Zjednoczone Emiraty Arabskie, ostrzegła

przed oszustami podającymi się za pracowników VFS Global, którzy sprzedają w Emiratach fałszywe wizy do krajów strefy Schengen. Dodała, że taki sam proceder kwitnie w krajach Azji Południowo-Wschodniej i w Afryce. Tłumaczyła to gwałtownie rosnącym popytem na wizy Schengen. W Indiach do wydziału kryminalnego policji w Ahmadabadzie wpłynęło doniesienie na dwóch pracowników VFS Global oraz byłego pracownika tej firmy, którzy nielegalnie (i oczywiście odpłatnie) zarejestrowali dane biometryczne 28 osób ubiegających się o wizy kanadyjskie. Przepęstwo zostało wykryte przez pracowników ochrony, którzy przeglądali nagrania z kamer telewizji przemysłowej. Motywem, który przyświecał przestępcom, był ogromny popyt na wizy umożliwiające wjazd do takich państw jak Stany Zjednoczone, Kanada czy Niemcy. Nikt nie ma wątpliwości, że podobne zdarzenia będą się powtarzać.

VFS Global a sprawa polska

Nad Wisłą, a raczej nad Pregolą, VFS Global pojawiła się w konsulacie RP w Kaliningradzie (obecnie Królewiec) jako Polskie Centrum Wizowe w roku 2013. Obowiązywała wówczas umowa o małym ruchu ▶

Pierwsze centrum świadczące usługi outsourcingu w zakresie przyznawania wiz zostało uruchomione w Bombaju. Dziś biura VFS Global działają w 147 państwach.

w tej sprawie wszczął rząd brytyjski. Wykazało ono, że VFS Global nie była w stanie zabezpieczyć danych osób ubiegających się o wizy w konsulatach brytyjskich na poziomie przewidzianym prawem obowiązującym w Zjednoczonym Królestwie. W konsekwencji brytyjskie MSZ na pewien czas ograniczyło prace zlecone spółce w obszarze IT. VFS Global zadeklarowała, że wyda dodatkowe

się zarzut konfliktu interesów, zdecydowanie odrzucony przez spółkę VDash. Jasbir Kamboz, odpowiedzialny za jej strategię handlową, oświadczył, że „pomiędzy VDash a VFS Global nie ma konfliktu interesów i nie ma nic do ukrycia. Wszyscy nasi pracownicy są świadomi, że te dwie różne firmy prowadzone są oddzielnie i posiadają niezależne zarządzanie i infrastrukturę”.

► granicznym między Polską a obwodem kaliningradzkim, która umożliwiała Rosjanom tańsze zakupy w Trójmieście. Nasza placówka nie była w stanie rozpatrzyć wszystkich składanych przez nich wniosków wizowych. Przed konsulatem ustawiały się długie kolejki. Dziennie przyjmowano 500-600 osób. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdecydowało się na outsourcing. Zorganizowano

czekać długo. Ten sam problem pojawił się na Białorusi, gdzie miejsca w kolejce – należało wcześniej zarejestrować się przez internet na stronie e-konsulat.gov.pl – były przechwytywane przez hakerów, którzy potem odsprzedawali je chętnym za kilkaset euro. Pojawiły się plotki, że VFS Global tylko w Kaliningradzie zarabia na swoich usługach 2 mln zł miesięcznie.

Brytyjskie MSW po podpisaniu umowy z VFS Global zarobiło na wizach 1,6 mld dol.

przetarg, który wygrała VFS Global. Dzięki elektronicznym zapisom liczba wniosków wzrosła do 1,5 tys. dziennie, kolejki zniknęły.

Polskie Centrum Wizowe za złożenie wniosku wizowego pobierało 17,5 euro, a za wniosek o skorzystanie z małego ruchu granicznego 10 euro. Oczywiście należało też wnieść opłaty konsularne: 35 euro za wizę, a 20 euro za skorzystanie z małego ruchu granicznego. Szybko pojawiły się wątpliwości. Jeśli konsul miałby rozpatrywać 1,5 tys. wniosków dziennie, musiałby to robić w tempie trzy wnioski na minutę przez osiem godzin każdego dnia.

Wtedy po raz pierwszy ujawnił się dobrze nam dziś znany problem kolejki. Wniosek można było złożyć szybko, lecz na decyzję przychodziło

W czerwcu 2016 r. Jan Dziędziczak w imieniu ministra spraw zagranicznych odpowiadał na pytania dotyczące przetargu na obsługę outsourcingu wizowego, który zorganizowała nasza ambasada na Białorusi. Wygrała go spółka VF Worldwide Holdings Ltd z siedzibą w Mińsku i na wyspie Mauritius. Wiodącym akcjonariuszem VF Worldwide Holdings Ltd była VFS Global. Postawie dowiedzieli się, że spółka obsługiwała: ambasadę RP w Kijowie – umowę zawarto do 2017 r., ambasadę RP w Moskwie, Mińsku i Ankarze oraz konsulat generalny RP w Kaliningradzie – umowy zawarto do 2018 r.

Dzisiaj z pewnością VFS Global obsługuje naszą placówkę w Delhi i w wielu innych państwach. Bez tej firmy bardzo trudno byłoby wydać

polskim konsulatom 600 tys. wiz pracowniczych w roku 2020. W ciągu ostatnich trzech lat wydaliśmy ich prawie 2 mln. Nic dziwnego, że opozycja grzmi o hipokryzji rządzących, którzy oficjalnie bronią nas przed uchodźcami „roznoszącymi pasożyty i pierwotniaki”, a mniej oficjalnie sprzedają wizy na prawo i lewo. Dlaczego? Bo to genialny interes! Nic osobistego, czysty biznes. Jeśli za rozpatrzenie wniosku wizowego starający się musi zapłacić 80 euro, to mogłoby się wydawać, że na 2 mln wiz pracowniczych zarobiliśmy 160 mln euro. Ale było tego więcej. Nie każdy wniosek wizowy jest rozpatrywany pozytywnie, lecz płacić trzeba za złożenie KAŻDEGO wniosku. Może więc powinniśmy mówić o kwocie rzędu 250-300 mln euro, która wpłynęła na rachunek MSZ w ostatnich trzech latach? Polska po prostu zarabiała na wizach ile wlezie. Spółka VFS Global także nie mogła narzekać. Przy czym bez niej skala owego proceduru byłaby znacznie mniejsza.

Taka była i – jak sądzę – nadal jest nasza polityka imigracyjna. Liczy się tylko szmal. Bo przecież nikt nie ma złudzeń, że imigranci z polskimi wizami nie udają się stąd do Niemiec, Francji, Holandii, a nawet Stanów Zjednoczonych.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeгляд.pl

Nagroda dla Elizy Olczyk



Eliza Olczyk, dziennikarka „Wprost”, wcześniej m.in. „Rzeczpospolitej”, została kolejną laureatką nagrody dziennikarskiej im. Aleksandra Małachowskiego. Jak napisała kapituła – za niezależność dziennikarską, obiektywizm i kulturę słowa.

„Gdyby dziennikarze w Polsce byli tak jak Eliza Olczyk niezależni, obiektywni, prezentujący mądre i wyważone opinie, nasz zawód byłby w czołówkach zaufania i poważania”, mówił w laudacji Robert Walenciak.

Laureatami nagrody w latach poprzednich byli m.in. Jacek Żakowski, Jerzy Domański, Rafał Woś, Przemysław Talkowski i Tomasz Sekielski. Nagroda przypomina wielką postać Aleksandra Małachowskiego, dziennikarza i polityka, marszałka Sejmu, współzałożyciela Unii Pracy, autora m.in. felietonów drukowanych w „Przeглядzie”.

Nagrodę w obecności Krystyny Małachowskiej wręczył Waldemar Witkowski, przewodniczący Unii Pracy, kandydat opozycji na senatora w okręgu nr 1, obejmującym powiaty: bolesławiecki, lubański, lwówecki i zgorzelecki. (rw)

Z Galicji



Jan Widacki

Dzieje się

W Polsce nie brakuje ludzi odważnych. Pan premier Morawiecki zebrał się na odwagę i po raz pierwszy od dłuższego czasu powiedział prawdę, ostrzegając rodaków, że „wielkim zagrożeniem jest powrót Prawa i Sprawiedliwości do władzy”. Powiedział to w czasie konferencji prasowej zorganizowanej w siedzibie PiS. Transmitowała to TVP. A w ogóle to pan premier przeżywa ostatnio szczyty popularności. Najważniejsze światowe media cytują jego wypowiedź, że Polska nie będzie już dawać broni Ukrainie, bo sama musi się zbroić. Oburzenie wśród naszych zachodnich sojuszników jest powszechne. Politycy niemieccy mówią wręcz o hańbie, nazywając to manewrem przedwyborczym, dokonany koszt Ukrainy.

Oczywiście niedawanie broni jest odwetem za to, że Ukraina domaga się przepuszczenia swojego zboża przez Polskę. A Polska – ściślej polski rząd – wyłamując się z polityki całej Unii Europejskiej, tego zboża nie chce w swoje granice wpuścić, rzekomo w obronie interesów polskiego rolnika. Ta troska o polskiego rolnika nasiliła się przed wyborami. Prawda zaś jest taka, że rząd nie potrafił zorganizować i zabezpieczyć tranzytu ukraińskiego zboża, tańszego niż polskie, przez nasze terytorium i dopuścić je na polski rynek. Ktoś przy tym nieźle, zdaje się, u nas zarobił. Produkty rolne to jeden z najważniejszych towarów eksportowych Ukrainy, a ukraińskie zboże eksportowane do krajów Afryki pomaga tam walczyć z głodem. Zatrzymanie tego eksportu – nie bez znaczenia dla głodujących mieszkańców Afryki – godzi więc w interesy Ukrainy, uwikłanej w wojnę, którą toczy ona, jak jeszcze niedawno mówili nasi politycy, także za nas.

Oliwy do ognia dołał prezydent Duda. W Nowym Jorku udzielił wywiadu, w którym wypomniął, ile i jakiego sprzętu wojskowego wystaliśmy na Ukrainę, zarzucił Ukraińcom niewdzięczność i z właściwym sobie taktem i połotem porównał walczącą Ukrainę do tonącego, który brzytny się chwyta. Ukraińcy się obrazili, odwołano nawet spotkanie Dudy z Zełenskim, do którego jednak doszło w końcu za sprawą mediacji litewskiego prezydenta Gitanasa Nausėdy, przy nędzy naszych polityków wyrażającego na męża opatrnościowego tej części Europy.

Dodać do tego trzeba aferę z płatnym wydawaniem przez polskie konsulaty, pod naciskiem wiceministra Wawrzyka, wiz mieszkańcom Afryki i Azji – nikt dokładnie

nie wie, ile tych wiz za pieniądze wydano (mówi się o ok. 250 tys.), co wywołało reakcje państw Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych. W każdym razie możemy ogłosić wrzesień „miesiącem polskiej dyplomacji”. Mając jawnie wrogie stosunki z Rosją, zepsuliśmy w kilka dni doskonałe stosunki z Ukrainą, skłóciliśmy się ostatecznie z resztą Unii Europejskiej, naraziliśmy się przy tym Stanom Zjednoczonym, bo część imigrantów z naszymi lewymi wizami pojechała legalnie do Meksyku, by stamtąd nielegalnie przedostawać się do USA.

Obrzydlivość afery wizowej polega na tym, że w czasie gdy oficjalna propaganda i najważniejsi politycy polskiej prawicy ostrzegają przed islamizacją Polski, za grube pieniądze w niezbyt jasnych okolicznościach wydajemy wizy. Rządzący nie godzą się na akt solidarności z krajami południa Unii Europejskiej, do których przybywają przez Morze Śródziemne uchodźcy z głodujących lub objętych wojną krajów Afryki i Azji, i przyjęcie do Polski

Mając jawnie wrogie stosunki z Rosją, zepsuliśmy doskonałe stosunki z Ukrainą, skłóciliśmy się ostatecznie z resztą Unii Europejskiej i naraziliśmy się USA.

niecałych 2 tys. relokowanych osób. Budujemy przy tym płot wzdłuż granicy, wypychamy brutalnie do lasu dzieci i kobiety w ciąży, które nielegalnie próbują wejść na nasze terytorium, a równocześnie wpuszczamy tysiące ich współżiomków.

Tymczasem dla wielu polskich polityków najważniejszym problemem jest film Agnieszki Holland „Zielona granica”, który obraża podobno polskich strażników granicznych i żołnierzy stojących na białostockiej rubieży przedpłocia i przeddrucia chrześcijaństwa. Nagrodzony na festiwalu w Wenecji film ministrowie Ziobro i Czarnek porównują do hitlerowskiej propagandy, która ma zohydzić polski mundur. A pan prezydent był uprzejmy przypomnieć hasło z czasów okupacji, że „tylko świnie siedzą w kinie”. Myślę, że pan prezydent nieco przesadził i nadmiernie uogólnił. Przecież może się zdarzyć, że do kina pójdą ludzie, którzy gotowi są pooburzać się na film i jego reżyserkę, tylko najpierw chcą ten film zobaczyć. To tak, jakby ktoś powiedział, że „tylko pajace zamieszkują pałace”, a przecież nie wszyscy mieszkający w pałacach są pajacami.

CZY DAMY SIĘ WKRĘCIĆ W POLARYZACJĘ?

Wybory 2023. A jak za chwilę trzeba będzie je powtórzyć?

Rozmawia
Robert Walenciak

Gdy rozmawialiśmy wiosną, mówił pan, że dużo jeszcze się zmieni, żeby wszystko zostało po staremu.

– Niby sondaże nie są dokładnie takie same, ale sondaż to nie suwmiarka, więc wiadomo, że pokazują wynik w granicach pewnego błędu. Ogólnie wszyscy są mniej więcej w tym samym miejscu, w którym byli. Może Konfederacja jest trochę silniejsza, a Trzecia Droga trochę słabsza.

Przekroczy ośmioprocentowy próg?

– Mam przekonanie, że tak. Orędownikiem tego, że to ugrupowanie przekroczy próg, jest prof. Flis. Opiera się on na analizie historycznej, jak poszczególne typy ugrupowań radzą sobie w poszczególnych fazach kampanii. Takie ugrupowania, które on nazywa tymczasowymi ugrupowaniami protestu (TUP), czyli Kukiz z 2015 r., Palikot, Nowoczesna, w początkowej fazie kampanii zawsze bardzo dobrze sobie radzą, ale potem nie dowożą tego wyniku. Z drugiej strony jest PSL, które zawsze ciężko się rozpędza, ale na końcu radzi sobie lepiej, niż wszyscy przypuszczali. A czasem po prostu ma dużo szczęścia, tak jak w 2015 r., gdy 23 tys. głosów w skali kilkunastu milionów głosujących zdecydowało, że PSL ten próg wyborczy przekroczyło.



MARCIN DUMA

– prezes zarządu
Instytutu Badań Rynkowych
i Społecznych IBRiS

A Lewica?

– Lewica spokojnie swój próg przejdzie. Pomimo wysiłków Platformy.

Tusk nie kalkuluje

Lewica, Trzecia Droga... Jeżeli któreś z tych ugrupowań zostanie zepchnięte pod próg, Platforma będzie mogła już tylko

pomarzyć o rządzeniu. Ataki na Trzecią Droę i Lewicę są z jej strony samobójstwem.

– Owszem, ale pamiętajmy, jaki jest w polityce porządek, jaka jest hierarchia wartości. Dla polityka zawsze najważniejszy jest on sam. To, czy on będzie w Sejmie lub w innym organie przedstawicielskim. Kiedy zabezpieczy własny interes, patrzy, jak poradzi sobie partia. Potem dopiero jest interes kraju, Europy, a jeszcze później możliwości globalne.

Czyli można powiedzieć, że Tusk wytrzymał się na interesie swojej partii?

– Myślę, że jest inaczej. O ile sama Koalicja Obywatelska może kalkulować, o tyle Tusk nie kalkuluje. On jest gotów zrobić wszystko, żeby wygrać z Kaczyńskim. Wszystko zostało rzucone na stół! Tusk niczego nie zostawił sobie na następne rozdanie. Z czym wobec tego wyjdzie z tej rozgrywki? Czy straci wszystko?

Dziś sondaże podpowiadają, że raczej straci.

– A może nie straci? Bo jakie scenariusze ma Tusk? Wydaje mi się, że jego plan minimum to przynajmniej doprowadzenie do sytuacji, w której PiS nie będzie w stanie rządzić samodzielnie. Wtedy będzie mógł powiedzieć: słuchajcie, jest szansa, PiS nie jest w stanie samodzielnie rządzić, zabieramy na pokład Konfederację, zabieramy Trzecią Droę, tworzymy rząd trochę liberalny, trochę konserwatywny, w sumie platformiany w swojej naturze. Wiadomo, że Lewica do tej układanki nie pasuje.

Konfederacja z PO?

– Konfederacja jest antysystemowa. Dla niej w ogóle wejście do rządu jest niewygodne. Bo wtedy sens jej istnienia trzeba zdefiniować na nowo. Modus operandi tego ugrupowania to kontestacja aktualnego porządku. Dla nich pewnie lepiej by było, gdyby zostali na zewnątrz rządu. Mogą więc powiedzieć: „OK, premierem nie może być dalej Morawiecki, to nie wchodzi w grę. Dlatego lepiej, żeby rząd wzięła opozycja. Więc go weźcie. A my będziemy z boku, jedne ustawy poprzemy, a drugich nie”. Kto się poważy na podjęcie takiej gry? Tusk? Żeby być zakładnikiem z jednej strony Mentzena, a z drugiej Czarastego? Żeby musiał chodzić od jednego do drugiego i negocjować? Męka! Ale czy miałby ustąpić komuś fotel premiera?

To jaki ma wybór?

– Może doprowadzić do tego, że nowy rząd nie powstanie i pójdziemy do kolejnych wyborów. 15 października zobaczymy wyniki, powiedzmy, zbliżone do średnich z sondaży, które mamy.

PO-PiS słabszy niż zazwyczaj

Czyli stawia pan tezę, że tak naprawdę niewiele się zdarzy. Będzie ostra, coraz ostrzejsza

To Konfederacja, która siada sobie pomiędzy dwoma blokami, decyduje, kto będzie, co będzie i czy w ogóle będzie.

kampania, ale 15 października wieczorem wynik będzie podobny do tego, który mamy teraz w sondażach. I rozgrywka będzie trwać.

– Opowiedzmy to trochę inaczej. Myślę, że dzisiaj obydwie ugrupowania na tym etapie są zainteresowane zagranem na polaryzację raz jeszcze.

PiS kontra PO?

– Efektem tego ma być wypchnięcie pozostałych gdzieś na boczny tor. Wydaje się, że układ PO-PiS jest dziś najstabszy od lat. I dla obu ugrupowań jest to pewien problem.

Bo podstawą istnienia i funkcjonowania PO-PiS było to, że albo jedna, albo druga formacja była w stanie kształtować rzeczywistość. PiS było w stanie rządzić przez osiem lat samodzielnie, wcześniej dobrać Samoobronę i LPR, Platforma była w stanie dobrać PSL i rządzić. Natomiast dzisiaj wydaje się, że oni po tych wyborach nie będą mieli takiej możliwości. Ani PiS, ani PO. Platforma, nawet wspierana przez Lewicę i Trzecią Drogę, nie będzie

Tusk gotów jest zrobić wszystko, żeby wygrać z Kaczyńskim.

mogła kształtować rzeczywistości albo przynajmniej sprawować nad nią większej lub mniejszej kontroli. Bo okaże się, że tym, kto tę kontrolę sprawuje – mówimy o sondażach, takich, jakie są dzisiaj – jest Konfederacja. I to Konfederacja, która siada sobie pomiędzy dwoma blokami, decyduje, kto będzie, co będzie i czy w ogóle będzie.

Jeżeli PiS z Platformą są zależne od Konfederacji, to muszą ją wypchnąć na margines, bo ona jest ich głównym wrogiem.

– Muszą doprowadzić do sytuacji, w której wynik wyborczy jednym albo drugim da wpływ na kształtowanie rzeczywistości. Bo inaczej pojawi

komunikowania się redukują nam świat polityczny do tych dwóch państw. W ogóle dramatem polskiej sceny politycznej...

...jest polaryzacja?

– Polaryzacja? Ona w innych systemach dobrze funkcjonuje. Ale różnica między Polską a np. Wielką Brytanią polega na tym, że tam jest rywalizacja i polaryzacja między instytucjami, bo partie są instytucjami, a w Polsce jest to rywalizacja i polaryzacja między osobami. Tam

instytucja wybiera lidera i ten lider jest emanacją aktualnego głównego nurtu w tej instytucji. W Polsce jest dokładnie odwrotnie. Partie brytyjskie mogą się odnawiać w cyklach wyborczych. Można zmienić lidera, trochę w prawo, trochę w lewo, coś się dzieje. A w Polsce, kiedy jest jeden lider i wszystko na nim stoi, zmiana jest bez szans. Jeżeli mamy szukać źródła kryzysu politycznego w Polsce, to jest nim silna personalizacja sporu.

Oto pisowski beton

I te bańki są nie do ruszenia? Tak mocne są twarde elektoraty?

– Nie ma takiej możliwości, żeby wyborcę PiS przeciągnąć na drugą stronę. Z badań, które mamy, wiemy, że pod względem swoich wartości, ale też postaw, jest on na tyle odległy od ugrupowań opozycyjnych, że pokonanie tego dystansu jest niemożliwe. Mamy analizę psychometryczną, która to pokazuje. O ile elektoraty Lewicy, Koalicji Obywatelskiej i Trzeciej Drogi są blisko siebie, o tyle PiS jest absolutnie po drugiej stronie. Poza zasięgiem. Co więcej, nawet Konfederacja jest od PiS daleko.

Pięknie Kaczyński zbudował sobie elektorat...

– On wychował sobie tych ludzi. Ale opozycja też ich wychowała. Ona dziś woła, że jest fatalnie, że nie da się w Polsce żyć. Te komunikaty nie przystają do rzeczywistości. Nawet wyborcy opozycyjni przynajmniej

że one nie odzwierciedlają ich życia. Bo kiedy się z nimi rozmawia, jak im się żyje itd., to oni wyraźnie mówią: mnie jest dobrze, ale martwię się o tych biednych, którzy nie dają sobie rady.

A ci biedni?

– Najczęściej też mają się całkiem dobrze. Więc Kaczyński z jednej strony wychował sobie wyborców, ale z drugiej strony istnieją fundamenty, żeby mógł się z nimi komunikować. To, co on im mówi, jest spójne.

Jeżeli mamy szukać źródła kryzysu politycznego w Polsce, to jest nim silna personalizacja sporu.

Czyli takie sprawy jak praworządność, Unia Europejska, afery do tych ludzi nie przemawiają?

– Machają na to ręką: dajmy spokój! To już było! Ostatecznie ważne jest, jak nam się żyje. Ważne jest moje, że tak powiem.

Nie wierzę, że liczy się tylko kielbasa.

– I ma pan rację, są jeszcze inne czynniki. Jeśli popatrzymy na wyborców PiS, tych ultra – dla nich ważne są wartości, takie jak suwerenność, poczucie godności. Dla nich znaczenie ma to, co jest ważne także dla drugiej strony – że mają dzisiaj swoich ludzi u władzy, więc czują, że mają wpływ na rzeczywistość. Po drugiej stronie mamy ultrasów opozycyjnych. Oni niekoniecznie są wszyscy platformerscy, tam są różne

środowiska. I co się dzieje? Gdy wy ciśniemy to, co mówią – ich głównym problemem jest poczucie, że nie mają wpływu na rzeczywistość. Bo nie rządzą ich ludzie.

Bo jakby mieli swojego ministra...

– To on by ich słuchał! A tak to nikt ich nie słucha. A pośrodku mamy tego szarego Polaka. I to nie jest tak, że on siedzi i przełącza z TVN na TVP Info. Nie! On lub ona tę politykę ma gdzieś z boku. Raczej myśli o rodzinie, o szkole, o pracy, o przyjacielach,

co się dzieje na jego/jej ulicy. Rzadko kiedy patrzy, co dzieje się w powiecie, a w województwie to już w ogóle... W kraju? Jego świat musiałby zostać zaburzony, żeby zaczął tymi sprawami się interesować. Takim zaburzeniem był covid, takim zaburzeniem była wojna. Do pewnego stopnia również inflacja. Tylko myśmy zdążyli się do niej przyzwyczaić... To nie znaczy, że ci ludzie, ten szary Polak, nie pójda głosować. Pójda. Tylko ich decyzje będą motywowane trochę inaczej, niż nam się wydaje.

Złodziejstwo wyborców nie rusza

A czym będą motywowane?

– Co steruje wyborcami? Amerykanie stwierdzili w swoich

badaniach, że główną motywacją do tego, żeby zagłosować na tę partię lub inną, jest nienawiść do drugiej. Tak jest i u nas! Bardziej nas motywuje niechęć do drugiej strony niż miłość do własnej. Dla socjologów to smutne, natomiast dla polityków to świetna wiadomość, bo trudniej operować na emocjach pozytywnych niż na negatywnych. Łatwiej zarazić kogoś strachem, nienawiścią niż miłością, przyjaźnią, akceptacją i tolerancją. Poza tym sprawdziliśmy, jakie tematy wpływają na Polaków.

Jakie?

– Przyszłość kraju, demokracja, prawa kobiet, cięża. Ci, którzy obawiają się np. o sprawy imigracji, to są ci, których przyciąga PiS.

A złodziejstwo PiS rusza ludzi?

– Nie.

Dlaczego?

– Gdyby PiS kradło, a nam żyło się gorzej, toby ruszało. A tak... Może i kradną, ale się dzielą. Ja wiem, że to slogan, ale on w pewnym sensie wciąż działa. To znaczy: może oni i kradną, ale generalnie to nie wpływa na mój poziom życia. Tak trochę polityka wygląda... Od PiS odstręcza postawa liberalna. Progryzmy obyczajowy, ale i liberalizm gospodarczy.

Wyborca PiS jest konserwatywny obyczajowo i nastawiony na działanie państwa w sferze gospodarki.

– I to go różni od wyborcy Konfederacji. Wyborca Konfederacji jest dużo bardziej progresywny niż PiS. A w sferze gospodarki... Dla Konfederacji 500+ to coś niemal nie do zaakceptowania. Co jest dowodem na to, że układ PiS-Konfederacja nie ma szans. Konfederacja może wejść w koalicję z PiS, ale to będzie jej koniec. Jej samobójstwo.

Bo 500+ to filar PiS,

a niechęć wobec 500+

to filar Konfederacji. A jak jest z Koalicją Obywatelską?

– Jeśli prześledzimy podobne wektory, to Koalicja Obywatelska jest dokładnym przeciwieństwem PiS. Imigracja, demokracja, prawa kobiet...

A Lewica?

– Dla Lewicy wejście do rządu jest niezbędne. Ona musi dowieźć jakąś

Odszedł

Redaktor Eugeniusz Guz

Ceniony publicysta

Dziennikarz PAP (1953-1990), korespondent PAP w Berlinie i Bonn. Publicysta znany z łamów wielu tytułów, m.in. „Życia Warszawy”, „Polityki”, „Trybuny Ludu”, „Dziś” i „Przeglądu”. Autor kilkunastu książek. Wybitny znawca problematyki niemieckiej i najnowszej historii Polski. Pisał na te tematy na naszych łamach.

Żegnamy Go z żalem

Córcie i Bliskim serdecznie współczujemy

Jerzy Domański i zespół „Przeglądu”

część swoich obietnic. Musi pokazać sprawczość w zakresie tej płaszczyzny programowej, na której obecnie egzystuje. Bo sprawczość w kadencji

które on od polityki i od państwa może dostać, będzie inna. Różne podziały będą zatem definiować spór w kampanii.

Dla Lewicy wejście do rządu jest niezbędne. Ona musi dowiedzieć jakąś część swoich obietnic.

2001-2005 jest dzisiaj nieistotna. Lewica eseldowska i Lewica dzisiejsza to nie są te same partie. I chodzi tu nie o kadry, lecz o aspiracje, elektorat, program. Z czym boryka się w tej chwili Lewica, dlaczego nie jest w stanie skutecznie sięgnąć po swój elektorat? Dlaczego jej wyborcy idą do punktu wyborczego i tam oddają głos na Koalicję Obywatelską? Wynika to z braku wiary, że ta partia naprawdę coś zmieni. Owszem, program ma super. Ale niczego jeszcze w swoim nowym życiu nie dowiodła. Musi coś realnie zrobić, a nie tylko opowiadać. Dlatego Lewica musi być częścią wspólnej ekipy rządzącej. Najlepiej w tych obszarach, w których mieszczą się jej główne kompetencje, tam potrzebuje sukcesu.

Emeryt może więcej

Mówimy, że polityka w Polsce jest zabetonowana. Ale przecież Polska się zmienia. Jedni umierają, drudzy wchodzą w dorosłość. Jeszcze inni przeprowadzają się do różnych miejscowości. Skąd więc ten beton?

– Ciągłe byt kształtuje świadomość. Wraz z procesem nabierania

Polskie społeczeństwo bardzo się zmieniło. Jesteśmy w szalony sposób dużo bardziej progresywni, niż byliśmy. Czy to znaczy, że jesteśmy progresywni na poziomie europejskim? Nie! Ale droga, którą przebyliśmy, jest imponująca.

Może dlatego PiS nie gra Kościołem?

– PiS nie gra Kościołem ani LGBT. Prezes mówi, że nawet kobieta w ciąży ma prawo do życia.

Młodzi są coraz słabsi politycznie, gdyż jest ich mniej.

Zobaczmy, w jaki sposób w kampanii PiS funkcjonują dzisiaj te zagadnienia, które nazwalibyśmy agendą konserwatywną. Nie funkcjonują! To znaczy, że oni sobie gdzieś tam to przegadali, podrapali się w głowę i doszli do wniosku, że lepiej odpuścić. **Jakie więc zagadnienia dominują? Jaki jest podział?**

– Podział dotyczy roli państwa. Z jednej strony, państwo liberalne, z drugiej – etatyzm. Podział: konserwatyzm i progresywizm. Jak wskazuje prof. Mikołaj Cześnik, również Unia Europejska będzie

stopniu są zależne od państwa. Choćby dlatego, że znacznie częściej korzystają z opieki zdrowotnej. Młodzi rzadziej chodzą do lekarza. Potrafią zawołać: po co mam płacić na NFZ czy ZUS, kiedy jestem zdrowy? I to jest oś sporu, która będzie zmieniać polską politykę.

Młodzi-starzy?

– A młodzi są coraz słabsi politycznie, gdyż jest ich mniej. Co to oznacza? Że partie, chcąc uzyskać głosy, będą się zwracać w tę stronę, gdzie głosów jest więcej i gdzie cały czas ich przybywa. Poza tym emeryci karnie głosują. I ten podział widzimy. Bo, jakkolwiek to brzmi, PiS z Platformą to dzisiaj starsi wyborcy. Nie chcą powiedzieć, że są to partie emeryckie, to by było nieprawdziwe, ale mają znacząco starsze elektoraty niż Konfederacja i Lewica.

A spór wieś-duże miasta nie istnieje? Przecież wyniki wyborów są tam zupełnie różne.

– Oczywiście, że ten spór trwa. Tylko że jest wspierany innymi czynnikami. Takimi jak podział na konserwatyzm i liberalizm. Jest to też spór między tymi, którzy są bardziej zależni od państwa, i tymi, którzy uważają, że bez państwa mogą sobie poradzić. Wieś jest starsza...

Czyli znów spór młodzi-starzy.

– I Kaczyński, i Tusk są w wieku emerytalnym. A inni liderzy? Mentzen, Bosak – każdy widzi. Lewica? Czarzasty jest bliski wiekiem Tuskowi, ale ma Zandberga, ma Biedronia i ma przede wszystkim dużo młodych polityczek: Magdalenę Bieją, Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk, Katarzynę Kotulę, które budują wrażenie, że jest to świeża, młoda siła polityczna.

Popatrzmy na jedyne PiS, prawie połowa to emeryci.

– To jest spójne. Ta polityka ma sens. Choć stawia młodych na przegranej pozycji. Jest pytanie, czy oni dadzą się wkręcić w polaryzację, czy zagłosują, kierując się swoim interesem pokoleniowym. ▶

Platforma nie będzie wsadzać PiS do więzienia. Bo za cztery lata przestanie rządzić. Oni potrzebują siebie nawzajem.

doświadczenia, że zmianą pozycji zawodowej czy sytuacji życiowej zmieniają się nasze potrzeby. To znaczy, że będziemy inaczej reagować na bodźce. Może dla młodego człowieka najważniejsze będą prawa równościowe. Ale kiedy się zestarzeje, ważne zaczną być inne sprawy. On nie przestanie być progresywny. Tylko że waga tych różnych rzeczy,

wartościować, będzie osiłą sporu. Nie podzieli społeczeństwa w sposób symetryczny, ale też nie podzieli go w stosunku dziewięć do jednego. I kolejna oś wskazywana przez Mikołaja Cześnika – podział między młodymi i starymi, bo struktura społeczna się zmienia, jesteśmy starzejącym się społeczeństwem. A ci starsi to osoby, które w coraz większym

► Czyli na Lewicę albo na Konfederację?

– W polityce jest tak, że partie pochylają się szczególnie nad tymi grupami, które je wybrały i które stanowią ich zaplecze. Jeśli więc chodzi o młodych, będą musieli wybierać: albo ktoś będzie trzymał pod kontrolą „emerycko” zorientowane partie, albo ich interes przez najbliższe lata będzie sobie leżał odłogiem. W tej przestrzeni i Lewica, i Konfederacja odgrywają rolę bezpieczników. A w przypadku Konfederacji, jeśli obecne sondaże się nie zmieniają, także tej siły, która będzie podejmowała decyzje.

Czego się boi PiS?

A sondaże mogą się zmienić?

– Oczywiście, że tak. Jeżeli tym dwóm dużym partiom uda się osiągnąć efekt polaryzacji... Uważam, kieruję się tu swoją opinią, nie żadnymi faktami, że dla PiS i dla Platformy do zaakceptowania są takie wyniki wyborów, po których albo będzie rządziło PiS, albo będzie rządziła Platforma.

Pisowcy nie boją się, że jak Platforma przejmie władzę, zacznie ich rozliczać, może nawet wsadzać do więzienia?

– Ależ Platforma nie będzie wsadzać PiS do więzienia. Bo za cztery lata przestanie rządzić. Oni potrzebują siebie nawzajem. Mogą więc ścigać się prokuratorami, sądami, różnymi narzędziami, ale zabić się nie mogą. Zabijają? To tracą rację bytu. I działa to dokładnie w obie strony. Mało kto pamięta, co było w 2015 r., jakie wtedy PiS zapowiadało programy Cela+! Jakie było natężenie tych komunikatów.

Mieli wsadzać mafię watowską i oczywiście pół Platformy.

– Skończyło się tym, że przeczołgali Sławomira Nowaka. I może jeszcze dwóch. To jest bardziej gonienie króliczka. Patrząc na to z tej perspektywy, PO dla PiS jest bezpieczną opcją. Najmniej bezpieczna opcja jest taka, że nie ma Tuska. Albo że Tusk jest słaby.

Dlatego najszerze i najważniejsze pytanie o te wybory brzmi tak: czy już jest koniec PO-PiS?

Czy też PO-PiS kolejny raz się obroni?

– Obroni się. A trzecia kadencja PiS to już będzie orbanizacja absolutna... Chociaż nie wiem, czy te analogie są takie proste. Siła Orbána i siła Kaczyńskiego to dwie zupełnie inne siły. Kaczyński jest słabszy. I w partii, i w państwie. I nie chodzi tu o sądy. Chodzi o to, na ile on jest w stanie kontrolować własnych ludzi. Żeby nie kombinowali na boku, żeby nie pchali swoich własnych interesów. Popatrzmy na aferę wizową w MSZ. Czy to, że mówię, iż Kaczyński jest słabszy niż Orbán, oznacza, że w Polsce będziemy mieć dalej rozbiór praworządności? Pewnie tak. Tylko że do pewnego stopnia będzie on równie nieudolny jak to, co obserwowaliśmy dotychczas. Już osiem lat Kaczyński niszczy praworządność.

Trochę zniszczył, trochę mu się nie udaje.

– Sukcesu nie ma. To wszystko wygląda bardzo po polsku. Trochę z dyktu jest ta dyktatura.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Filharmonia
Narodowa

INAUGURACJA SEZONU ARTYSTYCZNEGO 2023/2024 BEETHOVEN IX SYMFONIA

29/30.09

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej / Andrzej Boreyko – dyrygent /
Iwona Sobotka – sopran / Eva Vogel – mezzosopran / Samuel Sakker – tenor /
Wojciech Gierlach – bas / Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Penderecki, Lutosławski, H.M. Górecki, Beethoven

Na koncerty zaprasza
Strategiczny Mecenasa Roku
Filharmonii Narodowej



Bank Polski

Organizator



Strategiczny
Mecenas



Mecenas



Sponsorzy



NIECH ŻYJE STAROŚĆ!



Piotr Gadzinowski

Starość to przyszłość

„A jak Lewica zamierza pomóc młodym?”. To pytanie zawsze pada podczas spotkań wyborczych. Za to rzadko jestem pytany, co Lewica proponuje starszym. Choć często starsi przeważają na takich spotkaniach.

W Polsce medialnie i mentalnie utarło się, że każda partia polityczna musi mieć program dla młodych. I prezentować go na okrągło. Bo „młodzi to przyszłość”, bo „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

Jeżeli jednak poczytamy liczne, poważne prognozy, to przyszłość naszego kraju i Europy należy do ludzi starszych. Bo z biegiem lat będzie ich przybywało – młodzi będą rodzić coraz mniej dzieci, a starzy dożywać późnej starości. I jeśli wierzyć prognozom GUS, w 2050 r. żyć będzie w Polsce ok. 30 mln obywateli, a jedna trzecia tej populacji to będą osoby w wieku 65+.

Dlatego nie akceptuję gładzenia, że „starość nie radość”. Bo „starość to radość”. I to jest mój plan życiowy i moje hasło wyborcze. Już teraz wielu polskich emerytów statystycznie żyje dostatniej niż młodzi. Starzy zwykle mają gdzie mieszkać, bo z biegiem lat dorobili się zakwaterowania. Niektórzy przeczornie przygotowali już sobie kwatery pośmiertne.

To polscy emeryci wywalczyli już lęk przed ich gniewem u wszystkich poważnych partii politycznych. Bo ludzie starsi gremialnie chodzą na wybory. Tak licznie, że każda władza musi z nimi się liczyć. Przynajmniej w roku wyborczym. A każda poważna opozycja powinna o ich głosy zabiegać.

Niestety, wielu ludzi starszych uważa, że jedynie PiS dba o ich żywotne interesy. Bo władza PiS pilnuje corocznych rewaloryzacji emerytur. Do tego daje 13. i 14. „emeryturę”, choć są to tylko jednorazowe świadczenia socjalne. I nie wszystkim emerytom wypłacane.

Dziś polska „minimalna” emerytura wynosi ok. 1,6 tys. zł. Przeciętna jest dwa razy wyższa. Te emerytury są niskie, bo obowiązujący system opiera się na zasadzie długiej pracy i długiego okresu płacenia składek. Dlatego osoby pobierające najwyższe świadczenia, te powyżej 30 tys. zł, przeszły na emeryturę dopiero po 80. roku życia. Przeszły, bo miały szansę tak długo pracować na „staromodnych” dziś umowach o pracę. Z czasów przed „optymalizacją pracy”, czyli masowym wypychaniem pracowników na „jednoosobową działalność gospodarczą” lub umowy „śmieciowe”.

Pomimo tego każda z konkurujących w tych wyborach partii obiecuje obniżenie wieku uprawniającego do emerytury oraz „emerytury stażowe”. Boją się, że niezreformowany stary system, oparty na długim czasie pracy i emeryturach opłacanych ze składek pracujących, nie utrzyma w przyszłości tylu emerytów.

Skoro chcemy utrzymać obecny wiek uprawniający do emerytury, musimy stworzyć system zachęt do kontynuowania pracy przez nowych emerytów. Na zajmowanych przez nich stanowiskach, ale już w niepełnym wymiarze czasu pracy. System sezonowych, weekendowych prac na „dniówki”. Oczywiście jest, że doświadczeni pracownicy powinni być doradcami, „magazynami wiedzy” w wielu przedsiębiorstwach.

Ważnym krokiem ku politycznemu upodmiotowieniu ludzi starszych mogą być frakcje seniorów przy partiach politycznych. Skoro każda partia polityczna ma swoją młodzieżówkę, dlaczego nie może mieć swojej „starówki”? Statutowej partyjnej struktury o uprawnieniach frakcji?

Każda taka „starówka” powinna wybierać swojego lidera, który powinien zasiadać w kierownictwie partii. Skoro wiele partii ma już w statutach zapisany parytet płci przy układaniu list wyborczych, to dlaczego seniorzy nie mieliby mieć prawa do takiego parytetu? Do zagwarantowanej swojej puli miejsc na listach wyborczych, zwłaszcza puli miejsc uważanych za biorące?

Skoro każda partia ma młodzieżówkę, dlaczego nie może mieć swojej „starówki”?

W polskich mediach często można znaleźć pogardliwe krytyki Sejmu i Senatu za mały udział w nich ludzi młodych. Ale dlaczego polski parlament ma się przymusowo odmładzać? Dlaczego szczególną wartością ma być młody wiek? A nie posiadane doświadczenie zawodowe i polityczne?

Czemu tylko reprezentacja młodych w parlamencie ma zagwarantować młodym celną i skuteczną realizację ich interesów? To przecież starzy, którzy przeszli już etap życiowej młodości, są świadomi, co wtedy było im najbardziej potrzebne. Wiedzą, jakie popełnili błędy, przed którymi warto teraz młodych ostrzec. Poza tym, znając polskie realia, zanim w pełni zostaną zrealizowane programy dla starszych, kolejne roczniki młodych się zestarzeją.

Najwspanialszy mistrzowie holenderskiego malarstwa malowali portrety ludzi starszych. Potrafili wydobyć ich ukryte piękno. Dlatego polscy politycy tego nie potrafią?

Czas najwyższy dać w naszym kraju więcej szans ludziom starszym. Czas na lewicową „starówkę”!

Starość może być twórcza. Może być wielką radością. Ale pod jednym warunkiem. Starość nie może oznaczać samotności.

Piotr Gadzinowski jest kandydatem Lewicy w wyborach do Sejmu w Warszawie. Lista nr 3, miejsce 5.

Pani senator na tropie

Lidia Staroń z Olsztyna uważa się za obrończynię pokrzywdzonych i wciąż ściga rzekomą spółdzielczą mafię

Marek Książek

W Olsztynie chyba nikt nie ma wątpliwości, że trzeci raz z rzędu mandat senatorski w okręgu nr 86 przypadnie Lidii Staroń, kandydatce niezależnej, skutecznej i wiarygodnej, jak wypisała na swojej ulotce wyborczej. Kariera polityczna pani senator zaczęła się w 2005 r., kiedy rozpętała nagonkę na członków zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej Pojezierze i jej prezesa Zenona Procyka. Prokuratura postawiła im 20 zarzutów, w tym wybudowania bloku z tanimi mieszkaniami dla miejscowych prominentów. Sprawa stała się głośna w kraju, Procyka i jego zastępców aresztowano, a wiceprezes Andrzej Łoziński, wkrótce po wypuszczeniu go na wolność, nachodzony przez funkcjonariusza CBS, popełnił samobójstwo, skacząc z 10. piętra bloku stojącego nieopodal lokalu Lidii Staroń. Czy to był przypadek, czy świadomy wybór miejsca – trudno wyrokować, niemniej jednak tragedia nabrała symbolicznego wymiaru.

Zenon Procyk siedział w areszcie prawie osiem miesięcy i dopiero po desperackiej interwencji żony mógł wrócić do domu i z wolnej stopy szykować się do procesu.

Po 16 latach został prawomocnie uniewinniony. Mimo to Lidia Staroń nie zamierzała go przeproszać, nadal twierdząc, że stał na czele spółdzielczej mafii – w PRZEGLĄDZIE od 2014 r. pisaliśmy o tym kilkakrotnie. Za niestuszny pobyt w areszcie i straty moralne Procyk otrzymał odszkodowanie i zadośćuczynienie w łącznej kwocie 1,8 mln zł, na co Lidia Staroń z oburzenia zabrakło słów. Do akcji wkroczył wtedy prokurator generalny Zbigniew Ziobro, składając

kasację, a po jej odrzuceniu – skargę nadzwyczajną, także bez skutku. Zenon Procyk mógł się poczuć całkowicie oczyszczony w majestacie prawa, ale nie w oczach pani senator.

Chwalona początkowo za waleczność przez samego Donalda Tuska, po trzech kadencjach piastowania mandatu posłanki z listy Platformy Obywatelskiej Lidia Staroń zostawiła



Lidia Staroń nie dała się przekonać, że wszystkie sądy uniewinniły Zenona Procyka (stoi w rogu) i wciąż zalicza go do spółdzielczej mafii.

to ugrupowanie i w 2015 r. pod szyldem własnego komitetu „Zawsze po stronie ludzi” wystartowała w wyborach do Senatu. Zyskała sławę w kraju jako nieustraszona wojowniczką o prawa spółdzielcze, będąc gwiazdą programu „Sprawa dla reportera” Elżbiety Jaworowicz. W cuglach zdobyła więc mandat, pokonując dotychczasowego pewniaka z PO, prof. Ryszarda Góreckiego, a także kandydatkę PiS. Po czterech latach partia Kaczyńskiego już nie wystawiała w okręgu olsztyńskim swojego człowieka, licząc na przychylność Lidii Staroń, która potwierdziła to, wielokrotnie głosując razem z senatorami PiS. Jednak władze PiS chyba nie

do końca są przekonane o jej życzliwości, a może były zawiedzione jej niefortunnym startem w 2021 r. na rzecznika praw obywatelskich, bo w tym roku w okręgu nr 86 zgłosiły swojego kandydata – popularnego lekarza Zbigniewa Purpurowicza, urologa. Tym samym Lidia Staroń stała się przeciwniczką PiS.

Zmianę klimatu wokół niej mogliśmy zaobserwować podczas konferencji prasowej 21 września na temat jej kolejnej inicjatywy legislacyjnej dotyczącej ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych. Reporter TVP Olsztyn zapytał panią senator, z czego wynikają rozbieżności między księgami wieczystymi a jej oświadczeniem majątkowym. W księgach ma bowiem zapisanych kilkanaście

nieruchomości, a w najświeższym oświadczeniu – kilka mniej. Lidia Staroń odparła, że nieruchomości „dokładnie są takie jak w oświadczeniu, być może były zbyt i jeszcze nie ma [uaktualnionych wpisów] w księgach. Nie mam pojęcia, trzeba sprawdzić, ja nie sprawdzam ksiąg, ale nie ma żadnego problemu, zawsze można sprawdzić”.

Nieoczekiwanie na konferencji pojawił się Zenon Procyk, który wysłuchał oracji pani senator, by zapytać, czy zamierza przeprosić rodzinę Łozińskich za to, że wiceprezes Pojezierza popełnił samobójstwo. Zdenierwowana Lidia Staroń nakazała mu opuszczenie lokalu. Zagroziła, że Procyk może się spodziewać pozwu w trybie wyborczym. Przy czym były prezes zastrzegł, że nie twierdzi, iż pani Staroń była przyczyną śmierci jego kolegi, ale zastanawiał się, kto nakręcał to wszystko. Starcie trwało kilkanaście minut, obie strony wygłaszały swoje racje, ale Lidia Staroń nie dała się przekonać, że wszystkie sądy uniewinniły byłego prezesa, i wciąż zalicza go do spółdzielczej mafii. Jakby czas stanął w miejscu. ■

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Moja mama umarła przez PiS

Preczytałem niedawno rozmowę Krystyny Jandy z Tomaszem Lisem. Wielka aktorka mówi: „Ja myślę, że PiS zabił kilka osób. Moja matka umarła przez PiS. W pewnym momencie zrobił się guz i już tego nie wytrzymała. (...) Moja matka spędzała ostatni rok życia cały czas przed telewizorem, denerwując się do tego stopnia, jakby nie mogąc się pogodzić ze wszystkim, co słyszy, że moim zdaniem niestety umarła od tego”. Czytałem, nie dowierząc: o kim mówi Krystyna Janda? Przecież to jest o mojej mamie.

Był 3 maja 2007 r. Święto narodowe. Pisowskie szaleństwo weszło w apogeum. Premier Jarosław Kaczyński opowiadał o ludziach, którzy – wyjeżdżając w czasach PRL na Zachód – stawali się automatycznie „zahaczeni o bezpieczeństwo”. Prezydent Lech Kaczyński twierdził, że inteligent przeciwstawiający się lustracji przestaje być inteligentem. Mama cały dzień słuchała telewizji. Myślała o mnie, bo w czasie PRL wyjeżdżałem na Zachód z paszportem służbowym z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Myślała o mnie, bo w III RP krytykowałem lustrację. Nie mogła uwierzyć, że władze wolnej Polski mogą insynuować, że jej syn był niemal-kapusiem. Oraz że nie jest inteligentem.

„Siedziałam w fotelu, przykuta do ekranu – mówiła mi wieczorem – nie chciałam tego słuchać, ale nie byłam w stanie oderwać się od telewizora. Głowa mi puchła”. Wróciłem właśnie z wycieczki w Beskid Żywiecki i słuchałem mamy z pewnym roztertowaniem. Czemu tak stałe się przejmuję? Ja byłem na wszystko odporny: na lustracyjny obłąd, na obelgi, jakie na mnie spadały, na pogroźki, jakimi mnie częstowano. Powiedzieliśmy sobie z mamą „dobranoc”. Rano zadzwonił ojciec. Mamie odjęło władzę w nogach.

Szpital jeden, drugi i trzeci. Mama rześka i pogodna, ale na nogach wciąż nie może ustać. Lekarze rozkładają ręce. Zawieźliśmy więc mamę do domu. Do jej własnego łóżka. Ale tu jej się pogorszyło: nie była w stanie mówić, z wysiłkiem chrypiała. Potem zaczęła się dusić. Karetka znów zawiozła ją do szpitala – mama została zaintubowana. Po paru dniach zatelefonowała do mnie siostra. Znała już diagnozę: to był rak. Dla mamy nie było ratunku.

Czy była ofiarą PiS? Nowotwór z pewnością zżerał ją od długiego czasu. Ale od jak długiego? Rządy tamtego, „pierwszego PiS”, trwały już dwa lata – czy to przez ten

czas rak się rozwinął? I jak to się stało, że organizm mamy tak się załamał? Mama nigdy nie przeszła operacji, a w szpitalu leżała tylko wtedy, gdy rodziła mnie i siostrę. Mąż lekarz, mój ojciec, czuwał nad nią każdego dnia. Ale teraz medycyna była już bezradna. Odłączono mamę od respiratora, nakarmiono sterydami. Mama znowu odżyła i tylko my, rodzina, wiedzieliśmy, że polepszenie jest chwilowe. 9 czerwca rozmawialiśmy po raz ostatni, katastrofa przyszła zaraz potem, w nocy. Mama zapadła w śpiączkę, z której już się nie wybudziła. Leżała w szpitalu nieprzytomna półtora miesiąca. Zmarła 18 lipca.

Czy była ofiarą PiS? Staram się zrozumieć optykę jej generacji – „pokolenia Kolumbów”. Przed wojną ci ludzie wzrastali w kulcie odzyskanego państwa. W czasie okupacji konspirowali i walczyli, ryzykowali życiem. Po wojnie, z całym swoim antykomunizmem, starali się coś zrobić dla Polski – aż do Solidarności. To wszystko było udziałem mojej mamy. Kuzynka Jana Bytnara „Rudego”, przyjaciółka Stanisława Dydy, konspiratora rozstrzelanego po wojnie, wielbicielka PSL Stanisława Mikołajczyka, nie była w stanie tolerować tżepatriotyzmu naszych czasów. I nie mogła się odnaleźć w klimacie pisowskiej nienawiści. Rozumieliśmy się z mamą bez słów. Zaraz po jej śmierci wydałem książkę „Rozkosze lustracji”, którą jej zadedykowałem: „Wiernej towarzysze moich bojów z lustracją”.

Bo dla mojej mamy odrzucenie pisowskiej lustracji było kwestią nie tylko zasad, ale może przede wszystkim smaku. Gdyby jednak z zachowanej dokumentacji medycznej okazało się dzisiaj, że łączenie tej śmierci z PiS nie jest uzasadnione, i tak nie może to zmienić mojej świadomości: pamięci o telewizyjnej torturze mamy w święto 3 Maja i o początku jej choroby rankiem dnia następnego. Te fakty przedziela przecież najwyżej 12 godzin. Dwupółmiesięczne umieranie mojej mamy zaczęło się od PiS.

Nie znam osobiście Krystyny Jandy, podziwiam tylko od lat jej wspaniałe aktorstwo. Ale wiem, że jesteśmy rówieśnikami. I wielce prawdopodobne, że rówieśniczkami były też nasze mamy. Ich odporność, wytrzymałość starego człowieka okazały się na Polskę pisowską zbyt słabe. My żyjemy. Ale nasze mamy umarły przez PiS.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Kornel Wawrzyniak

W Polsce w zasadzie nie istnieje spójny system szkolenia i egzaminowania przyszłych kierowców – takim stwierdzeniem zaczyna się nowy raport Najwyższej Izby Kontroli dotyczący szkolenia kierowców w naszym kraju. Powodem jest bałagan związany z niespójnymi regulacjami prawnymi wydawanymi na poziomie organów administracji publicznej. I chociaż najczęstszą przyczyną wypadków, jak wskazuje policja, są nadmierna prędkość, brawura kierowców i jazda pod wpływem alkoholu, to NIK widzi jeszcze inny problem. Mowa o złym przygotowaniu kierowców podczas kursów. „W ocenie NIK konieczne są pilne zmiany w całym systemie szkolenia, tym bardziej w obliczu rosnących społecznych i ekonomicznych kosztów wypadków i kolizji drogowych, które sięgają rocznie ponad 39 mld zł”, czytamy w raporcie.

Licencja na kierowanie

Kontrolerzy NIK wskazują, że instytucje państwowe, w tym Ministerstwo Infrastruktury, od lat nie zapewniają kandydatom na kierowców odpowiedniego przygotowania, by mogli bezpiecznie poruszać się po drogach. Nie mamy spójnego systemu kształcenia kierowców. Wątpliwe są jakość kursów oraz poziom pracy instruktorów, egzaminatorów i wojewódzkich ośrodków ruchu drogowego (WORD), które przeprowadzają egzaminy.

NIK wytyka fiasko kolejnych państwowych programów, które miały wpłynąć na poprawę bezpieczeństwa ruchu drogowego. Od wejścia Polski do Unii Europejskiej nie udało się zrealizować żadnego zakładanego celu związanego z poprawą bezpieczeństwa ruchu drogowego. Wstępując do UE, zobowiązaliśmy się do realizacji polityki unijnej w tym zakresie. Celem było zmniejszenie do 2020 r. o połowę liczby ofiar śmiertelnych wypadków drogowych. W 2013 r. wdrożono również Narodowy Program Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego, który zakładał, że

do 2020 r. będzie mniej niż 6,9 tys. ciężko rannych. Z danych zebranych przez kontrolerów wynika, że tempo zmian nie było jednak wystarczające. Liczba ofiar śmiertelnych do końca 2020 r. była o 25% wyższa, niż zakładał narodowy program, ciężko rannych zaś – o 28%.

Mimo mniejszej w ostatnich latach liczby wypadków oraz ofiar śmiertelnych i rannych nie przestał rosnąć odsetek wypadków z winy kierujących, a co za tym idzie, liczba zabitych i rannych w ich następstwie nadal jest bardzo wysoka. Najwięcej wypadków spowodowali kierowcy w wieku 18-24 lata, a głównym powodem jest ich brawura. Kraje europejskie wymyśliły, jak sobie z tym problemem poradzić. Ponad dekadę temu w pakiecie wielu potrzebnych zmian prawa drogowego

zaproponowano wprowadzenie okresu próbnego dla świeżo upieczonych kierowców z kategorią B (prowadzenie pojazdów osobowych do 3,5 tony). Tacy kierujący przez 24 miesiące od uzyskania uprawnień mieli znajdować się pod szczególnym nadzorem. Niestety, ten przepis, choć leży na stole od lat, ciągle jest pomijany przez rządzących. Tymczasem kraje, które zdecydowały się na ten krok (m.in. Wielka Brytania, Austria, Francja, Niemcy), w zaledwie kilka lat odnotowały spadek nawet o 50% liczby wypadków z udziałem młodych kierowców. Co dostaliśmy w zamian w ramach nowelizacji przepisów drogowych dekadę temu? Nowy wzór dokumentu prawa jazdy, nowe kategorie praw jazdy i nowy system przeprowadzania egzaminów. O tym ostatnim

Strach się bać na drogach

Polscy kierowcy są fatalnie szkoleni – alarmuje Najwyższa Izba Kontroli



kontrolerzy NIK nie mają zresztą najlepszego zdania.

Błędy w egzaminach

Zmiana sposobu szkolenia kierowców jest dla NIK najważniejszym elementem procesu podnoszenia bezpieczeństwa na polskich drogach. Izba zwraca uwagę na programy szkoleń dla kierowców, instruktorów i egzaminatorów. W żadnym z trzech przypadków nie określono charakterystyki absolwenta danego kursu. To według kontrolerów skutkuje dowolnością i uznaniowością w testach egzaminacyjnych. Słowem, jaki ktoś ma pomysł, takie są testy. W konsekwencji w każdej jednostce mogą być inne, i to dowolne, standardy nauczania. „W ocenie NIK szkolenie kandydatów na kierowców jest ukierunkowane na uzyskiwanie pozytywnych wyników egzaminów, a nie na nabycie odpowiedniego poziomu wiedzy, umiejętności i w szczególności zachowań, które gwarantowałyby bezpieczne i odpowiedzialne kierowanie pojazdami przez te osoby. Od kursanta oczekuje się wyłącznie pamięciowego opanowywania treści teoretycznych, ale nie kształtuje się właściwych postaw przyszłego kierowcy. Konsekwencją tego jest przygotowywanie kandydatów wyłącznie do posiadania umiejętności zdania egzaminu”, piszą kontrolerzy.

NIK wskazuje również, że w szkoleniach na kierowców nie ma konkretnie określonych zagadnień dotyczących nauki udzielania pierwszej pomocy, ani na poziomie praktycznym, ani teoretycznym. Dodatkowo od 2016 r. uchylono przepisy nakazujące pisemne potwierdzenie przez instruktora, który szkolił przyszłego kierowcę, że uczestnik kursu ma odpowiednie umiejętności, aby ubiegać się o uprawnienia do prowadzenia pojazdów. To oznacza, że instruktorzy z ośrodków szkoleń kierowców nie ponoszą dziś żadnej odpowiedzialności za rzetelne przygotowanie kursantów do państwowego egzaminu. A to dopiero początek problemu. Nie dość bowiem, że zniesiono obowiązek posiadania przez instruktorów minimum średniego wykształcenia, to jeszcze według

obecnie obowiązujących przepisów instruktorem może zostać osoba, która sama posiada prawo jazdy od zaledwie dwóch lat!

Ale kto by się zastanawiał nad instruktorami, skoro nawet minister infrastruktury nie przejmuje się rzetelnością pytań egzaminacyjnych w państwowym teście na kierowcę. Izba podkreśla w raporcie, że nikt nie pilnuje komisji ds. weryfikacji i rekomendacji pytań egzaminacyjnych. Sprawdzono losowo 300 pytań egzaminacyjnych i wykazano, że co 20. pytanie oraz odpowiedź były sformułowane w sposób niejednoznaczny, a co 12. pytanie zawierało błędy merytoryczne. Niszczenie szkoleń na kierowców trwa według NIK od ponad 30 lat. Z każdym rokiem dochodziło do obniżania standardów przeprowadzania egzaminów.

Szkolenie kandydatów na kierowców jest ukierunkowane na zdawanie egzaminów, a nie na nabycie wiedzy i nauczanie bezpiecznych zachowań.

W 1998 r. utworzono wojewódzkie ośrodki ruchu drogowego, które miały przeprowadzać egzaminy państwowe. Testy na kierowców odbywały się początkowo tylko w dużych miastach, gdzie działały ośrodki. Dzięki temu przyszli kierowcy byli sprawdzani w podobnych warunkach i musieli się odznaczać podobnymi umiejętnościami. Wraz z rokiem 2013 przyszła zmiana przepisów, według której egzaminy na prawo jazdy w kategoriach AM, A1, A2, A, B1 lub B mogą się odbywać w dowolnym mieście wskazanym przez marszałka województwa. W konsekwencji nawet w małych miejscowościach, gdzie ruch drogowy jest znikomy, powstały jednostki terenowe WORD. „W ocenie NIK przeprowadzanie egzaminów państwowych na prawo jazdy w ośrodkach zlokalizowanych w małych miejscowościach nie pozwala na zachowanie jednolitych standardów przy ocenie umiejętności zdających”, czytamy w raporcie.

To prowadzi do wielu patologii. Po pierwsze, kierowcy uczący się i zdający w małych miejscowościach nie

nabyli takich umiejętności jak kursanci z dużych miast. Nie są m.in. nauczani poruszania się przy większym natężeniu ruchu. Po drugie, cała organizacja obecnego systemu egzaminowania prowadzi do nadużyć ze strony spryciarzy, którzy nawet jeśli uczą się jazdy w aglomeracjach, to udają się do dużo mniejszej miejscowości tylko po to, aby bezproblemowo zdać egzamin. NIK wskazuje, że na podstawie danych zebranych w 18 wojewódzkich ośrodkach można założyć, że przynajmniej 122 szkoły przeszkoliły niemal 11 tys. osób pochodzących z powiatów odległych o przeszło 100 km.

Mamy więc swoistą turystykę egzaminacyjną. Część osób zdawała teorię w dużym mieście, a następnie udawała się na egzamin praktyczny do mniejszego. W sieci krążyły

nawet opinie, w którym mieście najlepiej zdawać. Kontrola wykazała, że z ponad 18 tys. osób, które poszły na egzamin teoretyczny w Warszawie, aż 84% zdawało praktykę w mniejszym mieście na Mazowszu lub Podlasiu. Podobnie dzieje się w Wielkopolsce – 54% osób, które zdały teorię w Poznaniu, egzamin praktyczny zdawało w mniejszej miejscowości. Co gorsza, to już nie tylko trend wśród kursantów. Same ośrodki szkolenia kierowców proponują usługi z zakresu turystyki egzaminacyjnej. Jako przykład NIK podaje jeden z OSK w Wyszku, który oferował dwutygodniowe „wakacje z prawem jazdy”. Z ok. 1 tys. uczestników tylko 43 osoby pochodziły z powiatu wyszkowskiego.

Płać i zdawaj w nieskończoność

„Na 238 tys. przypadków przerwanego egzaminu ponad 198 tys. spowodowane było zachowaniem egzaminowanego, które zagrażało zdrowiu i życiu uczestników ruchu (egzaminy przeprowadzone w 18 WORD w latach 2016-2021, kat. B, I podejście). ▶

► Egzaminatorzy najczęściej przerywali egzamin z tak istotnych powodów jak nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu (35%), spowodowanie wypadku lub kolizji lub zachowanie, które mogło tym skutkować (18,6%), czy niezastosowanie się do znaków (13%)", wymieniają kontrolerzy. Najwyższa Izba Kontroli podkreśla, że brakuje regulacji dotyczących liczby podejść do egzaminu na kierowcę. Praktyką jest zdawanie do skutku. Zdarza się, że ta sama osoba podchodzi do egzaminu praktycznego kilkakrotnie tego samego dnia, rekordziści nawet pięciokrotnie. Według danych zebranych przez NIK za lata 2016-2022 takich przypadków było aż 19 tys.

Jeszcze gorzej wygląda kwestia egzaminów teoretycznych. Ponad 87 tys. osób (czyli prawie 11% wszystkich egzaminowanych) zdawało teorię kilka razy w tym samym dniu. Rekord to osiem podejść. Są również rekordy długodystansowe. Ponad 19 tys. osób podchodziło minimum 10 razy do egzaminu praktycznego, a 8 tys. nie mniej niż 10 razy do sprawdzianu z teorii, zanim go zdały.

Kolejną patologią jest fakt, że egzamin teoretyczny zdany raz nie traci ważności. Można więc podchodzić do egzaminu praktycznego wielokrotnie, i to latami, podczas

gdy zmieniają się przepisy ruchu drogowego, w związku z czym wiedza teoretyczna może być już dawno nieaktualna. Według NIK wszystko, co dzieje się wokół nauczania kierowców, wiąże się z tendencją do komercjalizowania procesu egzaminowania kandydatów. Kontrolerzy wskazują, że mimo iż WORD realizują zadania publiczne, jednocześnie prowadzą działalność jak podmioty gospodarcze. Utrzymują się z opłat za egzaminy, egzaminy poprawkowe i dodatkowe szkolenia. Z drugiej strony można powiedzieć, że mają pozycję monopolistów, ponieważ

nie spełniały wymagań, na placach manewrowych poruszały się samochody, które nie brały udziału w egzaminie. Wielokrotnie nie zapewniono prawidłowej rejestracji przebiegu egzaminu, a sześć samochodów, w których egzaminowano przyszłych kierowców, nie miało aktualnych badań technicznych. NIK zauważyła też w raporcie: „Nałożone na egzaminatorów dodatkowe ograniczenia mające na celu ograniczenie możliwości występowania mechanizmów korupcyjnych w procesie egzaminowania nie były skutecznie egzekwowane przez dyrektorów ośrodków”.

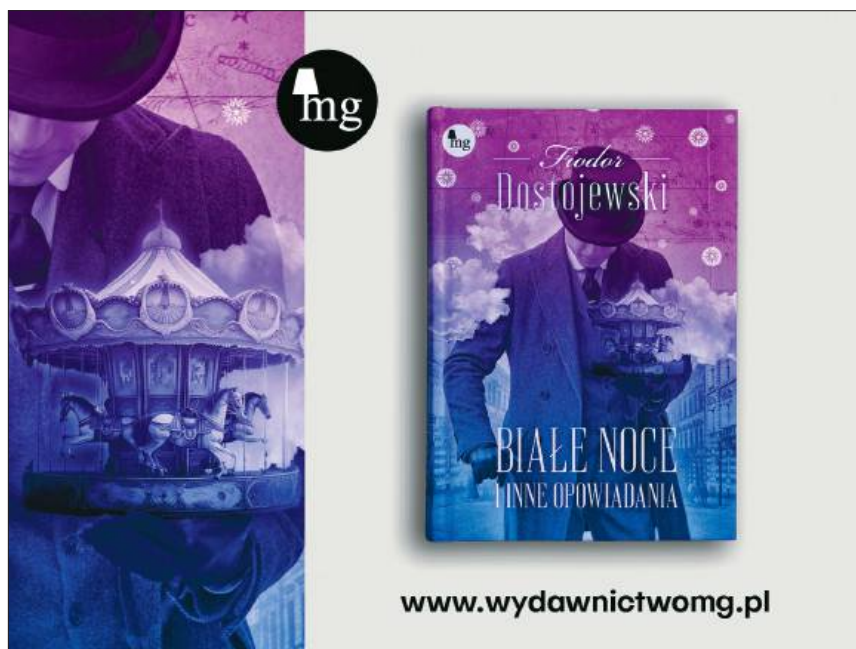
Instruktorzy z ośrodków szkoleń kierowców nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za rzetelne przygotowanie kursantów do egzaminu.

tylko one zajmują się egzaminowaniem kandydatów na kierowców.

Do tego obrazka dochodzą nieprawidłowości odnotowane w działaniu WORD. Część skontrolowanych ośrodków nie realizowała rzetelnie swoich zadań, często dochodziło w nich do naruszeń prawa. Kontrolerzy zakwestionowali warunki przeprowadzania egzaminu państwowego. Sale miały złe wyposażenie, warunki lokalowe

NIK wytyka nierzetelność również marszałkom województw i starostom, którzy nie korzystają z możliwości sprawdzania ośrodków szkolących i egzaminujących kierowców. Najwyższa Izba Kontroli zarzuca władzom lokalnym m.in. to, że kontrole w WORD były niekompletne, źle zaplanowane, a dokumentacja w większości była źle sporządzona. To samo dotyczy sprawdzania jakości dydaktycznej szkoleń.

W raporcie zawarto prawie 20 wniosków, które NIK kieruje do poszczególnych instytucji odpowiedzialnych za szkolenia kierowców w Polsce. Adresatem aż 14 jest minister infrastruktury, z czego dziewięć dotyczy potrzeby zmian w samym procesie edukowania kierowców. Zdaniem kontrolerów NIK bez należytej edukacji kierowców i ich ścisłej kontroli w pierwszych latach od zdobycia uprawnień nadal będziemy borykali się z drogową deგრęoladą, na którą państwo samo zapracowało. Niestety, dla wielu posiadaczy prawa jazdy skończy się to śmiercią lub ciężkim uszkodzeniem ciała. Najgorsze, że ucierpią również inni użytkownicy dróg, bo co roku śmierć na drogach zbiera w Polsce ogromne żniwo.



www.wydawnictwomg.pl

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Wolność i splendor pustej kieszeni

Czy wiemy, jakie źródła ma wolność? Potoczny entuzjazm podpowiada, że wolność po prostu jest. Zgodnie z nawykami, które utrwaliła kultura konsumpcji, jest ona traktowana jako artykuł codziennego użytku. Nie zastanawiamy się na ogół nad tym, jaką ma cenę i czego od nas wymaga. W zamierzcztych czasach przekonywano wprawdzie, że wolność jest dramatem, trudem, staraniem, że ma swój aspekt tragiczny. Przypominano Antygone, która postawiła prawdę własnego serca ponad prawami narzuconymi przez otoczenie, ale któż by o tym dziś myślał. Wolność stała się hasłem ośniewającym konformistyczną rutynę – tuzinkowe nadzieje związane z dążeniem do przyjemności. Uwierzyliśmy, że istnieje jakiś wielki portal podarunkowy, Amazon wolności, w którym składać można zamówienia, tak jak w listach do św. Mikołaja. Nie martwi nas nawet fakt, że polityka inwigilacji – flagowy projekt cyfrowego kapitalizmu, wykorzystującego naszą tożsamość jako surowiec – postawiła zasadę indywidualnej wolności na równi pochyłej perwersji i omamiania.

Perwersja rozkwita. Doszło np. do tego, że pewien tygodnik postanowił nagradzać pogardę wobec wolności tytułem Człowieka Wolności. Witamy w świecie Orwella! Odrzucając semantyczne prowokacje, postawmy proste pytanie: jak postępują ludzie wolni, jaką drogą kroczą? Moim faworytem był zawsze cynik – Diogenes z Synopy. Nikomu się nie kłaniał, nikomu nie starał się podobać – nikt nie miał nad nim władzy. Mieszkał w beczce, nie pragnął zbyt wiele. Gdy stanął nad nim Aleksander Macedoński – zdobywca połowy świata – ze słowami: „Proś mię, o co chcesz!”, odrzekł: „Nie zasłaniaj mi słońca”.

Przechodząc na nieco inne tory, zaznaczmy, że św. Augustyn (podejmując przesłanie Ewangelii) ostrzegał: bogactwo jest ciężarem, stajemy się niewolnikami własnych skarbów. Idąc w tym kierunku, postawię teraz tezę następującą: przyjmowanie korzyści, które partia rządząca zapewnia dziś swoim poplecznikom, jest w istocie aktem poświęcenia, ofiarą. Beneficjenci programu Willa+ dali tak naprawdę przykład chrześcijańskiej pokory i miłosierdzia. Jako męczennicy wzięli na siebie ciężar posiadania bogactw. Ich imiona wypadłoby umieścić w martyrologicznym kanonie upamiętnienia. Bądźmy uczciwi: na co wydawalibyśmy pieniądze, których – jak tłumaczył kiedyś prezes NBP – mamy w istocie za dużo (i wszyscy chcą je od nas pożyczać)? Przecież nie na szkoły, po co obarczać je tak dokuczliwym ciężarem.

Wracając do Diogenesa – filozof gardził bogactwem i odrzucał jego splendor. Czasami robił to w sposób brutalny. Gdy w pewnym wykwinnym domu ktoś pouczał

go, że nie należy pluć na podłogę, splunął mu w twarz, mówiąc: „Oto miejsce najbardziej odpowiednie”. Kto wie, może w ten właśnie sposób – w pogardzie dla bogactwa – powstaje przestrzeń wolności?

W istocie mamy do czynienia z wielkim dylematem, z wahaniem, które odnajdujemy u podstaw refleksji związanej z tradycją liberalizmu. Czy dążenie do wygod i bogactw można pogodzić z wolnością? Czy w fundamentalnej regule utilitaryzmu: jak największej szczęścia dla jak największej liczby ludzi, nie odzywa się jakaś niebezpieczna pokusa? Pamiętajmy: obietnice wzbogacenia – mamidło dobrobytu – to charakterystyczny wątek w programach wszystkich despotów.

Rzecz jest nam znana z własnego podwórka. Rządzący mamią, wabią, kuszą. Zapewniają: nakarmimy was, będziecie tak samo bogaci jak „ci” na Zachodzie (bardzo to przypomina buńczuczne deklaracje Chruszczowa: „Dogonimy i przegonimy”), ale nie przeszkadzajcie nam, nie wtrącajcie się. Zygmunt Bauman przekonywał przed laty, że nasze pragnienie wolności zostało zasymilowane przez chęć posiadania – utożsamiliśmy je z rozmaitością, ze swobodnym wyborem w czasie zakupów. Czy nie miał racji? Komu jest dziś jeszcze potrzebna wolność Antygony, Diogenesa, Giordana Bruna?

Obietnice wzbogacenia – mamidło dobrobytu – to charakterystyczny wątek w programach wszystkich despotów.

Na progu nowego roku akademickiego przypomnijmy zdanie jednego z najwybitniejszych polskich uczonych – socjologa Stanisława Ossowskiego – który „brak posłuszeństwa w myśleniu” traktował jako cnotę kardynalną, leżącą u podstaw akademickiego etosu. Zastanówmy się – jaki sens ma transakcja: obfitość w zamian za posłuszeństwo? Przekora jest cnotą – wolność domaga się przekory, mądrość domaga się przekory. Jeśli odrzucimy przekorę, pozostanie nam potakiwanie. Będziemy powtarzali to, co wszyscy i tak już wiedzą. Przekora (prowadząca często do ubóstwa, bo, jak głosi przysłowie, najczęściej zyskuje „pokorne ciele”) jest częścią ceny, którą za wolność trzeba zapłacić. Domaga się ona buntu, sprzeciwu. Popatrzmy na obywatelski zryw mieszkańców Izraela! Bohaterem wieku XIX i XX był „człowiek zbuntowany”, o którym pisał Albert Camus. Kto będzie bohaterem naszych czasów? Influencerka wyjaśniająca, na czym polega różnica pomiędzy snem na prawym i na lewym boku? ■

W Polsce przespaliśmy dyskusję o migracji

Przeoczono ten moment, kiedy Polska z kraju emigracji stała się krajem masowej już imigracji

Rozmawia Jakub Dymek

Co to znaczy, że w Polsce obserwujemy prywatyzację migracji?

– Jeżeli spojrzeć się na doświadczenia różnych krajów – europejskich i nie tylko – jeden wniosek jest oczywisty: zarządzanie migracjami jest niezwykle trudne, jeżeli w ogóle możliwe. Natomiast niezależnie od tego w większości krajów podejmuje się pewne próby radzenia sobie z tym zjawiskiem i zarządzania nim w jakiś sposób. Tymczasem w Polsce w ostatnich latach wydarzyła się rzecz dość dziwna.

Odpuszczono to?

– W Polsce nie ma obecnie żadnego oficjalnego dokumentu, który porządkowałby tę sferę i w szczególności formułował politykę migracyjną. Oczywiście jakaś polityka migracyjna jest, składają się na nią akty różnych szczebli i działania konkretnych instytucji. Natomiast nie mamy czegoś, co badacze migracji określają zwykle mianem doktryny migracyjnej. Nie zostało wyartykułowane, powiedziane ani zapisane w jasny sposób, jaki system migracyjny tak naprawdę mamy, do czego dążymy, czyli jaki chcielibyśmy mieć, i jakie cele sobie stawiamy na przyszłość.

Albo skoro to nie państwo określa doktrynę migracyjną w polskich okolicznościach, to kto?

– I to jest kluczowe pytanie. W Polsce sferę migracji podporządkowano rynkowi pracy. Sprowadza się to do tego, że mamy bardzo liberalne



DR HAB. PAWEŁ KACZMARCZYK

zasady, jeśli chodzi o wjazd do kraju i podjęcie zatrudnienia. Natomiast niezwykle trudno tu pozostać na dłużej: uzyskać zezwolenie na pobyt długookresowy czy ochronę międzynarodową albo, z czasem, obywatelstwo. I te założenia przyjmujemy właściwie milcząco. Ciekawe, że w zasadzie nie ma pogłębionych analiz prezentowanych przez instytucje publiczne, które pokazywałyby w sposób rzetelny i oparty na dobrych danych, dlaczego Polska

potrzebuje imigrantów na rynku pracy, jakich migrantów, w jakiej perspektywie, jakie są tego konsekwencje – i pozytywne, i negatywne. Tych analiz nie ma, ale za potrzebowanie na migrantów jak najbardziej istnieje. Bo pracodawcy ich potrzebują. Polska wydaje więc pozwolenia na pracę i zgadza się na ściąganie pracowników, również milcząco przyjmując założenie, że oni do nas przyjadą, popracują i wyjadą. Choć dla większości powinno być oczywiste, że nie wszyscy wyjadą.

I to jest problem?

– Problemem nie jest udział imigrantów w rynku pracy. To cecha większości krajów rozwiniętych. Kwestią otwartą jest, czy dostrzegamy powiązania migracji zarobkowych z innymi wyzwaniami. Czy zadajemy sobie np. pytanie, jak w tak skonstruowanym, a nie do końca publicznie nazwanym reżimie migracyjnym są dzielone koszty i korzyści związane ze zjawiskami migracyjnymi. Ponieważ to, że migracje wiążą się z kosztami i korzyściami, jest oczywiste. Równie oczywiste jest to, że te koszty i korzyści mogą się różnie rozkładać.

Na przykład?

– Na przykład migracja do Polski po 2014 r. z krajów byłego ZSRR, głównie z Ukrainy i Białorusi, miała na polski rynek pracy oraz polską gospodarkę wpływ pozytywny. Korzystają na tym nie tylko przedsiębiorstwa, ale i gospodarstwa domowe – choćby w postaci tańszych usług czy wcześniej, pośrednio, niższych kosztów budowy mieszkań.

Co więcej, migranci dokładają się do budżetu państwa i systemu ubezpieczeń społecznych, płacąc podatki i składki. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy nie są zatrudnieni legalnie, ale płacą choćby podatki pośrednie.

To wszystko korzyści. Natomiast przez długi czas mało kto myślał, co jest po stronie kosztów.

Bo ich nie zauważaliśmy?

– To, że przeważają korzyści, przyjęliśmy jako oczywiste, bo... w istocie przez lata tak było. Badania pokazują, że do Polski docierali głównie migranci zarobkowi, którzy płacili podatki i pracowali w większości legalnie. Za to w niewielkim stopniu korzystali ze świadczeń społecznych. Przeważały osoby w wieku produkcyjnym, pracownicy krótkookresowi albo osoby migrujące cyrkulacyjnie, bez dzieci, za to dokładające się do budżetu państwa i przyczyniające się istotnie do zwiększenia tempa wzrostu PKB. Mogliśmy żyć w przekonaniu, że stworzyliśmy albo że funkcjonujemy w układzie niemal idealnym. Dlatego bardzo rzadko w ogóle zadawało sobie pytania, co będzie, gdy ta struktura się zmieni.

Nie zadawano sobie tych pytań, bo dominowało przekonanie, że my wpuszczamy tych dobrych migrantów! Tych, którzy się integrują, błyskawicznie uczą języka, nie sprawiają problemów, nie napastują kobiet w taksówkach. Społeczeństwo wierzyło, a rząd przez swoją propagandę dodatkowo podkreślał mit, że problemy związane z migracją mogą mieć tylko inni, którzy źle to wszystko załatwili: Francuzi albo Niemcy.

– Widzę to inaczej. Temat migracji w niewielkim stopniu w ogóle był przedmiotem debaty politycznej. Politycy dyskutowali najpierw o tym, co się dzieje na południu Europy, o problemach innych krajów,

potem o granicy białorusko-polskiej. A o tym, że Polska już jest krajem, do którego migrują ludzie, i to liczniej niż kiedykolwiek, nie mówiono prawie wcale. Problemy, oczywiście dla badaczy i naukowców, takie jak nieprawidłowości przy wydawaniu wiz dla studentów, były do wczoraj kompletnie nieobecne w debacie publicznej.

I tak można było sobie to ignorować?

– Z naszych badań wynika, że już w latach 2018-2019 coś zaczęło się zmieniać. Pewna część imigrantów z Ukrainy zaczęła wydłużać pobyt w Polsce i ściągać członków rodzin. Zaczęły się pojawiać potrzeby edukacyjne, zdrowotne, związane z dostępem do innych usług publicznych. Właśnie wtedy wielu badaczy migracji (i nie tylko) zaczęło zwracać

Państwo w pewnej mierze wycofało się z zarządzania migracjami. Uznano, że nie ma potrzeby inwestycji w sferę publiczną, zdano się na aktywność samorządów i organizacji pozarządowych.

uwagę, że powinniśmy wreszcie się zastanowić, jak te koszty i korzyści są dzielone. Wojna i związane z nią masowe uchodźstwo z Ukrainy to moment przełomowy. Musiało się pojawić naturalne napięcie, którego jako badacze się spodziewaliśmy, nawet jeśli długo było ono nieobecne w debacie publicznej.

Było nieobecne, aż wybuchło?

– Stosunek Polaków do obywateli Ukrainy uciekających przed wojną od początku był niezwykle pozytywny. Jednak badania wskazują, że te postawy z czasem się pogarszają. Nie w sposób radykalny, ale rzeczywiście sporo analiz wykazuje, że zaczynamy być coraz bardziej sceptyczni, zwłaszcza wobec wsparcia finansowego uchodźców wojennych z Ukrainy. Byłem jedną z tych osób, które od początku zwracały

właśnie na to uwagę. Skupialiśmy się na opiece nad dziećmi, dostępie do opieki zdrowotnej i mieszkań. Na najbardziej niezbędnych i pilnych sprawach. Ale już w pierwszej fazie wojny należało się zastanowić, jakie mogą być długofalowe skutki obecności imigrantów w Polsce, także tych uchodźczych przed wojną, a szczególnie jak dużym zagrożeniem może się stać przekonanie, że konkurujemy o te same zasoby.

Już mamy z nim do czynienia, potwierdzają to badania sondażowe.

– Dzisiaj wiemy, że w Polsce przebywa około miliona uciekinierów z Ukrainy, choć w ciągu minionych miesięcy liczba ta była nawet wyższa. W tym momencie jest to milion osób, które przebywają przede wszystkim w dużych aglomeracjach.

Taki napływ osób z zagranicy byłby wyzwaniem dla każdego systemu. Tymczasem to się dzieje w Polsce, gdzie nie panowało przesadnie duże zadowolenie z dostępu do usług publicznych i z ich jakości. Chyba najlepszym tego dowodem jest tocząca się od wielu lat dyskusja na temat systemu edukacyjnego. I w tym trudnym momencie pojawiają się w już przeciążonym systemie nowi klienci, bo tak przecież trzeba ich nazwać. To, że się pojawią różnego typu napięcia i obawy społeczne, warto było przewidzieć, a jeszcze bardziej – zastanowić się, jak można je rozładować.

Nawiązał pan już do tego, że koszty są nierówno rozłożone. Jeśli ktoś jest sędzią na Mazowszu, to się cieszy z masowej migracji, bo ma i taniego pracownika, i większy rynek zbytu. Ale w tej samej miejscowości, w której działa nasz sędzia, przybyło dzieci w szkołach, wydłużyły się kolejki do lekarza itd. Nie każdy jest równie zadowolony.

– Widzę, do czego pan zmierza. Odpowiem za pomocą analogii historycznej z nieodległej przeszłości. Spójrzmy na Wielką Brytanię i to, ▶

Dr hab. Paweł Kaczmarczyk – profesor Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie pracuje na Wydziale Nauk Ekonomicznych i kieruje Ośrodkiem Badań nad Migracjami. Jego zainteresowania badawcze to przede wszystkim uwarunkowania i konsekwencje migracji zarobkowych, postawy wobec imigrantów, polityki migracyjne, metodologia badań migracyjnych, ekonomia rynku pracy oraz procesy ludnościowe.

► co się działo w tym kraju po 2004 r. w związku z masowym napływem migrantów z naszej części świata, w dużej mierze z Polski. Jeżeli patrzemy na wskaźniki gospodarcze i społeczne, chyba nie ma drugiego kraju, który tak bardzo zyskałby na migracjach. My o tym wiemy, zostało to udokumentowane na wielu poziomach. Mimo to kwestia kosztów migracji została wykorzystana w referendum brexitowym. I to tak skutecznie, że dzisiaj Wielka Brytania nie jest członkiem UE.

Z powodu niechęci do migrantów?

– Większość badań na temat przyczyn brexitu pokazuje, że w zasadzie nie – że migracja nie miała jakiegoś fundamentalnego znaczenia. Ważne było coś innego – spłot kilku czynników, w których migracja już miała udział. Po pierwsze, osoby, które opowiedziały się przeciwko uczestnictwu Wielkiej Brytanii w strukturach UE, relatywnie częściej mieszkaly w miejscach z nadreprezentacją migrantów. Po drugie zaś, mieszkaly w miejscach, które mierzyły się z innymi wyzwaniami strukturalnymi. To oznacza, że nie sama migracja jest problemem. Staje się nim, kiedy się zderza i współwystępuje z innymi problemami. Właśnie do tego pan nawiązał. Kiedy mamy osoby borykające się z problemami codzienności, już wcześniej

od wielu lat zmagające się z problemami strukturalnymi, którymi władze nie zajęły się w sposób wystarczający. Jeżeli na to się nałożą kwestie migracyjne, z łatwością mogą się stać wielkim problemem i wyzwaniem. Szansą dla Polski może być to, że od kilku lat migracje rozlewają się po całym terytorium kraju. Migranci szukają zwłaszcza lepszych możliwości

obsługą migracji, ale akurat w Polsce naprawdę warto docenić ich pracę. Podam dwie liczby. W roku 2011 szacowano, że w Polsce było ok. 100 tys. migrantów. Dziesięć lat później szacunki Głównego Urzędu Statystycznego wskazywały, że było ich 20 razy więcej. Nie poszły za tym żadne istotne zmiany, jeśli chodzi np. o system obsługi migrantów, ale

Już w latach 2018-2019 coś zaczęło się zmieniać.

Pewna część imigrantów z Ukrainy zaczęła wydłużać pobyt w Polsce i ściągać członków rodziny.

funkcjonowania, jeśli chodzi o rynek mieszkaniowy. Ale także pracodawcy z tych mniejszych miejscowości szukają migrantów, więc jest to proces dość naturalny.

Wróćmy do kwestii sprywatyzowania migracji – czy biorąc pod uwagę to, że w Polsce migracje podporządkowano potrzebom biznesu, decyzje oddano w ręce prywatnych firm, a państwo zrzekło się wielu swoich funkcji, można powiedzieć, że coś takiego jak „afery wizowa” było nieuniknione?

– Pośrednio tak. Pośrednio, bo wszędzie, gdzie mamy skomplikowane, długotrwałe, kosztochłonne procedury, otwiera się według mnie

przede wszystkim o zasób kadrowy, o ludzi, którzy tymi migrantami mieli się zajmować. Mówię o urzędach pracy, resortach, które się zajmują tymi kwestiami, Urzędzie ds. Cudzoziemców, konsulatach zmuszonych do outsourcingu itd. Jeżeli więc pyta pan, czy prywatyzacja tej sfery migracyjnej przyczynia się do tego, co obserwujemy obecnie, to w jakimś sensie tak. Bo państwo w pewnej mierze wycofało się z zarządzania migracjami. Uznano, że nie ma potrzeby inwestycji w sferę publiczną, w praktyce zdano się często na aktywność (lub jej brak) samorządów i organizacji pozarządowych.

Zupełnie przeoczono ten moment, kiedy Polska z kraju emigracji stała się krajem masowej już imigracji. Przeoczono fakt, że imigracja to nie tylko bardzo duża szansa na poziomie rynku pracy, usług czy konsumpcji, z której możemy korzystać, ale także bardzo duża odpowiedzialność. Zabrakło odpowiedzialności państwa polskiego za to, że w tym kraju są ludzie, a nie tylko pracownicy.

W Polsce sferę migracji podporządkowano rynkowi pracy. Mamy bardzo liberalne zasady, jeśli chodzi o wjazd do kraju i podjęcie pracy.

doświadczające choćby kłopotów z dostępem do mieszkania, do dobrej szkoły, to one w pierwszej kolejności zareagują negatywnie na wyzwania dotyczące zwiększonej obecności imigrantów. Do jakiegoś stopnia hamuje to fakt, że migracja w Polsce wciąż jest skoncentrowana w miastach.

Dlaczego?

– Bo tam dostęp do usług jest lepszy, a rynek pracy bardziej chłonny i wiele rzeczy po prostu lepiej działa. Wspomniane badania dotyczące brexitu wskazywały, że największym kłopotem były właśnie nieduże miasta peryferyjne i obszary wiejskie. Na przykład obszary przemysłowe,

przestrzeń do działań lobbystycznych i być może praktyk korupcyjnych. To niekoniecznie musi być związane z tym, co tutaj określamy w dużym uproszczeniu jako prywatyzację. Na przykład fakt, że część usług – powiedzmy obsługę pewnych procedur związanych z procesem wizowym – powierza się zewnętrznym firmom prywatnym, nie jest niczym nagannym. Problemem jest raczej to, co się dzieje w tym systemie, jeżeli nie ma odpowiedniego nadzoru i kontroli.

A tak się stało?

– Dziś powszechnie krytykuje się osoby zajmujące się administracyjną

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Może należy się cieszyć, że władza interesuje się filmem i reżyserką? Niestłychana sekwencja zdarzeń medialno-politycznych wokół nieobejrzanego filmu Agnieszki Holland „Zielona granica” i brutalne, niewidziane od kilkudziesięciu lat wzmożenie propagandowe obozu władzy każe jednak odrzucić tę tezę. Aż świerzbiją ręce, żeby napisać: niech się żadna władza nie wtrąca do dzieł kultury i pracy twórczej – to zawsze musi się skończyć katastrofą, rozpadem, zniszczeniem, manipulacją na potrzeby propagandy wyborczej lub dowolnej innej.

Histeryczne pobudzenie aktywu ministerialnego (wszak nie tylko Błaszczak recytował antyhollandowe frazy, odcinał się minister, nomen omen, kultury i ciemnoty narodowej Gliński, od czci i wiary odsądzali reżyserkę Morawiecki i Ziobro etc.) w ocenie filmu, którego nie widzieli, jest wydarzeniem doprawdy niezwykłym w swojej

isście gomułkowskim, przypominającym ataki z 1968 r. na Stefana Kisielewskiego czy Janusza Szpotańskiego. Prawie 60-letni Kisielewski, który w proteście przeciwko zdjęciu „Dziadów” Mickiewicza w reżyserii Dejmka wyrzucił z siebie frazę o „dyktaturze ciemniaków”, został potem brutalnie pobity przez nieznaną sprawców...

Błaszczak grzmiał (albo mu się zdawało), że film Agnieszki Holland to „uderzenie w morale strażników granicznych, żołnierzy i policjantów” i „haniebny atak wymierzony w podstawowe elementy bezpieczeństwa RP”, a „filmy tego typu wpisują się w propagandę Kremla”. „Uderza on w dobre imię Polski i dobre imię i honor żołnierzy Wojska Polskiego, funkcjonariuszy Straży Granicznej czy funkcjonariuszy polskiej policji”, mówił dalej, nazywając film „kłamiwym” i sugerując, że w związku z nim „możemy się spodziewać w niedalekiej przyszłości ataku skoncentrowanego właśnie na polskiej granicy”.

Błaszczak, Duda: Spoczni! Odmaszerować!

intensywności i karykaturalności. Sam Błaszczak charakteryzuje się bez wątpienia dwiema cechami: nienaruszalną służalczością i kompletną niesamodzielną myślą (może to nawet za mocne słowo: myślą) i działań. Jest idealnym wykonawcą rozkazów politycznych. Jest kapralem tej władzy, która z nędzy ławki rezerwowych uczyniła go ministrem obrony. Sam nasz antybohater, z twarzy niepodobny do nikogo, jest także marnym aktorem. Jego patetyczne pustostawie w obronie munduru, honoru, służby ośmiesza samą instytucję wojska i powinno budzić zażenowanie „bronionych”. Cóż, warto pamiętać, że osobnik ów ministerialny został wyróżniony Medalem Pamiątkowym 25-lecia NSZZ Funkcjonariuszy Straży Granicznej. Najbardziej spektakularnym aktem samoświadomości Mariusza Błaszczaka była odmowa przyjęcia od podwładnego (wiceministra spraw wewnętrznych Jarosława Zielińskiego, tego od konfetti sypanego z helikoptera policyjnego podczas wizytacji policji na Podlasiu) Złotej Odznaki Zasłużonego dla Ochrony Przeciwpowodzi. Ale nie przesadzajmy tu z samorefleksją Błaszczaka, odmówił, kiedy do ministerstwa popłynęła szeroka fala zapytań mediów o te antypowodowe zasługi.

Tymczasem w ostatnich dniach, kiedy Polska, Europa i USA żyją gargantuiczną aferą hurtowego sprzedawania polskich (i zarazem schengenowskich) wiz setkom tysięcy obywateli Azji – Mariusz Błaszczak, wykonując polecenia Nowogrodzkiej, dał odpór Agnieszce Holland i jej filmowi „Zielona granica”. Zrobił to we wzmożeniu

Kiedy kończę pisać te słowa, dowiaduję się o haniebnej wypowiedzi innego pisowskiego niesamodzielnika, Andrzeja Dudy na forum ONZ, gdzie pozwolił sobie na powtórzenie za wcześniejszym oświadczeniem związku strażników granicznych okupacyjnego sloganu „Tylko świnie siedzą w kinie”. Kiedy za jakiś czas przyjdzie się kajać Dudzie za te słowa, powie, że przecież to była tylko kampania wyborcza, którą rzecz jasna zbrutalizowali przeciwnicy polityczni PiS. Ja mu tego nie zapomnę już nigdy, w weekend idę do kina na „Zieloną granicę”. Z kolei Jarosław Kaczyński pozwolił sobie na uwagę godną jaskiniowego antykomunizmu, przywołując w ataku na Agnieszkę Holland postać jej ojca Henryka, ideowego komunisty, żołnierza, dziennikarza, który w czasie aresztowania na początku lat 60. zginął, wyskakując przez okno. Holland był jednym z tych, którzy walczyli o zrehabilitowanie ofiar stalinowskich procesów i ukaranie winnych.

Nie wstydzę się za Błaszczaka, Dudę, Kaczyńskiego – najgłębiej gardzę językiem nienawistnego jadu, który wyrzucił z siebie, wciąż jeszcze czując się kompletnie bezkarnymi. Nie chodzi tu o paragrafy karne. Tych słów już nigdy z siebie nie zmyją. Nie współczuję.

Pójdę na ten film do kina więcej niż raz. Po tych wszystkich Błaszczakach, Ziobrach, Dudach, Kaczyńskich historia przejedzie się swoim walcem niepamięci. Film Agnieszki Holland się ostanie. To, co robią aktywistki i aktywiści na granicy z Białorusią – też.

OSTATNIA TAKA IMPREZA

**Tegoroczne Dni Świeckości
wypadają na dwa tygodnie przed wyborami.
Będą więc polityczne jak nigdy dotąd**

Adam Jaśkow

Pierwsze Dni Świeckości w Krakowie odbyły się w 2011 r. Początkowo jako impreza towarzysząca III Marszowi Ateistów i Agnostyków (3MAiA). Marsze takie odbywały się w niemal całej Europie, a największy zorganizowano w Londynie. Zainicjował go jeden z Czterech Jeźdźców Ateizmu, Richard Dawkins. Marsze miały zwracać uwagę na potrzebę rzetelnych badań naukowych i prowadzenia ich bez ograniczeń politycznych i światopoglądowych. To działo się w kraju, w którym głowa państwa jest jednocześnie głową Kościoła, choć akurat wtedy była to kobieta.

W Polsce w roku 2011 byliśmy po wpisaniu konieczności respektowania wartości chrześcijańskich do ustaw o radiofonii i telewizji oraz o systemie oświaty. Choć nie bardzo było wiadomo, jak ustawodawca wyobraża sobie wychowywanie oparte na uniwersalnych zasadach etyki przy jednoczesnym respektowaniu wartości chrześcijańskich. I jak sam sobie te uniwersalne zasady określa. Bo dla niektórych, szczególnie tych rządzących od 2015 r., uniwersalne były i są tylko chrześcijańskie, a właściwie nawet katolickie wartości. Oczywiście o ile sami nie muszą w życiu nimi się kierować.

W 2011 r. wydawało nam się, że mamy małą światopoglądową odwilż. W lutym zlikwidowana została komisja majątkowa dla Kościoła katolickiego. Ze sprawozdania, którego zresztą nie chciano początkowo opublikować, wynikało, że działała ona, delikatnie mówiąc, na uboczu

prawa, a czasem i poza jego granicami. Oczywiście ostatecznie nikt nie poniósł konsekwencji, później zaś okazało się, że komisja działająca jako urząd centralny, jednoinstancyjny, nie była wcale urzędem, a jej członkowie nie byli funkcjonariuszami publicznymi, raczej (pro)kościelnymi. O swoich relacjach z wysoką komisją przedstawiciele Urzędu Miasta Krakowa opowiadali na jednym z paneli dyskusyjnych Dni Świeckości.

Pojawiły się dofinansowanie do wyklętego in vitro i szatańska tabletką dzień po. Znowu się można było śmiać, prawie ze wszystkiego,

zdążył skończyć studia, zatrudnić się w kancelarii ojca i świętować razem z nim sukces. Opowiadał o tym na naszym panelu w 2022 r.

Przez te lata organizowaliśmy Dni Świeckości, największą, bo jedyną taką imprezę w Polsce. Organizowaliśmy dyskusje, prezentowaliśmy idee, szukaliśmy rozwiązań. Na naszych panelach gościli profesorowie i doktorzy: Jan Woleński, Tomasz Goban-Klas, Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Irena Borowik, Kazimierz Banek, Małgorzata Winiarczyk-Kossakowska, Radosław Tyrąła, Jan Sowa, Monika Płatek, Krzysztof Dołowy, Janusz Mucha,

**Dla rządzących od 2015 r. uniwersalne były i są
tylko chrześcijańskie, a właściwie katolickie wartości.
Oczywiście o ile sami nie muszą się nimi w życiu kierować.**

choć nie wszystko mówić. Dorota Rabczewska została w 2012 r. skazana za słowa „o winie i ziołach” sformułowane z autorami Biblii. Trybunał Konstytucyjny, ten jeszcze wolny i demokratyczny, w październiku 2015 r. uznał, że została ukarana sprawiedliwie i słusznie. Dopiero Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził niesłuszność wyroku i naruszenie praw człowieka, czyli Dody. Przyznał też poniekąd Dody rację, bo ta stwierdziła w innym wyroku w 2012 r., że „polskie sądownictwo jest trochę zapyziałe”. Aż dziw, że za te słowa nie została skazana, tym razem za obrazę sądownictwa. Za to Jerzy Urban dożył końca swojego procesu o obrazę uczuć religijnych. Proces trwał tak długo, że syn adwokata Urbana

Magdalena Gawin, Marcin Galent, Dominika Jaźwiecka, Krzysztof Janik, Paweł Sękowski, a także publicyści i politycy: Jerzy Domański, Krzysztof Luft, Wanda Nowicka, Jacek Żakowski, Adam Szostkiewicz, Leszek Jażdżewski, Agnieszka Zakrzewicz, Piotr Szumlewicz, Ekke Overbeek, Roman Kurkiewicz, Rafał Betlejewski, Dominika Kozłowska, Konrad Szołajski, Wojciech Rzehak, Anita Piotrowska.

Chyba nie całkiem skutecznie, bo przyszedł rok 2015, wybory i zmieniły się parlament, rząd i rządowi doradcy. Ci z Ordo Iuris zastąpili tych z Opus Dei. Nie traciliśmy nadziei, oglądaliśmy „Kler” i żyliśmy dalej. Biskupi też. Czekaliśmy, choć nie wiem, czy tak tęsknie jak biskupi, na „Kler 2”. Zamiast tego dostaliśmy

drugą kadencję z Ordo Iuris. Ministrów edukacji wcielających reformy w duchu kanclerza Bismarcka i ministra kultury działającego w duchu kulturkampfu. Kto wie, czy najmniejszą z plag, które dotknęły nas w tej kadencji parlamentu, mimo wszystko nie był covid.

Teraz zmierzamy w kierunku kolejnych, najważniejszych w dziejach Polski wyborów – tak jakby któreś z poprzednich były mniej ważne. Tegoroczne Dni Świeckości wypadają dwa tygodnie przed wyborami. Będą więc polityczne jak nigdy dotąd, choć zawsze przecież były polityczne.

W tym roku chcemy porozmawiać o pryncypiach, aczkolwiek zawsze dyskutowaliśmy o sprawach ważnych. O nauce i edukacji opartych na faktach. O tym, jak rzetelnie badać i opisywać rzeczywistość. Jak przygotowywać młodzież do rozwiązywania przyszłych problemów z poszanowaniem metody racjonalnej i naukowej, wolnej od publicystycznych spekulacji.

O medycynie opartej na faktach. O stosowaniu wytycznych WHO i o tym, czy studenci medycyny dowiadują się o nich na studiach. Czy jesteśmy zmuszeni wybierać między zdrowiem pacjenta a sumieniem lekarzy. Tych lekarzy, którzy bardziej są przywiązani do swojej klauzuli niż do przysięgi Hipokratesa. W tym roku, i nie tylko w tym, wiele się wydarzyło w szpitalach i wiele wydarza w przychodniach rzeczy, po których pacjentki i pacjenci czują się gorzej, a czasem nawet umierają.

Na zakończenie głos oddamy kandydatkom do Sejmu. Skoro nadzieja na pokonanie PiS leży w rękach kobiet i ich głosach, niech kobiety przemówią do kobiet. O tym, jak uwolnić polskie państwo i instytucje publiczne od religijnej infiltracji. Bo to od kobiet i od mężczyzn zależy, czy uda się „słowom naszym, zmienionym chytrze przez krętaczy, jedyności przywrócić i prawdziwość: Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość...”.

Zapraszamy, zanim będzie za późno.

DNI ŚWIECKOŚCI Kraków 2023



Sobota 30 września - Niedziela 1 października

NAUKA I EDUKACJA OPARTE NA FAKTACH

Jak rzetelnie badać i opisywać rzeczywistość. Jak przygotowywać młodzież do rozwiązywania przyszłych problemów z poszanowaniem metody racjonalnej i naukowej, wolnej od publicystycznych spekulacji.

Sobota, 30 września, godz. 11.00, Pałac Potockich w Krakowie

Wydarzenie współorganizowane przez KBF i Pałac Potockich

Udział wezmą: dr hab. Maciej Gdula – socjolog, poseł na Sejm RP, Dorota Wójcik – Fundacja Wolność od Religii, Wojciech Rzehak – kierownik Działu Edukacji w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie

Prowadzenie: Adam Jaśkow – Stowarzyszenie Wszechnicy

Oświeceniowo-Racjonalistycznej

MANIFESTACJA ŚWIECKOŚCI

Sobota, 30 września, godz. 14.00, Rynek Główny w Krakowie

Świeckie państwo, wolne i równe społeczeństwo.

MEDYCYNĄ OPARTĄ NA FAKTACH

Czy musimy wybierać między zdrowiem pacjenta a sumieniem lekarza.

Sobota, 30 września, godz. 17.00, lokal Stowarzyszenia „Kuźnica”, al. Słowackiego 44 w Krakowie

Udział wezmą: Aleksandra Owca – Strajk Kobiet, Partia Razem, Szymon Beźnic – Fundacja Polistrefa, dr Michał Zabdyr-Jamróz – Collegium Medicum UJ

Prowadzenie: Adam Jaśkow – SWOR

Świecki (pod)wieczorek integracyjny, godz. 20.00

PAŃSTWO WOLNE OD INFILTRACJI RELIGIJNEJ.

Debata otwarta

Niedziela, 1 października, godz. 10.00, Krakowskie Centrum Dialogu, ul. Zabłocie 22

Udział wezmą: Anita Kucharska-Dziedzic – posłanka na Sejm RP, Daria Gosek-Popiołek – posłanka na Sejm RP, Joanna Hańderek – kandydatka do Sejmu RP (lista Lewicy)

Prowadzenie: Roman Kurkiewicz – „Przegląd”

Więcej informacji na stronie www.swor.pl

Organizatorzy:



Partnerzy:



Patronat medialny:



Polaryzacja po słowacku

To jedna z najostrzejszych kampanii wyborczych na Słowacji



Łukasz Grzesiczak

To był kolejny dzień kampanii na Słowacji, którą 30 września – Słowacy głosują w sobotę – czekają wybory parlamentarne. Były premier Robert Fico wraz z innymi politykami kierowanej przez siebie partii Smer-SD (Kierunek-Socjaldemokracja), która według sondaży cieszy się największym poparciem Słowaków, zwołał w Bratysławie konferencję prasową. Tę zakłócił były premier, jeszcze do niedawna pełniący także funkcję ministra finansów, Igor Matovič. Lider ugrupowania OĽANO, czyli Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości, pod konferencję Ficy podjechał swoim pick-upem. Przez megafon w kierunku polityków Smeru krzyczał m.in.: „Zniszczyliście Słowację!”. Do samochodu Igora Matoviča jako pierwszy podszedł Ján Mažgút, rzecznik prasowy partii Smer. Za

chwilę dołączył do niego Robert Kaliňák. Między Matovičem i Kaliňákiem doszło do przepychanki. Ten pierwszy kopnął polityka Smeru.

Robert Kaliňák to jeden z najbliższych współpracowników Roberta Ficy, w momencie zabójstwa dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej, archeolożki Martiny Kušnírovej, był ministrem spraw wewnętrznych. To on zbagatelizował zgłoszenie dziennikarza, że mu grożono. W 2018 r., po śmierci Kuciaka, tysiące Słowaków wyszło na ulice, żądając dymisji Kaliňáka. Fico poświęcił swojego współpracownika i polityk stracił stołek. To jednak nie uratowało Ficy. Premier wkrótce także musiał podać się do dymisji.

Zmyślone sondaże

Zapis bójki polityków obiegnęły słowackie media i idealnie nadaje się jako ilustracja tej brutalnej kampanii

wyborczej. Od kilku miesięcy Słowacją rządzi gabinet techniczny, na którego czele stoi ekonomista Ľudovít Ódor mianowany przez prezydentkę Zuzanę Čaputovą. Jego powołanie poprzedził długi kryzys polityczny, który w zasadzie trwa od wyborów w 2020 r., wygranych przez OĽANO Igora Matoviča. Polityk stanął wtedy na czele szerokiej koalicji liberalno-konserwatywnej, ale okazało się, że tworzących ją partii nie łączyło wiele poza chęcią odsunięcia od władzy skorumpowanego rządu Smeru. Z czasem zresztą politycy tego ugrupowania, z liderami na czele, usłyszeli zarzuty. Trudno także uwierzyć, by korupcyjne działania najbliższych współpracowników Roberta Ficy mogły być realizowane bez jego wiedzy, a może nawet przyzwolenia.

Igor Matovič szybko stracił poparcie nie tylko Słowaków, ale nawet swoich koalicjantów. Zastąpił go Eduard Heger, a Matovič został

ministrem finansów. Koalicyjny rząd nie radził sobie w walce z COVID-19, kryzysem gospodarczym i wzrostem cen, który był m.in. konsekwencją pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę.

Przedterminowe wybory już od dawna wisiały w powietrzu. Służby w raporcie na temat dezinformacji na Słowacji w 2022 r. prognozowały, że w przypadku przyspieszonych wyborów w 2023 r. może dojść do nasilenia publikacji fake newsów. Policja ostrzegała przed ewentualnymi próbami zakwestionowania wyników wyborów, co mogłoby skutkować zamieszkami i atakami na instytucje państwowe, podobnymi do tych, które obserwowaliśmy w USA w styczniu 2021 r. podczas szturmów na Kapitol. W marcu 2023 r. słowackie

cieszyły się partie antysystemowe i antyukraińskie, a partie liberalne i proeuropejskie miały niemal zerowe poparcie społeczeństwa. Oczywiście informacja o austriackim sondażu została zmyślona.

Mniej lokalnie, bardziej agresywnie

30 września Słowacy wybiorą jednoizbowy parlament, w którym zasiada 150 posłów. U naszych sąsiadów – wbrew rozwiązaniu znanemu z wyborów do czeskiego czy polskiego Sejmu – nie ma podziału na okręgi wyborcze. Cała Słowacja jest jednym okręgiem wyborczym, każdy Słowak, niezależnie od miejsca zamieszkania, może zatem zagłosować na tych samych polityków. Liderami list są

Cała Słowacja jest jednym okręgiem wyborczym, każdy Słowak, niezależnie od miejsca zamieszkania, może zagłosować na tych samych polityków.

ministerstwo spraw wewnętrznych wydało ostrzeżenie na temat wzrostu liczby nieprawdziwych informacji, wedle których zaplanowane na wrzesień wybory będą sfalszowane.

Informacje o fałszowaniu wyborów trafiają na podatny grunt. Według sondażu agencji AKO z kwietnia takim spiskowym doniesieniem wierzy 41,1% Słowaków, a 53% obawia się sfalszowania wyborów (sondaż Focus przeprowadzony w marcu dla Globsec Trends 2023). Serwis factcheckingowy Demagog.sk w lipcu informował o fake newsie, który zdobył ogromną popularność w słowackojęzycznych mediach społecznościowych. Wielu Słowaków dało się nabrać na informację, że media głównego nurtu uczestniczą w spisku, w ramach którego publikują nieprawdziwe informacje na temat poparcia, jakim w słowackim społeczeństwie cieszą się partie polityczne. Według zmanipulowanej informacji austriacka telewizja zamówiła sondaż, który pokazywał rzeczywiste poparcie dla partii politycznych na Słowacji. Według niego zdecydowanie największą popularnością

najpopularniejsi politycy znani z telewizji, internetu i pierwszych stron gazet. To wszystko sprawia, że kampania ma charakter ogólnosłowacki, mało koncentruje się na sprawach lokalnych, dając pierwszeństwo sporom ideologicznym. A przez to jest zdecydowanie bardziej agresywna. Każdy Słowak będzie mógł określić do czterech kandydatów na liście partii, na którą odda swój głos. Te wystawiły do 150 kandydatów na posłów.

Polaryzacja to termin, który najlepiej opisuje dziś słowacką kampanię wyborczą. Po jednej stronie sporu jest lider Smeru Robert Fico. To 59-letni polityk, który, nie licząc dwuletniej przerwy, kiedy Smer stracił na chwilę władzę, rządził Słowacją od 2006 do 2018 r. Po drugiej – 39-letni Michal Šimečka, wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego i szef partii Progresywna Słowacja (Progresívne Slovensko), z której wywodzi się prezydentka Zuzana Čaputová.

Obu polityków dzieli niemal wszystko. Michal Šimečka obronił doktorat na Oksfordzie, co wygląda imponująco przy „dorobku naukowym” słowackich polityków, którzy

często muszą się tłumaczyć z plagiatów nie tylko w swoich słowackich doktoratach, ale nawet w magisterkach. Šimečka reprezentuje wszystko, z czym Fico walczy. Jest wnukiem filozofa Milana Šimečki, który był bliskim współpracownikiem Václava Havla. Fico atakuje wielkomiejskie, bratysławskie elity, przeciwstawiając je żyjącym na prowincji tradycyjnym Słowakom, którzy dobrze znają ciężką pracę. Tym samym Fico na potrzeby Słowacji wykorzystuje dobrze znany czeski podział społeczeństwa na kawiarnię (wielkomiejskie elity) i gospodę (prowincja). Šimečka jest ponadto synem aktywistki Marty Šimečkovej, która zakładała na Słowacji Amnesty International. Jego ojciec, Martin Milan Šimečka, to popularny dziennikarz, obecnie publikujący w liberalnej gazecie „Denník N”. Warto dodać, że jego książka „Słowacja. Dzieje obojętności” ukazała się po polsku nakładem wydawnictwa Universitas ze wstępem Adama Michnika.

Wszystkie zagrożenia Słowacji

Robert Fico wykorzystuje polaryzację, odwołując się do prostych przeciwności. Krytykuje organizacje pozarządowe i zapowiada, że po jego zwycięstwie te zajmujące się kwestiami ideologii nie będą mogły liczyć nawet na jedno euro z budżetu państwa. Krytykuje George’a Sorosa. Znienawidzony przez Ficę miliarder rzekomo chce wpłynąć na wynik wyborów na Słowacji. W tym celu – jak twierdzi lider Smeru – Soros instaluje u naszych sąsiadów posłusznych sobie ludzi.

Fico zręcznie gra także nostalgią za czasami socjalizmu. Atakuje dziennikarzy. Prezentuje się jako obrońca rodziny i tradycyjnych wartości zagrożonych – jak przekonuje – przez ideologię LGBTQ. Krzyczy, że na pierwszym miejscu zawsze stawia interesy Słowaków, gdy oponenci z Progresywnej Słowacji wykonują – jego zdaniem – rozkazy z Brukseli i Waszyngtonu. Były premier zapowiada, że po zwycięstwie wstrzyma pomoc wojskową dla Ukrainy, gdzie nie wysła nawet naboju. Wprost przyznaje, że Ukraina powinna usiąść do rokowań pokojowych i musi się liczyć ▶

► z utratą na rzecz Rosji wszystkich terytoriów, które obecnie są okupowane przez armię Putina. Należy pamiętać, że Słowacja jest jednym z państw, które w przeliczeniu na mieszkańca najmocniej wsparty militarnie Ukrainę. Wszystko wskazuje, że po zwycięstwie Fico to się zmieni.

Politycy Smeru łączą niechęć do Sorosa z atakami na prezydentkę Zuzanę Čaputovą, związaną w przeszłości z Progresywną Słowacją. Startujący z listy Smeru Erik Kaliňák, krytykując decyzję prezydentki o zaprzysiężeniu premiera technicznego Ľudovíta Ódora, napisał, że „Čaputová wybrała na swojego premiera jedynego Słowaka uczącego na uniwersytecie Sorosa”. Inny kandydat Smeru, Ľuboš Blaha, podczas wiecu w Nitrze 1 maja 2022 r. razem z publicznością skandował, że „Čaputová to amerykańska k...”. Wcześniej wielokrotnie na swoim oficjalnym koncie w mediach społecznościowych nazywał prezydentkę „amerykańską agentką”. Także Robert Fico nazwał słowacką prezydent „amerykańską agentką grzecznie wykonującą

polecenia ambasady USA w Bratysławie”. W ten sposób krytykował zdecydowane wsparcie prezydentki dla Ukrainy.

Należy jednak pamiętać, że w przeszłości Robert Fico utrzymywał kurs proeuropejski. To za jego czasów Słowacy wprowadzili euro (decyzję podjął jego poprzednik, ale on ten proces koordynował). Prawdopodobnie Fico – będąc ogromnie utalentowanym politykiem – wykorzystuje ogromnej części słowackiego społeczeństwa, które spośród państw w naszym regionie – obok Bułgarów – wyróżnia się najmniejszym poparciem dla NATO i największą sympatią do Rosji. Ważnym pytaniem pozostaje, na ile – po ewentualnym zwycięstwie – będzie w tym konsekwentny.

Ostatni sondaż wyborczy agencji Focus pokazał, że Smer cieszy się poparciem 18,9%, Progresywna Słowacja – 16,5%. Za nimi, z poparciem 14,6% wyborców, jest Hlas (Głos), na którego czele stoi Peter Pellegrini. Aż siedem partii balansuje na progu wyborczym. W tej sytuacji

bardzo trudno prognozować rozkład sił w przyszłym parlamencie. Jednak o tym, kto zostanie premierem – Robert Fico czy Michal Šimečka – zdecyduje prawdopodobnie Peter Pellegrini. To były bliski współpracownik Ficy, który zastąpił go na fotelu premiera w 2018 r., po protestach, które wybuchły na Słowacji po zabójstwie Kuciaka. Pellegrini rzucił wyzwanie Ficy po przegranych przez Smer wyborach w 2020 r. Chciał zostać szefem partii, jednak przegrał wewnętrzną rywalizację. Odszedł i założył konkurencyjną wobec Smeru socjaldemokratyczną partię. Ta w ostatnich latach krytykowała liberalno-konserwatywną koalicję rządzącą oraz Progresywną Słowację (w 2020 r. nie weszła do parlamentu), ale w sprawie Ukrainy czy Brukseli daleko jej do radykalizmu Roberta Ficy. Z drugiej strony wbrew osobistym animozjom liderów rząd Smeru i Hlasu wydaje się w tym momencie najbardziej prawdopodobny.

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl



WARSZAWSKA OPERA KAMERALNA ZAPRASZA NA KONCERTY
W RAMACH JESIENNEGO TOURNEE PROMUJĄCEGO ALBUM *COMPOSITES*

LESZEK MOŹDŻER

MACV

ANCIENT INSTRUMENTS ORCHESTRA OF THE WARSAW CHAMBER OPERA

COMPOSITES

dyrygent – Marcin Sompoliński

z gościnnym udziałem multiperkusjonistki Patrycji Betley

4.11. sob. **Łódź** klub Wytwórnia

5.11. niedz. **Warszawa** Teatr Polski • 19.11. niedz. **Poznań** Aula UAM

27.11. pon. **Katowice** NOSPR • 28.11. wt. **Wrocław** NFM

29.11. śr. **Bielsko-Biała** Cavatina Hall • 30.11. czw. **Kraków** ICE

25. Muzowski

live
concerts

KULTURA

RMF
CLASSIC

jazz forum

BILETY: OPERAKAMERALNA.PL

eBilet.pl

kicket

Bilety

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Mięsista kość

Jestem kombatantem, chociaż brzmi mi to osobliwie, na co mi przyszło, i pobieram niewielki, ale miły zasiłek. Dzisiaj niespodzianka. Pismo z Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. W nim listy od urzędu i od Morawieckiego, że podwyższane jest świadczenie pieniężne dla nas, czyli dla opozycyjnej rodziny, teraz bardzo podzielonej. List podniosły, nawet patetyczny, o wdzięczności, o zasługach. Dlaczego o tym piszę? Poczułem coś... coś jakby wdzięczność. Podwyżka jest duża. A odruch wdzięczności dla władzy to podstawa sukcesów wyborczych PiS. Nieustannie coś dają, to tym, to owym. Skoro ja, zaciekły wróg PiS, taką odrobinę wdzięczności poczułem, to co czują ci, którzy nie mają tak negatywnych uczuć wobec PiS? To jest nie do końca świadome, to odruch psa, który dostaje mięsistą kość. A termin tego podarunku nie jest przypadkowy.

Afera wizowa zatacza coraz szersze kręgi. W normalnym kraju byłaby od razu dymisja ministra spraw zagranicznych. Z muru granicznego zrobiono symbol, władza woła, że chroni Polaków, szczególnie kobiety zagrożone przez gwałt. A ta sama władza sprzedawała masowo na lewo wizy wjazdowe do Polski tym „gwałtocielom”. To powinno wstrząsnąć pisowskim elektoratem, ale nie wstrząśnie, elektorat o tym się nie dowie. Albo dostanie papkę propagandową. Doprawdy trudno sobie wyobrazić, co musiałoby się stać, by ten elektorat doznał wstrząsu. Afera może tylko działać na niezdecydowanych, oni jednak unikają wiadomości politycznych. Ale tu jak na złość marszałek Senatu Tomasz Grodzki skorzystał z przysługującego mu orędzia, które musi być transmitowane w telewizji publicznej. Powiało grozą. Wróg w mateczniku kłamstwa. Morawiecki więc ostrzega: „Radziłbym wszystkim, żeby wyłączyć telewizory jak w czasach Jaruzelskiego, bo tak żeśmy wtedy robili: jak mówił Jaruzelski, wyłączało się telewizor albo przełączało na inny program”. Grodzki mówił o aferze wizowej spokojnie i metodycznie, przeciw chirurg. Popłoch w PiS, prawda w świecie kłamstwa czynić może wielkie szkody kłamstwu.

Minister Piotr Wawrzyk, odpowiedzialny za aferę wizową, miał wystać do swojego kuzyna SMS, w którym zasugerował, że zamierza targnąć się na życie. Cytuję media: „Kiedy policjanci i ratownicy pojawili się we wskazanym mieszkaniu, zastali byłego wiceministra siedzącego na podłodze. Był przytomny. Miał ranę na prawej ręce.

W drugiej ręce trzymał nóż. Nie był agresywny. Był z nim kontakt. Miał pozostawić list pożegnalny”. Nie kpię nigdy z samobójców. Jak ktoś to robi, to znak, że zapewne ma sumienie. Zbigniew Ziobro od razu reaguje na wystąpienie Grodzkiego, mówi w Radiu Zet, że marszałek Grodzki „brał łapówki, ordynarnie wymuszał łapówki”. To niesłychane, minister sprawiedliwości tak mówi o marszałku Senatu. Bez dowodów, bez wyroku. Dziwne, że jeszcze nas coś dziwi. „Gazeta Polska” szykuje koperty dla marszałka łapówkarza, można będzie wyciąć ją z pisma, skleić i wystać do Grodzkiego. Jak tak dalej pójdzie, będą mordować.

Jestem w Redzie na spotkaniu Adama Michnika i sędziego Waldemara Żurka. Adam jak zawsze mówi mocno i dowcipnie, potem w Wejherowie piknik, zorganizowany przez miejscowego działacza KOD Longina Skrzypińskiego. Kiedyś uważałem Longina za szaleńca, codziennie demonstrował z transparentem przed urzędem miejskim w Wejherowie, nawet w deszcz i w święta. Teraz widzę,

Bez względu na to, kto wygra te wybory, przegrani będą oskarżać wygranego, że je sfałszował.

że w swoim szaleństwie jest prawy i normalny. Na pikniku nie tak wielu ludzi. I to niestety zwykle krąg bliskich, znajomych i starszych, nie docieramy do ludzi spoza naszej bańki. Adam tutaj był więc jak generał ściągnięty do małej potyczki, gdzie wystarczyłby kapral. Kolacja z wódeczką. Przez lata miałem fatalne stosunki z Michnikiem, nieważne kto winny, to zaczęło się już w roku 1988, tyle lat musiało minąć, by serdecznie to zakończyć w Wejherowie. Nie wiedziałem nawet, jak mnie gryzł ten konflikt, pisałem o Adamie nieraz krytycznie, skupiając się na jego wadach, a zapominając o zaletach. On używał przeciwko mnie „Gazety”, a to wielka moc. Ocalałem, ale z trudem. Jak każda wojna ta też była bez sensu.

Już widać, że bez względu na to, kto wygra te wybory, przegrani będą oskarżać wygranego, że je sfałszował. Będzie okres zamętu. Spotykam na Wiejskiej Bartka Sienkiewicza, rozmawiamy właśnie o tym, jest optymistą, ale mówi, że na początku będzie bardzo ciężko. W domu mówię żonie, że spotkałem Sienkiewicza, Antek siedzi obok, pyta poważnie: „To on jeszcze żyje?”.

Światowe centrum koksu

Europa prawie całkowicie utraciła zdolność zwalczania przemytu narkotyków

Mateusz Mazzini

Scena pierwsza: głęboka holenderska prowincja. Szutrowa droga pomiędzy polami, wzdłuż niej szpaler buków uginających się pod naporem wiatru. W powietrzu unosi się kurz – właśnie ze sporą, ryzykowną jak na tę nawierzchnię prędkością przejechał radiowóz. Szybki rzut oka na okolicę nasuwa pytanie o cel interwencji – bo wokół nie ma większych skupisk mieszkalnych. Po chwili policjanci zatrzymują się przed nieco zdewastowaną, prawdopodobnie opuszczoną szopą. Zanim tam wejdą, zakładają maski przeciwgazowe.

To scena nie z serialu Netfliksa, tylko z filmu dokumentalnego przygotowanego przez niemiecko-francuską stację telewizyjną Arte. W szopie, którą przeszukują policjanci, jest

wyliczyła niedawno, że tylko w ubiegłym roku na terenie Antwerpii doszło do 81 strzelanin i wybuchów związanych z przemytem narkotyków. W pierwszych pięciu miesiącach tego roku było takich zdarzeń 25, w każdym – ofiary śmiertelne. W tym 11-letnia bratanica jednego z bossów narkotykowych, zastrzelona przez rywalizującą z nim grupę.

Scena trzecia: wieżowiec w Dubaju, kilkadziesiąt pięter nad ziemią. Do drzwi apartamentu puka oddział miejscowej policji, jeden z oficerów trzyma kopertę, a w niej zgięty na trzy części gruby plik kartek. To nakaz aresztowania i ekstradycji, rzadki przypadek, kiedy emir Dubaju lub którykolwiek z przedstawicieli władz Zjednoczonych Emiratów Arabskich idzie na współpracę z europejskim wymiarem sprawiedliwości. Policjanci, w większości z pełnym

zmieniają właściciela. Przejmą je ci policjanci, którzy nałożą podejrzanemu kajdanki. A nierzadko szef całej operacji w takim pogansterskim apartamencie zamieszka na stałe.

Seriele z życia

Te trzy obrazki to tylko fragmenty narkotykowej mozaiki, która układa się w mapę Europy. Według szacunków Komisji Europejskiej i Europolu do portu w Antwerpii, drugiego pod względem wielkości centrum transportu morskiego na kontynencie, w ubiegłym roku trafiło ponad 1,1 tys. ton kokainy. Skonfiskowano z tego 10%, co można uznać za odsetek jednocześnie niski i wysoki. Z jednej strony, oznacza to przecież, że 9 na 10 porcji narkotyku przenika przez europejską granicę poza radarami służb. Z drugiej, te 110 przejętych ton to prawie połowa całej kokainy, którą skonfiskowano na terenie Europy w zeszłym roku. Dla porównania, przez port w kalabryjskiej miejscowości Gioia Tauro, główną kokainową bramę na Półwysep Apeniński, w dużej mierze kontrolowaną przez wywodzący się stamtąd syndykat kryminalny 'ndrangheta, przechodzi 65 ton kokainy w ciągu roku (dane za włoskim ministerstwem spraw wewnętrznych i portalem InSight Crime). Włosi są w stanie przejąć z tego mniej więcej jedną piątą, ale to tam koncentrują się działania policji, bo kokaina zdjęta z rynku w Gioia Tauro stanowi 97% całego zarekwirowanego narkotyku w kraju.

Kolejne miasta wymieniania można długo. Marsylia, Malaga, Amsterdam, Rotterdam, Hamburg. To miejsca przetrzutu. Monachium, Bruksela, ale też mniejsze, popularne wśród wielu pokoleń włoskich imigrantów miejscowości w Belgii i Holandii – tam pierze się zyski, za pomocą

Kokaina trafia do Europy najczęściej w transportach owoców.

laboratorium do produkcji syntetycznych narkotyków. Jej wnętrze nie przypomina niczego, co można by znaleźć w gospodarstwie rolnym i co miałyby tam jakiekolwiek zastosowanie. Kilkusettlitrowe kanistry, wentylacja laboratoryjna, doprowadzony gaz i woda, osobne stanowiska do pracy, lampy służące do suszenia gotowych produktów. Okna szczelnie zabite od wewnątrz. I ani śladu człowieka.

Scena druga: Antwerpia, belgijski port nad Morzem Północnym. Na co dzień miasto pełne turystów, przyciągające przede wszystkim Domem Rubensa oraz muzeum przemysłu jubilerskiego i diamentów. To jednak nie tylko stolica pięknych kamieni na pierścionki, ale też podziemia narkotykowego Starego Kontynentu. Europejska odłona portalu Politico

wyposażeniem antyterrorystycznym, wchodzą do penthouse'u, wyposażonego na takim poziomie luksus, że wartość znalezionych w nim przedmiotów spokojnie przekracza miliony dolarów. Mieszkający tu gangster miał pecha. Ktoś go wydał, został kozłem ofiarnym. Leci na Stary Kontynent, żeby grubsze od niego ryby mogły dalej pływać w oceanach międzynarodowego handlu narkotykami. Znacznie ciekawsza niż jego los jest jednak przyszłość artefaktów z mieszkania. W scenie tej, opisaną przez amerykańskiego reportera Mitchella Prothera w podkaście śledczym Gateway, dochodzi bowiem do zatrzymania i jednocześnie rabunku. Przemytnik zostaje aresztowany, ale należące do niego przedmioty nie – one po prostu



Kontrola antynarkotykowa w porcie w Antwerpii, 12 lipca 2023 r.

niemal wszystkiego: kawiarni, restauracji, pralni, sklepów z zabawkami. Tirana, Skopje, Stambuł – tam, jak opisuje Prothero, można zniknąć. Przeczekać burzę, jeśli akurat komuś wybuchła nad głową. W żadnym z tych miast przemytników nie dosięgnie Zjednoczona Europa, a rządy tych krajów niekoniecznie skłonne są współpracować w kwestii śledztw czy ekstradycji.

Dalej już horyzont rozszerza się poza Stary Kontynent. Ślad białego proszku prowadzi do Dubaju, stolicy globalnego handlu koksem. Tu rządzi nie prawo, ale pieniądź, zasady funkcjonowania praworządności czy nadzoru, w tym finansowego, są czysto teoretyczne. Dubaj to raj dla każdego, kto chce coś nielegalnie kupić i nielegalnie sprzedać albo wyprać pieniądze. Tutejsze banki z jednej strony wpięte są w światowy system finansów korporacyjnych, można więc z lokalnego konta bez większego problemu przelać sobie sporą sumę do banku w Londynie

czy Zurychu. Z drugiej – nikt nie pyta, skąd pochodzą te pieniądze, każdy wie, że mogą pochodzić z nielegalnego źródła.

W dodatku, co w śledztwach Mitchella Prothera, wcześniej prowadzonych dla portalu BuzzFeed, wybrzmiewa wielokrotnie, ważny jest kontekst geopolityczny. Europa ma coraz mniejszą siłę oddziaływania na Bliskim Wschodzie i bardzo

pukają rzadko, bo źródła ich problemów z narkotykami paradoksalnie są znacznie mniej zglobalizowane, więc bardziej interesują ich drzwi na własnym podwórku.

Najciekawszy jest być może ostatni krąg tej panoramy – płynność finansowa światowego przemysłu narkotykowego. W masowej wyobraźni bossowie gangów to ludzie wręcz tarzający się w gotówce, co

Do Wielkiej Brytanii dopłynął transport kolumbijskiego węgla, który okazał się nasączony upłynnioną kokainą o łącznej wartości 120 mln funtów.

rzadko udaje się komukolwiek ze Starego Kontynentu przekonać władze w Dubaju do wydania ściganych przestępców. Co innego Stany Zjednoczone – Emiraty są jednym z ich najważniejszych sojuszników w tej części świata. Jeśli Waszyngton zapuka, Dubaj zawsze otworzy. Problem w tym, że akurat Amerykanie

ma być źródłem ich popularności w krajach słabiej rozwiniętych ekonomicznie. Zawsze mają kasę pod ręką, są więc w stanie zaoferować szybszą wypłatę i wynegocjować lepsze warunki transakcji. W dużej mierze do popularyzacji tego wizerunku przyczyniły się seriale w stylu „Narcos” i hollywoodzkie produkcje ▶

► takie jak „Sicario” czy „Potrójna granica”, w których kamera długimi minutami jeździ po pomieszczeniach ze stosami gotówki.

Tymczasem na poziomie globalnym mechanizm płacenia za narkotyki jest zgoła odmienny. Owszem, na ulicy płaci się gotówką, co ma przełożenie na ceny, zachowania dealerów, a nawet relację kosztów zakupu narkotyków do inflacji, ale za te ogromne, wielotonowe transporty trafiające do Gioia Tauro, Antwerpii czy angielskiego Portsmouth nikt nie da przecież worka pieniędzy. Tu, tłumaczy Prothero, na zapłatę, zwłaszcza w przypadku transakcji międzykontynentalnej, nierzadko czeka się nawet 18 miesięcy. Jakim cudem więc gangi utrzymują stabilność finansową? Tu wiedza faktyczna się urywa, zostają tylko hipotezy agentów Europolu, amerykańskiej DEA i dziennikarzy, takich jak Prothero czy zajmujący się brytyjskim odcinkiem narkobiznesu dziennikarz „The Times” Dipesh Gadhre.

Jedna z najpopularniejszych teorii prowadzi do Indii. Według wielu zajmujących się tematem dziennikarzy musi istnieć ktoś, kto znajduje się na samym czubku tej piramidy i udostępnia ogromne, idące w miliardy dolarów sumy, po to żeby

gangi mogły na bieżąco opłacać swoją działalność. Potem oczywiście odzyskuje kwotę ze znacznym procentem. Przy czym najpewniej jest to osoba (bądź osoby) kompletnie niezwiązana ze światem przestępczym. Jedna z hipotez wymienia indyjskich magnatów, zarabiających miliardy na jak najbardziej legalnych biznesach: nieruchomościach, supermarketach, samochodach, telefonach komórkowych, nawet karmie dla zwierząt. Stąd biorą się fortuny, a kiedy trzeba

działać. Jeszcze w poprzedniej dekadzie czołowi intelektualiści europejskiej lewicy, w tym słynna belgijska politolożka Chantal Mouffe, wymieniali Ekwador pod rządami Rafaela Correi jako udany eksperyment lewicowego populizmu. Correa wprowadził tam polityki redystrybucyjne i ograniczał prawa korporacji, przekonując niejednego, że eksperyment wenezuelski, ale w miękkim wydaniu, naprawdę może mieć sens. Szybko jednak przestał. Sam okazał się

Wielka Brytania to największy rynek zbytu w Europie. Jego całkowita wartość wynosi 11 mld funtów.

– ich część udostępniana jest przestępcom. Tego jednak najprawdopodobniej nie da się udowodnić, bo sieć powiązań na samym końcu jest wręcz niemożliwie skomplikowana, ukryta za dziesiątkami firm słupów i kont w rajach podatkowych. Tam wstępu nie ma już niestety nikt.

Przypadek Ekwadoru

To jeden koniec tej opowieści. Drugi znajduje się na przeciwległym krańcu globu, w Ameryce Łacińskiej, bo to wciąż region produkujący najwięcej narkotyków na świecie. Nie tylko zresztą najwięcej, ale i coraz więcej. Według informacji Gadhre jedynie w ciągu ostatnich 10 lat w Kolumbii powierzchnia upraw liści koki, czyli podstawowego surowca do produkcji kokainy, zwiększyła się czterokrotnie. W dodatku producenci idą z duchem czasu, inwestują w nawozy i technologie produkcyjne, więc zysk z hektara też jest coraz większy. Potwierdzają to dane InSight Crime. Według dziennikarzy portalu rok 2022 był rekordowy pod względem produkcji kokainy zarówno w Kolumbii, jak i w Peru, zdestabilizowanym przez protesty związane z impeachmentem prezydenta Pedra Castilla i rosnącą obecnością na terytorium kraju gangów wenezuelskich, przerzucających tamtędy dragi, ale także migrantów.

Kluczowy zaś w tej układance jest inny kraj – Ekwador, państwo, które w ciągu zaledwie kilku lat przestało

politykiem niebotycznie skorumpowanym, uciekł z Ekwadoru do Belgii, a w ojczyźnie do teraz nie są w stanie wymusić jego ekstradycji. Kraj natomiast pogrążył się w coraz większym chaosie, aż wreszcie stał się de facto państwem kontrolowanym przez gangi. Odchodzący prawicowy prezydent Guillermo Lasso próbował z nimi walczyć w sposób najprostszy, militaryzując przestrzeń publiczną. W efekcie przestępcy wypowiedzieli mu otwartą wojnę, a w bieżącym roku Lasso kilkakrotnie musiał wprowadzać stan wyjątkowy, by... wysłać wojsko pod szkoły. Gangi rekrutują już 10-latków, w niektórych częściach kraju nawet jedna trzecia chłopców w wieku nastoletnim jest w jakiś sposób związana ze światem przestępczym, prezydent chciał więc ich ochronić przed zejściem na złą drogę.

Nie zadziałały jednak ani oddziały wojska na ulicach, ani zbudowanie tzw. megawieżi czy wprowadzenie ustaw zezwalających na jednoczesny proces nawet kilkuset podejrzanych o działalność kryminalną. Gangi praktycznie rządzą Ekwadorem, zwłaszcza jego największym pacyficznym portem, Guayaquil. Miesięcznie wpływa stamtąd w świat 300 tys. kontenerów, a władze przyznają, że dostępne zasoby pozwalają im przeświecić nie więcej niż 10%. To z Guayaquil w świat wypływa gros latynoamerykańskiej kokainy i innych narkotyków – nic więc dziwnego, że o kontrolę nad portem



biją się miejscowe kartele, ale też pośrednio mafie europejskie. Tylko w ubiegłym roku, wylicza w „The Times” Dipesh Gadhher, w starciach związanych z przemytem narkotyków zginęło w tym mieście 1,2 tys. osób. I biorąc pod uwagę ogromne rozchwianie polityczne całego regionu, liczby te w kolejnych latach zapewne utrzymają się na podobnym poziomie, a może nawet wzrosną.

Płynie węgiel, płynie

Kokaina trafia do Europy najczęściej w transportach owoców. Ananasy i banany są najpopularniejsze, chociaż gangom nie można odmówić innowacyjności. Niedawno do Wielkiej Brytanii dopłynął transport kolumbijskiego węgla, który okazał się nasączony upłynnią kokainą o łącznej wartości 120 mln funtów. To pokazuje, jak bardzo zaawansowana i złożona jest globalna sieć przemytu narkotyków. Substancję w takiej formie trzeba potem przecież odzyskać, niezbędne są do tego laboratorium i zaawansowany sprzęt oraz personel, który będzie wiedział, co robi. Między innymi po to buduje się więc takie instalacje jak wspomniana szopa na holenderskim odludziu.

Narkotyki są odporne na inflację. Kryzys związany z podnoszącymi się kosztami życia nie ma wpływu na cenniki u dilerów.

Wielka Brytania to zresztą największy rynek zbytu w Europie. Jego całkowita wartość wynosi 11 mld funtów, a w kraju konsumuje się 170 ton samej kokainy w ciągu roku. Żeby zobrazować tę liczbę laikom, Gadhher porównuje jej objętość: narkotyku na Wyspach sprzedaje się tyle, że zapełniłby cały stadion piłkarski. Wszystko dzięki łatwej dostępności, ale także stabilnej cenie. Okazuje się bowiem, że narkotyki są odporne na inflację. Mimo że w Wielkiej Brytanii (podobnie jak w całej Europie) od ponad roku szaleje kryzys związany z podnoszącymi się kosztami życia, nie ma to specjalnego wpływu na cenniki u dilerów. Wiąże się to ze specyficzną

formą zakupu. Średnia cena grama kokainy w Londynie wynosi w tej chwili 40 funtów i utrzymuje się na tym samym poziomie od czasów sprzed pandemii. To dlatego, że cena w tym wypadku musi być okrągła. Trudno bowiem wyobrazić sobie sytuację, w której rośnie ona np. do 42,75 funta za gram. W transakcjach gotówkowych, dokonywanych często w niekomfortowych warunkach, na ulicy, w obawie przed policją, nikt nie będzie się bawił w wydawanie reszty. Banknotów o nominale 5 funtów też jest na Wyspach relatywnie mało w obiegu, dlatego jeśli cena skoczyłaby w górę, następnym progiem musiałoby być 50 funtów za gram. A to dla wielu konsumentów mogłoby być już za dużo, przez co dilerzy zostaliby wypchnięci z rynku. Oto jeden z niewielu przypadków w historii wolnego rynku, gdy podwyżki cen naprawdę nikomu się nie opłacają.

Na kokainie jednak problemy Europejczyków z narkotykami się nie kończą. Rośnie konsumpcja praktycznie wszystkich rodzajów drogów, w tym coraz bardziej niebezpiecznych narkotyków syntetycznych, takich jak fentanyl (będący w tej chwili główną przyczyną przedawkowań m.in. w Polsce) i inne opioidy.

W ich wytwarzaniu przoduje Holandia, choć tu akurat rynek europejski jest nieporównywalnie mniejszy od amerykańskiego. Dlatego właśnie USA coraz rzadziej interesują się europejskim i bliskowschodnim odcinkiem handlu narkotykami. Za oceanem najbardziej zabójcze są opioidy, z których większość produkowana jest w Meksyku i często całkowicie legalnie przejeżdża przez granicę. Na dragi syntetyczne przerzuciły się meksykańskie kartele, które rekrutują do pracy w swoich szeregach coraz więcej inżynierów chemii i produkcji spożywczej. Co jest z kolei następnym dowodem, że hollywoodzkie wyobrażenia

o narcos i im podobnych ludziach nie mają niemal nic wspólnego z rzeczywistością.

Iluzja Europy

Europa jest dzisiaj największym na świecie rynkiem twardych narkotyków również dlatego, że produkt jest tani, konsumuje go właściwie każda klasa społeczna, a służby publiczne nie mają możliwości sprawdzić wszystkich dróg, którymi dostaje się on na kontynent. Gdyby w takiej Antwerpii chciano prześwietlać każdy kontener, doprowadziłoby to do paraliżu całego sektora spożywczego. Europa zostałaby bez bananów, ananasów, pomidorów, truskawek – wszystko to bygnię, podczas gdy policjanci szukaliby ukrytych narkotyków. A i tak mogliby ich nie znaleźć, bo skoro bywają ukrywane w węglu, można je schować tak naprawdę wszędzie. Przyczyną są też niedociągnięcia geopolityczne, bo Bruksela ma gigantyczny problem z nawiązywaniem i utrzymywaniem dobrych relacji z globalnym Południem, skąd w większości wywodzi się narkotyki naturalne albo półprodukty do wytwarzania narkotyków syntetycznych (tu prym wiodą Indie i Chiny). Od miesięcy stoi w miejscu umowa handlowa z latynoamerykańskim blokiem Mercosur, relacje z Pekinem są napięte, a w dodatku Chiny przegoniły niedawno Unię Europejską i stały się głównym partnerem handlowym państw Rady Współpracy Zatoki Perskiej.

Europejscy politycy wydają się żyć w iluzji, że renoma Starego Kontynentu powstrzyma kryminalistów przed szmuglowaniem narkotyków i zachęci afrykańskich czy latynoamerykańskich polityków do współpracy. Nic takiego się nie stanie, natomiast pewne jest, że z tej słabości instytucjonalnej i wykonawczej skorzystają kolejne grupy przestępcze. Czy będą przerzucać narkotyki z Kolumbii, ludzi z Senegalu czy dzikie zwierzęta z Azji i RPA – nie ma większego znaczenia, bo będzie im podobnie łatwo to robić.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Magnuszew, Czerniaków

Żołnierze Janki Błaszczak nie wytrzymują powstania fizycznie i psychicznie. Widok oficera, który oszalał ze strachu, przeraża ją bardziej niż zbliżające się czołgi

Olga Wiechnik

Droga moja Dowódco!

Podajecie w telewizji, kto zna Janinę Błaszczak, ja ją do śmierci będę pamiętał, to moja była dowódca kompani, szedłem z nią od Kiwerc do Warszawy, dzielna, odważna, co się stało z nią, to nie wiem..., pisze w 1977 roku 77-letni rolnik Michał Kobielski w odpowiedzi na apel dziennikarki Mai Wójcik, próbującej odtworzyć wojenne losy dwóch kobiet. Droga moja Dowódco, jak żyjesz, napisz, ja Ciebie poszukuję już dawno, cała moja wioska zna Ciebie z mego gadania, ja wszystkim mówiłem o Tobie. Cześć Ci!

Choć po wojnie były żołnierz z dumą opowiadał o swojej dowódczyni rodzinie i sąsiadom, to gdy się poznali, 44-letni wówczas szeregowy Kobielski nie był zachwycony, że rozkazy wydawać ma mu 19-letnia dziewczyna. Co z tego, że po szkole oficerskiej. Prymuska Błaszczak, choć na 700 elewów miała w Riazaniu trzeci najlepszy wynik, ciągle musi coś udowadniać.

Kiedy po opuszczeniu szkoły w lutym 1944 r. Janka Błaszczak melduje się w sztabie dywizji, żeby objąć dowództwo nad męską kompanią młodzieży, nie przejmuje się sugestiami, że na pewno zaszła jakaś pomyłka. Bardziej od cudzych wątpliwości deprymuje ją własny głos. Słaby, cichy, łagodny. Czy wszyscy go usłyszą? Czy posłuchają? Kobiety dowodzące mężczyznami – tego w wojsku przecież jeszcze nie było.

Lutę Opalkę (...) jej pluton wita ciszą. A potem wybucha śmiechem. Żołnierze różnią się między sobą wiekiem, doświadczeniem i charakterem, ale łączy ich niechęć do kobiety wydającej rozkazy.

Berlingowcy forsują Wisłę.



Aleksandrze Gołębiowskiej, która nie zdążyła do Andersa, bo po drodze zachorowała na odrę, jeden z jej żołnierzy grozi: pierwsza kulka w Niemca, druga w ciebie.

Larysa Krupicz słyszy tylko: „o rany, baba!” i szybko wydaje komendę – wypada głośno i piskliwie.

Czesława Wulf powtarza do skutku: padnij, czołgaj się, powstań, biegiem marsz. Padnij, czołgaj się, powstań, biegiem marsz. Padnij... Jej żołnierze nie reagują.

Krótko mówiąc, było mi ciężko

Młode oficerki, dowódczyni męskich oddziałów liniowych, ruszają ze swoimi żołnierzami przez Wołyń, na front. Po drodze mijają spalone domy i studnie pełne trupów dzieci, kobiet i mężczyzn. Gdzieś wśród nich jest rodzina Aleksandry Gołębiowskiej. Z rąk upowców zginął też ojciec prymuski Jaśki Błaszczak. Po drodze mijają transporty rannych z frontu: w jednym pociągu ci bez nóg, w drugim poparzeni, w trzecim

oślepli. Im bliżej frontu, tym częściej zdarzają się naloty. Trzeba wtedy natychmiast opuścić wagony, Janka musi szybko rozsypać, poukrywać swoich 90 żołnierzy. A niech tylko któremuś błysnie sprzączka od paska, niech któryś zapali papierosa, od razu ich pilot wymaca.(...)

29 lipca gen. Karol Świerczewski kąpie się w Wiśle. 1. Armia Wojska Polskiego rzekę ma forsować najutrz, na odcinku między Dęblinem a Puławami. Ponieważ nikt do generała nie strzela, Świerczewski uznaje, że na lewym brzegu Niemców nie ma, przeprawa pójdzie gładko. Myli się. Próby forsowania Wisły pod silnym niemieckim ostrzałem przebiegają tragicznie – z braku sprzętu, odpowiedniego wyszkolenia i doświadczenia, z powodu silnego oporu stawianego przez wroga, z powodu alkoholizmu jednego z dowódców. Żołnierze, którzy w niewielkich grupach przedostają się na drugi brzeg, nie mają wielkich szans w starciu z niemieckimi jednostkami.

Janka Arnsztajn z batalionu sanitarnego kursuje między brzegiem rzeki a szpitalem polowym na tyłach frontu. Może jeździć tylko nocami, żeby nie przyciągnąć niemieckich samolotów. Auto podskakuje na wybojach, kierowca klnie, ranni jęczą, Janka ma nadzieję, że zdąży przed świtem. Rano prześpi się chwilę na noszach, nie przeszkadza jej huk wystrzałów. W szpitalu wiedzą, że jak dudni artyleria, należy się spodziewać nowej fali rozprutych brzuchów i rozszarpanych jelit. Janka jest głodna, suchary jej się skończyły, a kuchnia polowa nie dojechała. Wstaje z noszy i idzie w stronę kartofliska, kilka metrów dalej. Pełźnie ostrożnie po ziemi, wygrzebuje prędko kilka ziemniaków.

– *Jeb twoją mat', szto ty dietyjesz?! –* słyszy za sobą zdenerwowany głos. Czuje, jak ktoś wyciąga ją z zaminowanego pola, za nogi, jak zająca.

Tym razem szczęście ma też Aniela Pielech, dowódczyni plutonu karabinów przeciwpancernych. Jej jednostka znalazła się pod silnym ostrzałem. Aniela szczególnie boi się żab – małych sprężynowych min, które, spadając na ziemię, odbijają się na wysokość dwóch metrów i rozrywają w powietrzu, rażąc odłamkami wszystkich wokół. Ale tym razem samolot zrzuci większe pociski, jeden spada blisko. Aniela, przysypiana ziemią, nie może się ruszyć. Widzi to chorąży Zybura, jej partner, którego nazywa mężem (choć ze ślubem czekają na wyzwolenie Warszawy), również dowódca plutonu, podpełza, odkopuje Anielę.

(...) Walki pod Dęblinem, Puławami i o przyczółek warecko-magnuszewski trwają ponad miesiąc. Między 8 sierpnia a 12 września 1944 r. polskie wojsko traci nad Wisłą 1683 żołnierzy – poległych, zmarłych, rannych i zaginionych.

Tak marzyły o tej Wiśle, a teraz Wisłą płyną trupy. Larysa Krupicz zanurza ręce w rzece i przemycza wiślaną wodą twarz.

Przed sobą ma Warszawę. Jest noc 17 września 1944 r. Patrzy, jak łodzie z jej żołnierzami odbijają od brzegu, jak płyną po czarnej wodzie. Są już w połowie drogi, kiedy nagle robi się jasno jak w dzień. Pociski oświetlają wiszącą na spadochronach, żołnierzy widać jak na dłoni. Niemcy otwierają ogień. Jaśka widzi słupy wody i unoszące się w powietrzu kawałki roztrzaskanych łodzi. Widzi deski, skrzynie, ręce, nogi, głowy. Pociski uderzają też w brzeg, na którym w okopie stoi Jaśka. Piasek bije ją w twarz. Czeką na swoją kolej, żeby wsiąść do łodzi i popłynąć w tę kotłowaną.

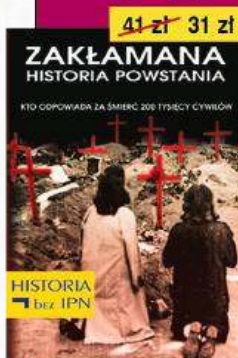
Więc taki będzie mój koniec, myśli.

Powstanie, które wybuchło w Warszawie 1 sierpnia 1944 r. o godzinie 17.00, nie podoba się Stalinowi. Wyzwolenie stolicy siłami Armii Krajowej, podlegającej Rządowi RP na uchodźstwie, i innych organizacji zbrojnych, niepodlegających Moskwie, nie mieści się w jego planie. Jeśli się uda, stworzy to polskiemu rządowi warunki do powrotu, a Stalinowi utrudni przejęcie władzy.

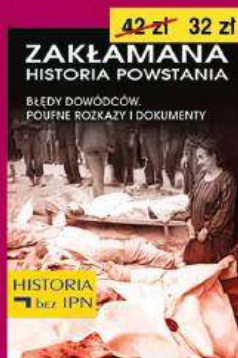
Podejmując decyzję o powstaniu, przywódcy Armii Krajowej liczyli na szybkie nadejście Armii Czerwonej i przywitanie jej na terenie wyzwolonej od Niemców stolicy jako gospodarze. Tyle że powstanie trwa, ▶

DLACZEGO UPADŁO POWSTANIE WARSZAWSKIE?

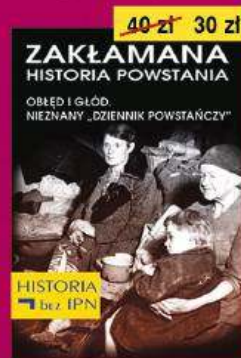
Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów



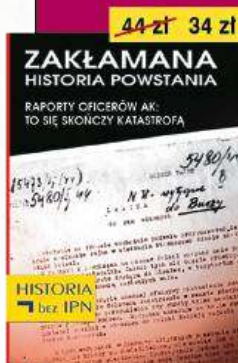
Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty



Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy”



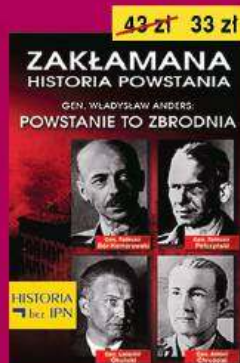
Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą



5 tomów w pakiecie

210 zł 140 zł

Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia



Tam każda cegła strzelała

Prymuska Błaszczak stoi w okopie na prawym brzegu tej samej rzeki.

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

► a spodziewani goście nie nadchodzą. Stalin wstrzymał ofensywę i nie reaguje na kolejne wezwania do udzielenia pomocy walczącemu miastu. Armia Czerwona stanęła, ale armia Berlinga nie. 15 września 1944 r., po krwawej pięciodniowej bitwie o Pragę, berlingowcy wchodzą na wyzwolony praski brzeg. Z Wisły wystają kikuty mostów wysadzonych przez wycofujące się niemieckie oddziały. Po drugiej stronie od sześciu tygodni trwa powstanie. Dla Jaśki, Lary, Luty i ich żołnierzy jasne jest, że teraz wreszcie ruszą im na pomoc. Stalin im w tym nie przeszkadza. Wystarczy, że nie pomoże. Niech płyną, jeśli chcą. Większość i tak nie wróci.

Przez kilka nocy w kilku miejscach berlingowcy próbują przeprawić się na drugi brzeg Wisły, przerzucić na wciąż walczące Czerniaków i Żoliborz moździerze, karabiny, amunicję i siłę żywą. Ale „siła żywa” tonie w Wiśle albo ginie na jej brzegu, zaraz po wylądowaniu dziesiątkowana przez Niemców, którzy z waju przeciwpowodziowego mają dobrą widoczność, a Polacy wokół siebie tylko krzaki wikliny.

Aleksandra Gotębiowska stoi w wodzie przy praskim brzegu, wyławia rannych, patrzy na słupy wody wystrzeliwujące w powietrze, na unoszone wybuchami deski, skrzynie, ręce, nogi...

Lucyna Hertz, która wcale nie miała na imię Lucyna i w sierpniu na własne życzenie opuściła Batalion Szturmowy, żeby walczyć na froncie, wskazuje do łodzi. Po chwili łódź wyskakuje w powietrze. Lucyna jest ranna w obie nogi.

Anieli Pielech, która bała się żab, ale miała szczęście, tym razem szczęścia brakuje. Nie zdąży nawet wejść do łodzi, w jej nogę trafia pocisk.

Prymusce Błaszczak udaje się dopłynąć na drugi brzeg. Razem z nią tej samej nocy na Czerniaków docierają trzy moździerze, trochę amunicji i 63 żołnierzy, wśród nich Paulina Podgórska, również dowodząca męskim oddziałem.

Na drugi brzeg przedostaje się też Helena Junkiewicz, dowodząca plutonem ciężkich karabinów

maszynowych. Po kilku godzinach walki Niemcy wypychają ją z powrotem na plażę. Helena i jej żołnierze próbują wrócić na praski brzeg. Ginią w Wiśle.

Z praskiego brzegu patrzy na to Ludwika Opałka, zaraz jej kolej. Już kilka godzin czeka pod ostrzałem ze swoim plutonem moździerzy, mają amunicję, mają żywność, brakuje im łodzi. Tych, które poszły w pierwszym rzucie i miały zaraz wrócić, już nie ma. Zginęli też saperzy, którzy mogliby zbudować nowe. Przeprawy nie będzie, chorąża Opałka i jej żołnierze wracają na Pragę. Mieszkańcy mają mnóstwo pytań, Luta nie ma żadnej odpowiedzi.

(...) Od 13 września Czerniaków jest odcięty od reszty Warszawy, Niemcy przejęli łączącą go dotąd

W ciągu siedmiu dni walk o przyczółki warszawskie, między 17 a 23 września 1944 r., armia Berlinga straciła 4892 żołnierzy.

ze Śródmieściem ulicę Książęcą. Przeciwno kilkuset powstańcom Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski wysłał 6,7 tys. niemieckich żołnierzy wspartych lotnictwem, artylerią i bronią pancerną. Von dem Bach zdaje się szczególnie cenić sobie karny pułk Oskara Dirlwangera, złożony z ułaskawionych przestępców. (...) dirlwangerowcy sprawdzili się w rzezi cywilów na Woli i na Starym Mieście, mordując w szpitalach rannych powstańców. Zaraz wykażą się też na otoczonym z trzech stron Czerniakowie.

Rano, po wylądowaniu na lewym brzegu Wisły, Janinie Błaszczak i jej żołnierzom udaje się nawiązać kontakt z walczącymi powstańcami (nie uda się to berlingowcom, którzy wylądowali na Żoliborzu – Niemcy uniemożliwią im połączenie się z oddziałami „Żywiciela”). (...) Janina Błaszczak i jej moździerz zajmują dom przy ulicy Idzikowskiego 4. Jaśka czołga się do okopu, wydaje rozkaz moździerzystom. Nikt nie odpowiada. Nie słyszą jej głosu? Jest za słaby, zbyt cichy? Żołnierze siedzą

nieruchomo w pozycjach, w jakich wypatrzył ich niemiecki snajper.

Prymuska Błaszczak nie zna zasad miejskiej walki, uczy się ich w praktyce. Kiedy na podwórzu kamienicy pada już trzeci jej żołnierz postrzelony w nogi, Janka dowiaduje się, czym jest polowanie z przynętą. Snajper czeka, aż ktoś przyjdzie po rannych. I strzela – znowu w nogi. I czeka dalej. Prymuska Błaszczak wchodzi na podwórze. Stara się nie przyspieszać kroku, nie kulić ramion w oczekiwaniu na strzał. Bierze pod ramiona pierwszego rannego, dwaj pozostali patrzą na nią bez słowa. Nikt nie strzela. Najtrudniej jest wyjść po raz trzeci. Dlaczego nie strzela? Strzelił przecież do Marii Pomper, lekarki z 9. pułku, gdy z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu przenosiła rannych. A teraz nie?

Mijają kolejne godziny, doby, jest tylko gorzej. Walka toczy się o każde pomieszczenie, zdobywane wrzucanymi przez okna i dziury w ścianach granatami. Ale granaty szybko się kończą, maleją też szanse na posiłki z praskiego brzegu. Brakuje wody i leków, kończy się jedzenie. Powstańcy żywią się głównie przechwyconymi z magazynu Społem cukierkami, marmoladą ze spalonej fabryki – żują nawet cegły, w które wsiąkła, wypływająca miąższość mięsa zabitych koni, po które czołgają się pod ostrzałem, walczą o nie z ludnością cywilną, która coraz gorzej znosi powstańczy heroizm, która nie pisała się na walkę do ostatniej kropli krwi.

Żołnierze Janki nie wytrzymują fizycznie i psychicznie. Widok oficera, który oszalał ze strachu, przeraża ją bardziej niż zbliżające się czołgi. Niemcy zdobywają kolejne budynki, wypierają powstańców w stronę Wisły.

Ulicą Solec sypie lawina siaraki z ostrzelanej przez hitlerowców fabryki ultramaryny, jej zapach jest tak intensywny, że pozbawia niektórych walczących przytomności, a gryzący żółty dym przystania

czołgi przebijające ścianę budynku, w którym schronili się Polacy. Janka ostrzałem z pożyczonej od kolegi pepeszy (jedynej, która się nie zacina) ośłania przebiegających na drugą stronę ulicy żołnierzy. Pod jej nogi upada granat.

Kapral Jerzy Modrzewski, zgrupowanie AK „Radosław”: „Nie umieli się chować. (...) jak zajmowali stanowiska gdzieś w jakimś oknie, to zamiast wyrzucić te szkła z szyby, to to zostawiali i potem, cholera, jak Niemcy strzelali, to te szyby kaleczyły w niemożliwy sposób. Nie umieli biegać po schodach, wrzucać granatów do palącego się budynku. Część się bała po prostu, chociaż sporo miało postawę bojową. Oficerowie zwłaszcza. Kompanią moździerzy dowodziła babka, taki porucznik, Błaszczak się nazywała”.

Kapral Jacek Domaradzki, zgrupowanie AK „Kryśka”: „To byli ludzie, którzy nigdy w walkach ulicznych nie brali udziału. Taki facet wyjrzał i trach, już go nie ma, drugi wyjrzał, już go nie ma. Na podwórku domu na Ildzikowskiego układali stosy trupów. Byli serdeczni, byli też przerażeni. Tak jak mówiłem, nie umieli walczyć w mieście”.

Wieczorem zanoszą ją na kocu, ranną w obie nogi, półprzytomną, na brzeg. Leży na piasku między innymi rannymi czekającymi na jakiś ratunek, między trupami żołnierzy i cywilami, którzy chcą wydostać się z płonącego miasta. Lżej ranni próbują płynąć wpław, łąpać się desek, ale Niemcy cały czas ostrzegają ręką (pomiędzy Kępą Czeraniakowską a wiaduktem mostu Poniatowskiego – dwoma punktami, które obsadzili – jest tylko kilometr, mogą strzelać do płynących jak do kaczek). Niektórzy leżą bez sił, inni, którzy mają jeszcze i siłę, i broń, odbierają sobie życie. Czasem jakaś łódź przebija się po rannych – choć większość nie doływa nawet do połowy rzeki – wtedy rzucają się na nią, przepychają, jedni drugich ściągają do wody.

Janka próbuje unieść się na łokciu. Obok niej rozrywa się pocisk. Odłamki ranią jej twarz.

Bez życiorysu powojennego

W ciągu siedmiu dni walk o przyczółki warszawskie, między 17 a 23 września 1944 r., armia Berlinga straciła 4892 żołnierzy – połowa z nich zginęła, reszta zaginęła lub została ranna.

Paulina Podgórska, która na Czeraniaków przeprawiła się tej samej nocy, co jej koleżanka z Riazania, Janka Błaszczak, zdąży jeszcze zobaczyć tonące w Wiśle łodzie ewakuacyjne, zanim złapie ją oddział SS. Uda jej się zerwać dystynkcje oficerskie i chwycić torbę ze znakiem Czerwonego Krzyża. Od uderzenia kolbą w skroń straci na chwilę wzrok. Gdy go odzyska, esesmani pokażą jej balkon, z którego głowami w dół wiszą ciała kilku kobiet. Potem zawiozą ją na aleję Szucha do siedziby gestapo. Podczas przesłuchania będzie powtarzać, że jest sanitariuszką, a kiedy każą jej wziąć do ręki pistolet, złapie go „po babsku”, za lufę. Na palcu będzie miała pierścionek, który dostała od powstańców na Czerniakowie: na czerwonym tle biały orzełek. Pozwólą jej go zatrzymać. Potem, w Stutthofie, do którego trafi, ktoś jej go ukradnie. (...) Stutthof Paulina opuści na początku 1945 r. Wyjdzie z niego w „marszu śmierci”, jak będzie się później mówić o pieszych kolumnach więźniów, pędzonych na zachód, gdy od wschodu zbliża się front. I tej śmierci uda jej się uciec – schronienie znajdzie w kaszubskiej chacie.

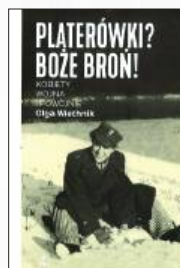
20-letnia Aniela Pielech, dowódczyni plutonu karabinów przeciwpancernych, jednej nocy traci nogę i chorążego Zyburę, swojego nieformalnego męża, który ginie podczas desantu. 6 października 1944 r. zostanie skreślona z ewidencji wojskowej. Odmówi leczenia rehabilitacyjnego, nie przyjmie szwedzkiej protezy, którą koleżankom z wojska uda się dla niej po wojnie załatwić. Zamieszka z ojcem w Kiełczu pod Zieloną Górą. Będzie prowadzić gospodarstwo i leczyć się bimbrem, jedynym powszechnie wówczas dostępnym środkiem przeciwbólowym. W domu opieki, gdzie zamieszka po śmierci ojca, odwiedzać ją

będzie Janka Błaszczak. Wypełniając ankietę dla kombatantów, na pytanie „Jak koleżance ułożyło się życie po ukończeniu służby wojskowej?”, Aniela odpowie: „Nie żyję, tylko się męczę”. Będzie odmawiać przyjmowania posiłków. Umrze samotnie w Wigilię Bożego Narodzenia 1994 r. – 50 lat i trzy miesiące po tym, jak straciła nogę i chorążego Zyburę.

Lucyna Hertz, która dostała się do Polski na spadochronie, żeby robić dywersję na niemieckich tyłach, na praskim brzegu przeleży ranna kilka godzin, zanim uda się przewieźć ją do szpitala. Po amputacji obu nóg będzie żyła jeszcze miesiąc, lekarze będą zdziwieni, że tak długo, mimo bólu, mimo gangreny. 22 października 1944 r. odwiedzą ją koleżanki z Batalionu Szturmowego, ucieszy się na ich widok. Zostaną tylko kilka minut, stan Lusi nie pozwoli na dłuższą wizytę. Kilka godzin później Lucyna Noemi Hertz umrze w szpitalu w Otwocku, gdzie 26 lat wcześniej się urodziła.

Janina Błaszczak, która na brzegu Wisły została ranna po raz drugi, ocknie się w kościele na placu Trzech Krzyży wśród innych jeńców. Ze szpitala w Skierniewicach uda jej się uciec dzięki zakonspirowanym wśród personelu sanitariuszkom Armii Krajowej. Przyniosą jej biały fartuch pielęgniarki, wezmą pod ramię, bo jeszcze kuleje, i razem, śmiejąc się wesoło i naturalnie, wyjdą niezatrzymane na ulicę. Następne miesiące, póki nie wydobrzeje, spędzi u Stefanii i Mariana Pietraszewskich, kolejarzkiej rodziny ze Skierniewic. (Odwiedzi ich po 30 latach, przyjedzie pociągiem z Zielonej Góry, z ruskim szampanem w torebce. Stefania ugotuje kartoflankę z pietruszką, tę samą, którą Janka tak u nich lubiła). Do Warszawy prymuska Błaszczak wróci, gdy stolicę opuszczą wycofujący się Niemcy, na początku 1945 r. Pięć miesięcy po tym, jak leżała wśród rannych i trupów na czerniakowskim brzegu, stanie wśród ruin martwego miasta.

Fragmenty książki Olgi Wiechnick *Platerówki? Boże bron!* *Kobiety, wojna i powojnie*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023



Kamienie na szaniec?

Nie wolno na cmentarzysku narodowym,
jakim było powstanie warszawskie,
budować jakichkolwiek bytów politycznych

Wiesław Krzywicki

*A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec*

Juliusz Słowacki „Testament mój”

W artykule wstępnym 31. numeru PRZEGLĄDU red. Jerzy Domański pisze: „Misją władzy jest fetowanie klęsk i przegranych powstań. Ich sprawcy zamiast surowego osądu dostają miejsca w panteonie bohaterów narodowych. Stawia się im pomniki, funduje tablice, medale. Klęski skutecznie zamieniono w mit. Na fałszywych bohaterach uczciwego państwa nie da się zbudować”.

W pełni zgadzam się z tą surową oceną i dorzucam garść własnych przemyśleń. Ostatnie wieki przyniosły Polsce wiele cierpień i strat. Według mesjanistycznej koncepcji Adama Mickiewicza działo się tak, gdyż Polska jest Chrystusem narodów („Dziady” cz. III). Inne mesjanistyczne przesłanie głosi, że Polska otoczona jest szczególną opieką Boga: „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki / Otaczał blaskiem potęgi i chwały, / Coś ją ostał tarczą swej opieki / Od nieszczęść, które przynębić ją miały”.

Dlatego zapewne bitwę warszawską (12-25 sierpnia 1920 r.) zwie się cudem nad Wisłą i obchodzi jej rocznicę 15 sierpnia, mimo iż rozstrzygające boje stoczono dzień później. W rzeczywistości wielki sukces bitwy warszawskiej był nie cudem, lecz zasługą dowodzących, głównie autora planu operacyjnego, szefa sztabu gen. Tadeusza Rozwadowskiego, dowódców frontów i armii, a także bohaterstwa żołnierzy. Bitwę stoczono na przedpolu Warszawy, by

ochronić ją i jej mieszkańców przed zniszczeniami.

Chyba na cud liczyli natomiast dowódcy Armii Krajowej, wywołując powstanie w Warszawie, bez przygotowania i najmniejszych szans na jego powodzenie. Około 20 tys. powstańców, większość poniżej 20 lat, a co najmniej trzy czwarte bez broni, miało naprzeciw siebie taką samą liczbę uzbrojonych po zęby Niemców obsadzających silnie ufortyfikowane obiekty. Bóg nie dopomógł, cud się nie wydarzył.

Widać gen. Władysław Anders w cuda nie wierzył, gdyż tak ocenił dowódców powstania: „Wywołanie powstania w Warszawie w obecnej chwili było nie tylko głupotą, ale wyraźną zbrodnią”.

W tece personalnej gen. Leopolda Okulickiego (B. II. Wpł. Nr 543 p. 2, SPP) znajduje się taka oto ocena powstania: „Tragedia Warszawy jest największą katastrofą, jaką naród polski

Całe morze cierpień zawiera w sobie los 800-tysięcznej rzeszy ludności wysiedlonej, rozbitej, rozproszonej, skazanej na niestychaną poniewierkę, nędzę i śmierć. Jeśli chodzi o zniszczenie materialne miasta, to wystarczy powiedzieć, że podobnej ruiny nie przeżyło w czasach nowożytnych żadne duże miasto polskie ani żadna stolica Europy”.

Do tej tragicznej oceny skutków powstania dodać trzeba 150-180 tys. cywilnych mieszkańców Warszawy, w tym 33 tys. dzieci, oraz ok. 16 tys. powstańców. Masy rannych i obarczonych głęboką traumą ludzi nikt nie zliczył.

W czasie 63 dni powstania ginęło codziennie ok. 3 tys. osób. Dowódcy powstania, widząc jego niepowodzenie i tragizm, mieli możliwość przerwać walkę już po siedmiu czy dziesięciu dniach. Nie zrobili tego nawet wtedy, gdy sami Niemcy to zaproponowali.

180 tys. ofiar powstania to cywilni mieszkańcy Warszawy, w tym 33 tys. dzieci.

poniósł po wrześniu 1939 r. W gruzy i popiół obrócone zostały bezcenne, niezastąpione i nieodtworzalne skarby naszej kultury. Na szeregu odcinków kultura polska poniosła rany, których zabliznienie trwać będzie stulecia, niekiedy zabliznić nie da się zupełnie. Rozbity został główny ośrodek polskiej woli, polskiej myśli, polskiej polityki i polskiej gospodarki. Przestał istnieć kierowniczy ośrodek całości polskiego życia. (...) Straciliśmy sam kwiat naszej młodości, niewątpliwie elity naszego narodu. Skutki tego nieszczęścia wydają się dziś wprost tragicznie katastrofalne.

Jakie straty zadaliśmy wrogom? Około 2 tys. zabitych i 9 tys. rannych. Efekty strategiczne? Wielomiesięczne opóźnienie w wyzwoleniu Warszawy, które umożliwiło Niemcom wypędzenie jej mieszkańców, zrabowanie wszelakich dóbr i zburzenie miasta.

Skoro w bitwie warszawskiej odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo, to dlaczego powstanie warszawskie skończyło się tak straszną klęską? Głównymi autorami powstania było trzech generałów: dowódca AK Tadeusz Bór-Komorowski, zastępca dowódcy AK i jednocześnie szef

sztabu gen. Tadeusz Pełczyński oraz zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych gen. Leopold Okulicki, który to był najgorętszym orędownikiem powstania. Przed zrzućeniem go do Polski (w nocy z 21 na 22 maja 1944 r.) Okulickiego odprawiał sam wódz naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski. Treści ich rozmowy nie znamy, ale w wypowiedziach w tamtym czasie Sosnkowski przestrzegał, że powstanie zbrojne narodu bez uprzedniego porozumienia politycznego i militarnego z Moskwą byłoby aktem rozpaczki. Ostrzegał: „Niemcy będą bronili zaciekle dostępu do swego kraju”. „W tych warunkach trudno jest sobie wyobrazić możliwość opanowania większego obszaru lub poważniejszego centrum na czas dłuższy niż parę dni, potem zaś nieuniknionym skutkiem podobnej próby byłaby powszechna rzeź ludności”, dodawał nieomal proroczo. Nie wierzył w szybki upadek Niemiec i rozumiał, że militarne możliwości prowadzenia przez AK samodzielnych większych akcji przeciwko Niemcom były ograniczone, a bez porozumienia ze Związkiem Sowieckim bez sensu. Nie spodziewał się, by Armia Czerwona oswobodziła Warszawę pod koniec lipca lub na początku sierpnia.

Wódz naczelny przywiązywał wielką wagę do misji gen. Okulickiego. Jego nadzieje okazały się jednak płonne, gdyż Okulicki, będąc w kraju, był jak najbardziej wiodzowi naczelnemu przeciwny – jak to wspominał płk Janusz Bokszański, szef sztabu Komendy Głównej AK – i zaczął z wielką energią realizować własne koncepcje boju o Warszawę. Bez jego natarczywych nacisków na gen. Bora-Komorowskiego prawdopodobnie nie doszłoby do wybuchu powstania.

Po upadku powstania Okulicki stworzył poakowską organizację Niepodległość (NIE) i jako jej dowódca, wbrew rozkazom najwyższych przełożonych, ujawnił się władzom sowieckim, w następstwie czego organizacja uległa dekonspiracji.

Oprócz tych niesubordynacji i samowoli ciążą na Okulickim inne zarzuty. Otóż został on, jako

komendant ZWZ na okupację sowiecką, aresztowany przez NKWD we Lwowie w styczniu 1941 r. Podany torturom nie tylko załamał się i złożył obszerne zeznania o działalności, organizacji oraz kadrach podziemnego wojska na całym obszarze Rzeczypospolitej (12 stron druku), ale prawdopodobnie zadeklarował też gotowość pójścia na współpracę polityczną i wojskową z władzami sowieckimi. To nie mogło zostać bez wpływu na jego późniejszą działalność i postawę po uwolnieniu przez NKWD w Moskwie 12 sierpnia 1941 r. i powrocie do służby wojskowej.

Pozostali decydenci powstania warszawskiego nie byli wybitnymi wojskowymi i rolę, które im przypadły w tym narodowym dramacie, znacznie ich przerosły, o czym dobitnie pisał Jan M. Ciechanowski w książce „Powstanie warszawskie”.

Gen. Władysław Anders: „Wywołanie powstania w Warszawie w obecnej chwili było nie tylko głupotą, ale wyraźną zbrodnią”.

Dewizą Wojska Polskiego jest „Bóg, Honor, Ojczyzna”, co stanowi idealistyczne ujęcie wierności państwu. Wprowadzono ją na sztandary Polskich Sił Zbrojnych dekretem prezydenta Rzeczypospolitej z 15 października 1943 r. Czy generałowie wywołujący powstanie warszawskie nie sprzeniewierzyli się żołnierskiemu honorowi i ojczyźnie? Skazali bowiem milionową stolicę państwa na zagładę, a jej mieszkańców na poniewierkę i śmierć.

Dlaczego inne narody nie poniosły takich strat? Czesi, Słowacy, Rumuni, Węgrzy i inni. Im Bóg bardziej pomagał? Okupant był mniej zbrodniczy? A może przyczyna tkwi w racjonalnym myśleniu i działaniu? Może wojskowi tych krajów stawiają na pierwszym miejscu dobro ojczyzny i jej obywateli, dorobek kulturalny i materialny pokoleń, a nie Boga i swój honor?

To odmienne stanowisko pozwoliło ocalić Paryż, Wiedeń, Rzym, Pragę i wiele innych miast i ograniczyć do minimum straty biologiczne oraz dorobek kulturalny i materialny.

W Polsce również niektóre miasta miały więcej szczęścia niż Warszawa. Choćby Kraków czy Sandomierz. Nie byłbym jednak pewien ich losu, gdyby wyzwali je generałowie, którzy wywołali powstanie warszawskie. Także wiele razy w naszej przeszłości zdarzało się, że wybitni wodzowie starali się uchronić przed zniszczeniem bronione miasta, np. Stefan Czarniecki, który w 1655 r. wobec przeważających sił szwedzkich skapitulował i opuścił Kraków.

Po wojnie kard. Stefan Wyszyński wyraził taką myśl: „Sztuką jest umiarać dla ojczyzny, ale największą jest dobrze żyć dla niej”. Stefan Kisielewski ujął to inaczej: „Naród naprawdę męski nigdy nie walczy do ostatniej kropli krwi. Na tym polega prawdziwy patriotyzm, patriotyzm obdarzony instynktem życia, nakazujący cierpliwość, ostrożność, powściągliwość, subtelność taktyczną w dążeniu do

celu zasadniczego” („Tygodnik Powszechny”, wrzesień 1945 r.).

Niestety, nasi politycy, niepomni nauk historii, robią wszystko, by z naszej najlepszej młodzieży uczynić kamienie na szaniec. Na obchodach rocznicy wybuchu powstania warszawskiego prezydent Andrzej Duda tak określił prawicowy stosunek do niego: „Każda rocznica wybuchu powstania (...) jest ważna także dla mnie jako prezydenta RP, ale przede wszystkim jako obywatela, harcerza, jako tego, który na historii i micie powstania warszawskiego, na bohaterstwie powstańców warszawskich wychował się. Mogę powiedzieć, że moja postawa gotowości służby ojczyźnie została właśnie poprzez tamte wydarzenia i postawę młodych Polaków w dużym stopniu ukształtowana. (...) Powstanie warszawskie nie osiągnęło zwycięstwa militarnego, ale wpisało się w wielką polską historię i na pewno także dzięki bohaterstwu powstańców warszawskich możliwe było odzyskanie pełnej suwerenności pod koniec XX w.”.

► Jest w takiej ocenie powstania warszawskiego i fałsz, i wielkie niebezpieczeństwo. Fałsz, bo przecież wszystkie narody zwasalizowane przez ZSRR odzyskały suwerenność – bez ogromnej daniny krwi, cierpienia i zniszczeń. Między powstaniem a odzyskaniem suwerenności w 1989 r. nie było żadnego związku. Nie wolno na cmentarzysku narodowym, jakim było powstanie

honoru i kwalifikacji, niesubordynowanych, którzy przedkładali osobiste emocje i frustracje nad dobro państwa. W tym też duchu prowadzone są czystki w armii pod nieśmiertelną dewizą: mierny, bierny, ale wierny.

W ciągu dziejów ukształtowało się wiele sposobów prowadzenia walki w celu ograniczenia okrucieństwa wojny w stosunku do ludzi i ochrony dóbr kultury. Na ironię zakrawa tu

spalonej ziemi oraz używania środków i stosowania metod powodujących nadmierne cierpienia (konwencje haskie, rezolucje ONZ, dokument UNESCO itp.).

Niestety, sam nasz największy sojusznik nie uznaje części z nich. Gen. Dwight Eisenhower, późniejszy prezydent USA, dał wykładnię konieczności wojennej w zdaniu: „Jeśli stoimy przed wyborem pomiędzy życiem żołnierza amerykańskiego a zachowaniem zabytku, zabytek przegrywa”. Być może z tych powodów Stany Zjednoczone nie podpisały do dzisiaj konwencji haskiej z 1954 r.

Jak to się przekłada na polską doktrynę wojenną? Gdyby znów rozszalała się wojna, jej konsekwencje dla Polski byłyby dramatyczne. Nie z powodu nowych broni i technik walki, lecz z powodu nieudolności, niekompetencji i upolitycznienia aparatu dowódczego wojska. Jedyna nadzieja w tym, że do wojny nie dojdzie?

Wiesław Krzywicki

Między powstaniem a odzyskaniem suwerenności w 1989 r. nie było żadnego związku.

warszawskie, budować jakichkolwiek bytów politycznych. Niestety, ten błąd powtarzamy od dawna. Starożytną maksymę *Vae victis*, biada zwyciężonym, zastąpiliśmy parafrazą: *Gloria victis*. Uczyniono z niej dewizę polityczną – nieważny wynik walki, chwała, jeśliś poległ (lub pozostał innych na śmierć).

I w tym duchu wychowujemy obecnie młodzież. Za wzorce często stawiamy ludzi bez zasad moralnych,

cytat z Abu Bakra, jednego z następców Mahometa, który, przemawiając do żołnierzy w 632 r., akcentował: „Niech nigdy nie plami waszych zwycięstw krew kobiet, dzieci i starców. Nie niszczyć świątyń i palm. Nie palcie domostw i zboża na pniu. Bydło zabijajcie tylko wtedy, gdy jest wam potrzebne do wyżywienia”.

W czasach współczesnych w prawie międzynarodowym wprowadzono zakazy wojny totalnej i taktyki

**Te mamy
nas potrzebują**
Ми потрібні
цим мамам

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie



www.pmm.org.pl



Polska Misja
Medyczna

✉ Brutalność reżimu Pinocheta przekraczała wyobraźnię

Przeczytałem artykuł Bohdana Piętki dotyczący zamachu stanu w Chile (PRZEGLĄD, nr 36). Oczywiście w jednym artykule trudno omówić wszystkie przyczyny tego, że zwyciężyła „zachodnia demokracja”, czytaj amerykański imperializm. Blok wschodni był za słaby, aby podolać konkurencji, tym bardziej że Ameryka Południowa była domeną USA.

W tym czasie przebywałem w Chile. Byłem kierownikiem zespołu specjalistów budujących kopalnię rudy żelaza (magnetyt) na pustyni Atakama. Do najbliższego miasteczka, Vallenar, było ok. 70 km. Natychmiast znaleźliśmy się w centrum uwagi wojska i policji. Rewizje, pobudki w nocy, ciągłe przesłuchania kierownictwa zespołu, ponowne rewizje, ponowne ostrzeżenia i groźby, że zostaniemy umieszczeni na stadionie (La Serena), ostrzelanie budowy z samolotu i inne wydarzenia towarzyszyły nam na naszym kampusie. W końcu uzyskaliśmy zgodę na wyjazd do najbliższego miasteczka (zasługa inwestora, którym była Compañía de Acero del Pacífico, CAP), gdzie umieszczono nas w hotelu. Mielśmy możliwość kontaktu telefonicznego z polską ambasadą i Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

Ujemną stroną pobytu w hotelu był widok z okna na codzienną selekcję osób zatrzymanych przez wojsko, umieszczanych w bambusowych klatkach (1 m x 1 m x 2 m): do likwidacji, na stadion lub inne decyzje.

W końcu otrzymaliśmy zgodę na wyjazd do Santiago. Przejazd ok. 700 km trwał kilka dni. Tam uzyskaliśmy zgodę na opuszczenie Chile. Ja początkowo jej nie otrzymałem, gdyż podejrzewano, że jestem komandosem, ale przy dobrych układach inwestora w końcu zgodzono się także na mój wyjazd.

To, co zobaczyliśmy w Santiago, przekraczało nasze wyobrażenia. Na każdym posterunku policji wisiał baner ze zdjęciami osób przeznaczonych do likwidacji. Zlikwidowany oznaczony był flamastrem znakiem X. Bicie, strzelanie do ludzi i inne trudne



do wyobrażenia wydarzenia – codziennie od rana do godziny policyjnej.

Problem z wyjazdem polegał na tym, że linie lotnicze zawiesiły loty do i z Santiago. Jedyne Lufthansa wyraziła zgodę na obsługę linii Santiago-Frankfurt. Oczekujących były tysiące, a miejsc niewiele. W końcu udało mi się załatwić z szefem Lufthansy wyjazd całego zespołu. Szefem Lufthansy był Chorwat, żołnierz armii niemieckiej, który powiedział mi, że chce zrekompensować tę złą stronę swojego życiorysu. Transport na lotnisko samochodami wojskowymi załatwił ks. płk Skowronek, kapelan chilijskich wojsk lądowych, urodzony w Polsce, w Tarnowskich Górach lub Radzionkowie (nie pamiętam dokładnie). „Normalni” pasażerowie musieli dojść do lotniska kilka kilometrów. Podczas odprawy paszportowej miałem ponownie problemy. Ostatecznie wyrażono zgodę również na mój wyjazd. Wreszcie start i po długim locie z kilkoma międzylądowaniami wylądowaliśmy we Frankfurcie. Następnie Il-18 i Warszawa.

Odniosłem wrażenie, że w artykule red. Piętki pewne fakty zostały potraktowane marginalnie. Szczególnie dotyczy to wizyty papieża Jana Pawła II w Santiago i wygłoszenia homilii z balkonu Pałacu Prezydenckiego La Moneda w obecności gen. Pinocheta. To był wyjątkowo nieprzyjazny gest w stosunku do społeczności chilijskiej. Późniejsze tłumaczenia, że za tą decyzją stał ówczesny arcybiskup Sodano, to żarty. No i oczywiście wizyta w Londynie panów Jurka, Kamińskiego i Wołka z ryngrafem Matki Boskiej Królowej Polski. Ten incydent powinien zostać bardziej dosadnie przedstawiony.

Po raz pierwszy od 50 lat zdecydowałem się opowiedzieć kilka wydarzeń z mojego życiorysu. Jako mały chłopiec widziałem, co to znaczy wojna, przeżyłem stan wojenny w Polsce. Jednak to, co widziałem, co przeżyłem w Chile, przekracza wszelkie wyobrażenia o brutalności i niesamowitym bandytyzmie wojska i policji.

Tadeusz Napieracz, Katowice

✉ Długa droga sądowa

1. Czy można czekać w Polsce na załatwienie sprawy urzędowej 22 lata? Tak, tyle właśnie czekam, a będę musiała uzbroić się w cierpliwość, bo finał planowany jest w NSA na rok 2025. 2. Czy urząd administracji państwowej, konkretnie Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, może zlekceważyć postanowienie sądu? Tak, bo dokładnie to MRiRW zrobiło w moim przypadku. 3. Jak to możliwe? Po prostu wiedza o prawie spadkowym jego prawników zaczynała się od 1964 r., kiedy ukazał się nowy kodeks, a to, że spadkodawczyni zmarła w 1962 r., gdy obowiązywało inne prawo, było nie do wytłumaczenia urzędnikom. 4. Czy można obywatelowi oddać „na piśmie” należną mu własność, a potem za pomocą innych przepisów mu ją zabrać? Tak, potwierdzam. MRiRW wynajęło nawet eksperta geodezyjnego, ten w terenie wymierzył działkę, sporządził mapkę i opis. I tu niestety sprawa utknęła na kilka lat, bo ziemia wprawdzie już jest, ale nie wiadomo, komu ją oddać – vide pkt 3. 5. Czy prawo w Polsce może działać wstecz? Oczywiście, że działa wstecz. Jednym podpisem pod Ustawą z 11 sierpnia 2021 r. o zmianie ustawy – Kodeks postępowania administracyjnego prezydent pozbawił mnie całkowicie prawa upominania się o należną mi działkę. Odwołałam się do WSA, który utrzymał w mocy

decyzję MRiRW i powołał się na tę właśnie ustawę z 2021 r. Muszę dodać, że sąd poinformował mnie, że owa ustawa została skierowana do Trybunału Konstytucyjnego jako obciążona wadą prawną. O ile wiem, tkwi tam już dwa lata. 6. Czy NSA, którego przepisy mówią szczegółowo o terminie oczekiwania na postanowienia i wyroki, może wyznaczać tak odległe daty jak 2025 r.? Nie wiem, czy może, raczej musi, skoro po odejściu ponad 20 sędziów na emeryturę prezydent na ich miejsce nie powołał nikogo (to informacja ze strony NSA). W końcu zdecydowałam się napisać prośbę do prezydenta RP, bo przecież nie sądzę się z sąsiadem o miedzę ani z nikim z rodziny, tę ziemię zabrało mi PANSTWO! Dostałam piękny, niemal serdeczny list z opisem, czemu służy DUDA POMOC, i radę, aby oczekiwać na wyrok NSA. I ani słowa na temat czasu, przewlekłości, szukania winnych takiego opóźniania sprawy. Na nikim te 22 lata nie robią wrażenia. Czy to normalne?

Tempus fugit, a refleksja następująca: moralne i materialne straty, zysków zero, za to gorzkie przekonanie o wyczekiwaniu na śmierć petenta. Cóż, 22 lata to kawałek życia, mojego – niemal jedna czwarta.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji
(wszystkie błędy i niekompetencje mam udokumentowane na piśmie)

Tureckie wakacje medyczne

Do tureckich lekarzy przyjeżdżają pacjenci z całego świata. Turystyka medyczna stała się jedną z głównych atrakcji kraju

Kornel Wawrzyniak

„Spodziewamy się w tym roku 2 mln pacjentów zagranicznych, którzy zechcą skorzystać z oferty zdrowotnej w ramach tzw. turystyki medycznej”, twierdzi prof. Ece Salihoğlu z rządowej organizacji Ulusalrasi Sağlık Hizmetleri (w skrócie UŞAŞ) odpowiedzialnej za promocję tureckiej ochrony zdrowia i wspieranie turystyki medycznej w kraju. Zdaje się, że ten cel rzeczywiście może zostać w 2023 r. osiągnięty, ponieważ już w zeszłym roku z usług tureckiej ochrony zdrowia skorzystało prawie 1,3 mln zagranicznych pacjentów. Dochód sektora medycznego wyniósł zaś niemal 2,12 mld dol. Podobno celem na ten rok jest przekroczyć 10 mld dol. zysku.

Turyści medyczni przyjeżdżają głównie z Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Uzbekistanu. Sporo pacjentów jest też z USA, Maroka, Holandii i Irlandii.

Jeszcze kilka lat temu turecka medycyna była tematem żartów. Również w Polsce śmiano się z nieudanych zabiegów stomatologicznych, a w mediach nagłaśniano co jakiś czas koszmar pacjentów, którzy zdecydowali się na tanie zabiegi z zakresu medycyny estetycznej. Dziś na leczenie przyjeżdżają do Turcji pacjenci z USA i Europy Zachodniej. Nie chodzi jedynie o chirurgię plastyczną, chorzy poddają się tu bowiem operacjom kardiologicznym czy onkologicznym. Turecka ochrona zdrowia od 2018 r. pozyskała wielu zagranicznych pacjentów, głównie dzięki konkurencyjnym cenom, ale też standardowi leczenia, który nie odbiega już

od znanego mieszkańcom krajów zachodnich.

Zyskują wszyscy

Jak Turcja, kraj o jednym z najniższych udziałów wydatków na ochronę zdrowia w PKB, doszła do tak wysokiego poziomu opieki zdrowotnej zaledwie w kilka lat? Wszystko dzięki przemyślanej strategii rządzących, wprowadzanej w życie etapami. Zaczęło się od przyciągnięcia pacjentów komercyjnych. Dzięki zastrzykowi gotówki z prywatnych portfeli udało się zasilić państwową opiekę zdrowotną. Wybudowano wiele nowych publicznych placówek medycznych, w tym szpitali w mniejszych miejscowościach. Turcja wprowadziła w ochronie zdrowia strategię partnerstwa publiczno-prywatnego, na której zyskują wszystkie podmioty,

mówiła prof. Ece Salihoğlu portalowi Rynek Zdrowia.

Turcja zdaje sobie sprawę z tego, że turystyka medyczna to świetny biznes, dlatego zadbała o rozwój tej gałęzi gospodarki. W 2018 r. parlament powołał UŞAŞ, rządową organizację zajmującą się promocją turystyki medycznej. Jak wskazuje portal Rynek Zdrowia, Turcja nie wpadła na nic nowego. Poszła podobną drogą jak Korea Południowa, Malezja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie, które swoją medycynę promują od lat. Jedną rzecz zrobiła jednak inaczej. Podeszła do tematu w sposób kompleksowy. Aby w pełni wykorzystać potencjał kraju, z UŞAŞ współpracuje również Ministerstwo Kultury i Turystyki. Można rzec – najpierw zabieg, a potem na plażę. Część szpitali publicznych oferuje obsługę niczym biura podróży, zapewniając nie tylko opiekę zdrowotną, ale i pobyt w hotelu, transfer do szpitala, a niekiedy nawet przelot na miejsce.

W 2020 r. państwowa ochrona zdrowia zaczęła przyjmować zagranicznych pacjentów. Logistyka Turków imponuje. Wprowadzono system certyfikacji odpowiadający standardom obowiązującym w Unii Europejskiej. Chodzi o używany na sali operacyjnej sprzęt, i o procedury wykonywania zabiegów. Dodatkowo resort zdrowia prowadzi autoryzację placówek, która jest swoistym zabezpieczeniem dla pacjentów, ponieważ placówki są zobowiązane m.in. do naprawienia szkody w przypadku powikłań lub działań niepożądanych. Co najważniejsze, szpital czy klinika muszą zająć się tym nieodpłatnie.

Lista autoryzowanych przez ministerstwo placówek jest ogólnie dostępna w internecie. Możliwość sprawdzenia, czy miejsce, do którego jedziemy na zabieg, ma odpowiedni certyfikat, zmniejsza ryzyko

ale pacjenci szczególnie. Nowe szpitale zostały zaprojektowane w taki sposób, aby łóżek wystarczyło zarówno dla mieszkańców, jak i przyjezdnych. Najczęściej w takim szpitalu wydzielone jest osobne skrzydło dla pacjentów z zagranicy, ale chodzi jedynie o liczbę łóżek, ponieważ standard jest zazwyczaj tak samo wysoki.

„Mamy bardzo dużo szpitali miejscowych w całym kraju, a poza tym w programie uczestniczą placówki prywatne. Większość pacjentów zagranicznych szuka zabiegów z zakresu medycyny estetycznej czy usług stomatologicznych, a to w dużej mierze zapewniają szpitale sektora prywatnego. Samych placówek stomatologicznych jest ponad 4 tys.”,



trafienia na szarlatanów. Jednak nie obywa się bez wpadek. Mimo iż tureccy urzędnicy twierdzą, że jednostki są poddawane regularnym audytom, niektóre kliniki medycyny estetycznej chwalą się na swoich stronach ministerialnym certyfikatem, który np. niedawno stracił ważność lub chwilowo go zawieszono. Dlatego, decydując się na zostanie tureckim pacjentem, warto sprawdzić daną klinikę poprzez specjalną stronę rządową.

Promil korzysta, reszta straszy

Oczywiście w mediach cały czas pojawiają się materiały o nieudanych zabiegach medycyny estetycznej przeprowadzonych w Turcji. Polacy straszą się na forach internetowych i w mediach społecznościowych koszmarnymi błędami chirurgów plastycznych. Jeden z popularnych aktorów śmiał się w mediach, że boi się jechać na przeszczep włosów do Turcji, bo nie wiadomo, czy nie wytną mu przy okazji nerki.

Według tureckiego resortu zdrowia pacjentów z Polski pojawia się niewielu. W ubiegłym roku w jednym ze szpitali na 720 pacjentów spoza Turcji leczyło się 22 Polaków. W szpitalu miejskim w Tekirdağ, jak podaje Rynek Zdrowia, od 2021 do połowy 2023 r. na 1703 pacjentów doliczono się dwójki Polaków.

Warto pochylić się nad tym, skąd się biorą te upiorne opowieści. Zaważmy, że w dyskusji medialnej o ofiarach błędów medycznych przeważnie nikt nie mówi za bardzo o warunkach, w jakich przeprowadzono zabieg. Fuszerka zaś jest

Najczęściej pacjenci korzystają ze świadczeń z zakresu okulistyki, ginekologii, in vitro, ortopedii, pediatrii czy onkologii.

często efektem oddania się w ręce najtańszego lekarza z możliwych. A to ekstremum, biorąc pod uwagę, że przeszczep włosów w Turcji kosztuje mniej niż połowę stawki polskich lekarzy. Zdrowy rozsądek podpowiada, że rację ma ten, który wymyślił powiedzenie: „Jak się chce, żeby było dobrze, to nie może być tanio”. A przynajmniej nie tak tanio.

„Każda interwencja chirurgiczna łączy się z ryzykiem. Nawet zabieg u najlepszego chirurga albo taki najmniej skomplikowany. W Turcji pracuje dużo dobrych specjalistów. Przez wiele lat byli szkoleni w Niemczech”, stwierdził na łamach „Faktu” lekarz medycyny estetycznej i anesteziolog dr Franciszek Strzałkowski.

Oczywiście niższa cena zabiegu nie świadczy automatycznie o jego gorszej jakości. W sieci znajdziemy wiele polskich firm, które oferują kompletną obsługę pacjenta w Turcji.

A w ofertach zabiegi z noclegiem, a nawet zwiedzaniem. Trafiają się jednak osoby, których nie zadowala fakt, że pojadą na operację wielokrotnie tańszą niż w Polsce. Szukają najtańszej z najtańszych opcji. A to już przepis na katastrofę.

„Co w przypadku, gdy pojawi się poważne powikłanie, a będziemy już po zabiegu w Warszawie? Wrócimy do Turcji? Moim zdaniem lepiej być na miejscu, tam, gdzie jest ten specjalista, który podjął się operacji, by w razie powikłań, które mogą się zdarzyć u najzdrowszej osoby i u najlepszego specjalisty, mieć do lekarza szybki dostęp”, wyjaśnia dr Strzałkowski.

Kierując się kryterium ceny, nietrudno trafić na tanich specjalistów, którzy na fali popularności turystyki medycznej chcą zarobić bez dbałości o pacjenta. Tacy lekarze wykonają zabieg w wynajętej na godziny sali operacyjnej bez możliwości hospitalizacji, a czasem i bez dodatkowego personelu. Na dodatek wypuszczą pacjentów po skomplikowanym zabiegu do domu,

nie dbając o ryzyko związane z powikłaniami pooperacyjnymi. Z takich przypadków biorą się właśnie historie o horrorze pacjentów, którzy „już w samolocie czuli się źle”.

Swoje chwalicie, tureckiego nie znacie

Podczas gdy dyskusja w Polsce dotyczy nieudanych operacji plastycznych i sensacji wokół kolejnych gwiazdek robiących sobie w Turcji biust albo włosy, nasi zachodni sąsiedzi docenili pełnię możliwości tureckiej medycyny. Turyści medyczni przyjeżdżają najczęściej z Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Uzbekistanu. Jest też sporo pacjentów z USA, Maroka, Holandii i Irlandii. Po sąsiedzku na zabiegi przyjeżdżają również Bułgarzy i mieszkańcy Rumunii. Najczęściej pacjenci korzystają ze świadczeń z zakresu okulistyki, ▶

ginekologii, in vitro, ortopedii, pediatrii czy onkologii. Dopiero dalej w statystykach znalazły się chirurgia plastyczna oraz zabiegi kardiochirurgiczne i transplantacje.

Gdy patrzy się na organizację ochrony zdrowia w Turcji, to działania polskiego resortu zdrowia wypadają, delikatnie to ujmując, blado. Ebru Orhan pisała na naszych łamach w 2019 r., że w tureckiej ochronie zdrowia nie potrzeba skierowania do lekarza specjalisty. Każdy

„Według statystyk populacja Turcji w ciągu ostatnich 17 lat wzrosła z 65 do 82 mln, a liczba osób zgłaszających się do instytucji opieki zdrowotnej – od 2,5 do 8,5 razy. Wydatki na zdrowie w latach 2002-2015 wzrosły nominalnie 4,5 raza, a w rzeczywistości 0,7 raza, suma wydatków na ochronę zdrowia wynosi 4,5% PKB, tymczasem Turek, który odprowadza składki na SGK, płaci prawie tyle samo, ile Polak na NFZ”, pisała Ebru Orhan.

To, jak podkreślał w 2019 r. zastępca prezesa Centrum Badań Finansów Zdrowia i Międzynarodowego Bezpieczeństwa Pacjentów dr Hasan Güler, zapewniło nawet trzykrotny wzrost lekarskich pensji. Co z kolei zbliżyło stawki w publicznej ochronie zdrowia do tych z sektora prywatnego. Słowem, tureckie Ministerstwo Zdrowia sprawiło, że lekarzom zaczęła się opłacać praca w sektorze państwowym.

Tymczasem polscy lekarze deklarują, że pracują w dwóch, czasem trzech miejscach, dzieląc czas między prywatną i publiczną ochroną zdrowia. Scenariusz turecki powinien być lekcją dla naszego Ministerstwa Zdrowia. Pomyśleć, że były już szef resortu Adam Niedzielski w czasie pandemii podniósł lekarzom pensje o kilkanaście złotych, strofując ich jednocześnie w mediach, że „pogoń za pieniądzem w środowisku lekarskim jest przesadna”. Aż dziwne, że PiS nie chce się uczyć od Erdoğan, z którym przecież tak się lubi.

Tureckie Ministerstwo Zdrowia sprawiło, że lekarzom zaczęła się opłacać praca w sektorze państwowym.

pacjent ubezpieczony w SGK, czyli odpowiedniku naszego NFZ, ma prawo pójść do specjalisty od razu. Do lekarza pierwszego kontaktu Turcy chodzą zazwyczaj odnawiać recepty na leki, które biorą regularnie. Także kolejki na badania nie są długie. Większość potrzebnych badań wykonuje się w terminie od kilku dni do maksymalnie kilku tygodni.

Ponad 90% tureckich lekarzy pracuje obecnie jedynie w publicznej ochronie zdrowia. Wszystko dzięki nowoczesnemu podejściu do zarządzania placówkami medycznymi. Szpitale mają ogromną niezależność w zarządzaniu swoimi zasobami. Zarobki uzależnione są od wydajności medyków. Czyli im więcej pacjentów lekarze zbadają, tym więcej zarobią.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

...w tobie
nadzieja na
dopasowanie

Zostań dawcą szpiku!

Płeć, pochodzenie, tatuaże nie mają znaczenia.
Zarejestruj się na dkms.pl

Gabrysia,
żyje dzięki dawcy szpiku

Łukasz,
potencjalny dawca szpiku



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pręgierze i ołtarze

Bezprzykładna kaczystowska nagonka na Agnieszkę Holland to kolejna ponura rekonstrukcja historyczna polskiej prawicy. Hasło „Tylko świny siedzą w kinie” zapewne tylko napędzi widzów „Zielonej granicy”, ale władza o to nie dba, chodzi wyłącznie o podsycanie kampanijnego pożaru. Jak rozumiem, prawym patriotom marzą się teraz egzekucje „w imieniu Rzeczypospolitej”, tyle że zamiast akowców mieliby je wykonywać spontaniczni obrońcy ojczyzny w rodzaju zabójcy prezydenta Adamowicza.

Tymczasem w akcie zemsty za nagrodę przyznaną filmowi Holland na Lido „obóz propolski”, jak zwykli się nazywać pisowscy luminarze, postanowił delegować na inny prestiżowy festiwal do Wenecji niejakiego Czwartosza. Na przyszłoroczne biennale sztuki zostanie wysłany prawicowy błazen, a jego bogoojczyźniane bohomyzy zostaną wystawione w polskim pawilonie na powszechne pośmiewisko.

Pisowska kinematografia nie sięga dalej niż peplum, tyle że zamiast postaci biblijnych mamy tu XX-wiecznych pomazańców IPN, zatem władza nie ma mocy, by wyprodukować film, który miałby wartość artystyczną pozwalającą dostać się do konkursu znaczącego festiwalu filmowego. Ma za to możliwość wyznaczenia reprezentanta Polski na „lewackim targowisku” sztuki współczesnej, której nienawidzi. Wenecja w przyszłym roku ma dialogować na temat życia w diasporze, migracji i przesiedlenia oraz społecznej nieprzynależności, a my wysłamy im indywidualum jak z mokrych snów ministra Glińskiego: patriotę kibola, który wymaluje obraz Ojczyzny cierpiącej w kleszczach wrogich mocarstw.

Gdybym nie widział, nie uwierzyłbym, że on tak na serio – na wystawie w okupowanej przez kaczystów Zachęcie można było zobaczyć obrazy, które – jak głosił tytuł – „malarz klęczał, jak malował”. Można tam było podziwiać epitafia i ołtarze żołnierzy wyklętych albo tandetnie antyniemieckie obrazki. Na przykład cytaty z „Todesfuge” Celana trafił już nie tylko pod strzechy, ale i pod nierówny sufit patriotycznego bohomaziarza – na płótnie Czwartosza towarzyszy mu oczywiście para w mundurach SS. To jest sztuka kibolska, przy czym sektorówki na warszawskiej Żylicie zdają się bardziej wyrafinowane. Nie mam nic przeciw futbolowi, ale wszystko przeciw kibolstwu – Czwartos jako fanatyk klubu z Kielc uczynił sobie autoportret z szalikiem klubowym, zapewne święconym podczas pielgrzymki na Jasną Górę.

Natomiast w bielskim BWA otwarto znakomitą wystawę spoglądającą na religię w sposób zgoła odmienny, cokolwiek demoniczny. Skądinąd jej autor, Tomasz Kulka, przed dziesięciu laty z inspiracji kibolstwem wykonał błyskotliwe ceramiczne „Sceny rodzajowe” z ustawek, odtwarzając plemienne mordobicia z naturalistyczną precyzją, ku przestrodze i zatrwożeniu. Tam mieliśmy orgię przemocy, teraz także widzimy ludzkość, a raczej męskość, w masowym, orgiastycznym rytuale. „Piramidę głupców” tworzą przede wszystkim ikony profaniczne. Asocjacje ze sztuką sakralną czy wręcz ołtarzową wywoływane są nie tylko przez tryptykowe formy obrazów i ich półokrągłe ramy, ale również technikę pisania ikon: temperę jajową na desce albo malarstwo na szkło – niezwykle, warstwowe, dające efekt trójwymiarowy. Nawet tekst kuratorski i materiały informacyjne na początku wystawy są wykonane w estetyce ogłoszeń parafialnych w gablotach kościelnych. Mimo to twórca zastrzega się, że nie miał obrazoburczych intencji, aby, jak mniemam, nie zostać posądzonym o ewentualną obrazę uczuć religijnych (mamy na to w polskim prawie paragraf, co jest niebywałym skandalem).

Pisowska kinematografia nie sięga dalej niż peplum.

Wszelki ikonoklazm lęgnie się wyłącznie w oku patrzącego. Obiektywne okrucieństwo ikonografii rzymskokatolickiej zostaje zastąpione paralelnie groźną, okrutną, lecz zarazem całkowicie wyimaginowaną, frenetyczną wizją kultu. Skojarzenia z Boschowskim „Ogrodem rozkoszy ziemskich” są tu nieuniknione. Na obrazach masy tłoczą się w rytualnej ekstazie sensu stricto: wszystkie męskie postacie mają erekcję, nawet bóstwa ejakulują i skrapiają nasieniem kłębowiska nagich ciał. Kapłani tej nieznannej, surrealistycznej i mrocznej religii jednak jako żywo przypominają katabasów w sutannach, co najbardziej przybliża ten metafizyczny persyflaż do obrządku rzymskokatolickiego. Centralne miejsce zajmuje tytułowa instalacja, gdzie ceramiczne ludziki – także wyłącznie nagie postacie męskie – wędrują gęsiego w zaklętym kręgu, wpadając w wulkaniczne czeluści i z nich wypętlając. To piekielne perpetuum mobile daje nieodparte wrażenie, że jest błędnym kołem nagiego okrucieństwa i jeśli dokąś wiedzie, to tylko ku zagładzie.



Dom Charbielin z widokami

W Polsce są trzy Charbieliny, ale tylko jeden liczy się na winiarskiej mapie kraju

Beata Dżon-Ozimek

Tam, gdzie niczego się nie spodziewasz, zjeżdżając z drogi na Głuchofazy, trafiasz nieoczekiwanie na Dom Charbielin. Ta winnica powstała w ciszy i spokoju przez kilka lat. Obiekty remontowano, kompletowano park maszynowy, grupa zawodowców starannie planowała nasadzenia winorośli. Z rozmachem – to druga największa polska winnica, położona na otwartych, słonecznych terenach przygranicznych Opolszczyzny.

Charbielin jest już po pierwszym butelkowaniu win, białych. Polskie wina nie są tanie, ale i miejscowi, i goście je kupują, podobnie jak w wielu krajowych winnicach. Z ciekawości, z solidarności z ludźmi, którzy wybrali taką drogę dla siebie, z sentymentu dla miejsca. Być może to rodzaj wkładu w budowanie

nowego życia okolicy, którą mógł dotknąć brak pracy i perspektyw.

Wieś Charbielin ma 760 lat, to niegdyś Ludwigsdorf. Tędy maszerowały spod Wiednia i tu odpoczywały wojska księcia Lubomirskiego, tu ponad trzy wieki temu istniała już szkoła powszechna. Wieś na styku Polski i Czech utrzymywała się z rolnictwa, ludzie rodzinami znajdowali zatrudnienie w PGR. Charbielin ma szczęście, że miejscowi doświadczeni rolnicy i przedsiębiorcy, twórcy spółdzielni Arenda, bracia Jarosław i Stanisław Grocholscy, przejęli uprawę, częściowo na wykupionych, częściowo dzierżawionych ziemiach. Po upadku PGR dali zatrudnienie mieszkańcom.

Powstanie winnicy Dom Charbielin to odważny pomysł dwóch pokoleń w rodzinie Grocholskich oraz biznesmena Tomasza Kwinty. Odpowiedź na brak możliwości przedłużenia dzierżawy na 650 ha

ziemi i kontynuowania upraw, co kilka lat temu zmusiło spółkę do zmiany pomysłu na biznes i życie, także w trosce o te 30 osób zatrudnianych od dawna. Stąd studia enologiczne ojców i dzieci, staranne przygotowanie przebranżowienia, dobór współpracowników i wizja na lata. To również alians doświadczenia starszych ludzi i energii młodszych. To zatrudnienie uchodzące za najlepszego agronoma w Polsce winogrodnika Tomasza Kasickiego i współpraca z twórcą wielu polskich winnic Krzysztofem Górką.

Wzrok przyciągają odnowione zabudowania folwarczne z 1890 r., widać datę na kogucie na szczycie dachu. Wcześniej służyły PGR. – Tomek, Jarek i Stanisław zdecydowali, że tutaj wszystko odremontują, a cegła ma ponad 100 lat – zaznacza Marian Wiktorski, dyrektor sprzedaży w Domu Charbielin. Obiekty stanowią zaplecze dla produkcji wina,



Dom Charbielin to druga największa polska winnica, położona na otwartych, słonecznych terenach przygranicznych Opolszczyzny.

Ekipa winiarska z Charbielina.

biura i część przeznaczoną dla turystów, właściwie enoturystów, przecież wino jest tu magnesem.

Już wiem, że polscy winiarze nie lubią, delikatnie mówiąc, kiedy pisze się o ich uprawach „polska Toskania, Szampania”. Tego się trzymam. Jeśli winogrona patrzę, to te w Charbielinie koło Głuchotaz mają zachwycający widok: łagodną linię gór, niewysokich, najniższych polskich, ale miękkich, przytulnych, wyłaniających się delikatnie zza siebie – to Góry Opawskie, polskie i czeskie, wspólne. Nad nimi góruje Biskupia Kopa. Szczyt jest po czeskiej stronie, Biskupská Kupa, 890 m n.p.m., z zapaloną nocą „górską latarnią” – wieżą widokową imienia cesarza Franciszka Józefa. Wieża ma 125 lat. Zawsze, kiedy widzę to światło, ogarnia mnie wzruszenie. Widział je zapewne Franz Kafka, gdy w pobliżu, w Złatych Horach, leczył melancholię. Pewnie wtedy nie mógł pić wina. A teraz to wytwarzane po polskiej stronie niemal u stóp Biskupiej Kopy zaczyna się domagać uwagi.

Wiatraki, eksperyment, lokalność

Mijam jedną z winnic, pachnącą dojrzałymi winogronami w popołudniowym słońcu. I mijam po drodze

takie ni stąd, ni z owąd dwa rządki winorośli, zastanawiam się, o co chodzi. – A to eksperymentalne nasadzenia Tomka Kasickiego, kilkaset krzewów różnych odmian – wyjaśnia Wiktorski. Rosną tu i francusko-miejszynarodowy merlot, i rumuńska fetească neagră, i rzadka, wywodząca się ze Szwajcarii galotta, pod Biskupią Kopą rośnie nawet primitivo. Do tego ok. 30 innych szczepów z całego świata.

Chcemy pokazywać lokalność, regionalność. Chciałbym, żebyśmy byli jeśli nie od A do Z, to od A do T polscy.

Mijam następną łąkę, już taką bez końca winnicę na łagodnym wzgórzu – tu widzę wiatraki, na razie nieruchome. Jak potem się dowiem, mają odpowiedzialną funkcję, o którą bym ich nie podejrzewała – w razie przymrozków mają wywołać mieszanie się warstw powietrza, tych chłodnych przy ziemi z cieplejszymi powyżej, by delikatne rośliny nie przemarzły. To powszechna praktyka w wielu winnicach. Katarzyna Korzeń, doktorka biologii, m.in. neuroenolożka, sommelierka i znawczyni polskiego winiarstwa, mówi, że u nas takie rozwiązanie stosują tylko Dom Charbielin i Winnica Turnau.

Winnice charbielińskie mają 27 ha. To także pierwsza polska spółdzielnia winiarska. W sąsiedztwie po-
pegeerowski budynek mieszkalny, zadbane, z rabatami kwiatowymi. Mieszkańcy Charbielina dobrze mówią o winiarzach, Grocholscy są tu szanowanym, sprawdzonym pracodawcą. To cenny kapitał – dobra atmosfera i lojalność na miejscu, kiedy inwestuje się na wielu hektarach w delikatne rośliny, a te muszą

się sprawdzić i wytrwać w różnych warunkach atmosferycznych. Ich stan, a potem smak wina są też zależne od właściwego momentu zbioru, czasem szybkich decyzji i reakcji człowieka. Spotkana miejscowa kobieta potwierdza, że mieszkańcy cieszą się z winnic, nawet sami pilnują, jeśli jakiś nieznaną pojazd pojawia się przy winnicach, informują o tym właścicieli. Bo to przecież prawie jak ich rośliny...

Szkoło bywa różne i butelki są różne, jeśli zwrócimy na to uwagę. Wiktorski przyznaje, że trudno kupić w Polsce dobre butelki na wino. Dalej etykieta – pod palcami czuję ▶

► strukturę, wypukłą linię na czarnym tle, to odwzorowanie Biskupiej Kopy, do tego duża litera C, a ciekawie się robi, kiedy dostawia się kolejne trzy butelki. Przede mną linia win flagowych, specjalnych. – Pilotem jest riesling johanniter, a zestawione butelki tworzą pełny zarys Biskupiej Kopy, każda butelka to fragment góry – wskazuje Wiktorski.

Na stronie winnicy czytamy: „W Domu Charbielin skupiamy się głównie na białych odmianach winorośli (80% nasadzeń), m.in. souvignier gris, riesling, chardonnay, muscaris i johanniter”. Winnica prowadzona jest w kulturze ekologicznej.

Dom Charbielin chciałby się opierać na polskich dostawcach materiałów suchych, takich jak etykiety czy kartony. – To bardzo ważne, co możemy, kupujemy polskie. Czasem nawet wtedy, gdy to jest nieco nieuzasadnione ekonomicznie – uśmiecha się Wiktorski.

Nie jest to pierwsza polska winnica, która deklaruje współbudowanie polskiego rynku wokół wina. Na korku z prawdziwego korka obok marki widnieje napis „Polskie wino”. – Chcemy także pokazywać lokalność, regionalność, pokazywać, że jesteśmy w Polsce, w Charbielinie. Chcemy to podkreślać i chciałbym, żebyśmy byli jeśli nie od A do Z, to od A do T polscy. W naszej części enoturystycznej też chcemy serwować do naszego wina coś, co jest wytwarzane na miejscu. Wciąż poszukujemy rzemieślników, z którymi moglibyśmy nawiązać fajną współpracę i nawzajem się wspierać. Wiemy dokładnie, czego chcemy, jak chcemy – mówi zdecydowanie Marian Wiktorski.

Laboratorium, pogoda i cukier

Do zespołu spółdzielni zaprosił go Jarosław Grocholski. – Sam już szukałem zmiany zawodowej, zawsze mnie ciągnęło do polskiego wina – tłumaczy Wiktorski, który przez dekadę zajmował się w Polsce winami kalifornijskimi największego rodzinnego producenta wina na świecie, E.&J. Gallo Winery. Poznali się na studiach enologicznych. Jarosław



W Domu Charbielin powstają wina spokojne i musujące. Zespół winnicy zakłada, że jego wina będą miały stały smak.

jest tatą Oli Grocholskiej, ona również należy do zespołu, jest jedną z dwóch kobiet.

Winnica Charbielin ma swoje laboratorium. Chodzi o ustalanie optymalnej dojrzałości gron do zbiorów. – To bardzo istotna sprawa w produkcji wina. Analiza jest niezwykle ważna, żeby zrobić wino w danym stylu, które wymaga winogron o konkretnych parametrach. U nas to jest tak: kiedy wracam z psem ze spaceru, a zaczynamy pracę o godz. 7, to już po 7.15 wiem, jakie są parametry na winnicy na każdym gronie,

zaprasza mnie do niepozornego pomieszczenia, gdzie najważniejszy sprzęt jest również niepozorny, ale wydaje decydujące werdykty, od których zależy rzucenie hasła do zbiorów.

W zależności od pogody i parametrów owoców trzeba czasem szybko rozstrzygnąć – a to np. weekend – wezwać ludzi do pracy czy nie? Czy będzie miał kto obsłużyć urządzenia? Czekać do poniedziałku czy nie ryzykować? – Nie śpimy wtedy spokojnie – uśmiecha się pan Marian, filozof z pierwszego wykształcenia.

Charbielińskie winnice mają 27 ha. To także pierwsza polska spółdzielnia winiarska.

ponieważ Mateusz Grocholski, nasz winemaker, zanim wyjdzie ze swoim psem, jedzie na winnicę, przyjeżdża, robi analizę i wysyła wyniki. W większości polskich winnic odbywa się to tak, że próbki są wysyłane do laboratorium do Krakowa czy Wrocławia i czeka się dwa lub trzy dni na wyniki parametrów winorośli. Żeby je ocenić, trzeba mieć dużą wiedzę i doświadczenie albo mieć to faktycznie zbadane, bo parametry winorośli w tym kluczowym momencie dynamicznie się zmieniają – Wiktorski

Początek września przyniósł piękną pogodę i być może decyzję o zbiorach jednego z gatunków winogron. Ale prognozy mogą pokazać deszcz. – Jeśli będzie padało, nie jest to dobry moment na zbior, bo mogą się pojawić różnego rodzaju grzyby, winogrono nabiera wody, spada często cukier, podwyższa się kwasowość itd. Przy takich warunkach duża walka odbywa się nie o samą dojrzałość fenologiczną, która jest najważniejsza, ale też o cukier, bo on przekłada się na



Na etykietach z wielką literą C widnieje też zarys Biskupiej Kopy.

alkohol – wyjaśnia Wiktorski. Winiarzom w Unii Europejskiej nie wolno dosładzać wina.

Prasa, korki, tanki

Nie ma nic ważniejszego podczas zbiorów niż „wąskie gardło”, czyli prasa do winogron. – To sprzęt, który pracuje najciężej. Jak zjedzie urobek, musi zostać wyciśnięty bez względu na ilość. Jak nie jest wyciśnięty, pojawiają się owady, spontaniczne fermentacje, różne inne sprawy. Mamy jedną z największych pras w Polsce, może wejść ok. 10 ton winogron na raz – Wiktorski pokazuje to cacko. Wybrano firmę niemiecką, która zapewnia serwis w Polsce, pod Krakowem. – Proszę sobie wyobrazić zbiory, np. sauvigniera, całego na raz, bo są świetne parametry. Zbieramy z 7 ha np. 10-12 ton winogron z hektara, mamy 70-80 ton i prasa się psuje, a jest ciepło. Firma TSN ma 24 godziny na serwis – podstawia nową prasę albo likwiduje usterkę.

Jestem w dawnej oborze, stara cegła, ponoć czasami oddaje zapachy zwierząt. Zbliżyłem się do urządzenia z takimi rozwiązaniami, jakich nie ma wiele winnic w Polsce. Chodzi o linię do napełniania, korkowania i etykietowania butelek. Przepustowość tej

linii to ok. 2 tys. butelek na godzinę, została zaprojektowana specjalnie dla Charbielina. Butelki są odkazane i myte, dalej są napełniane, jadą sobie taśmą i mogą być zamykane na trzy sposoby – korkiem, zakrętką albo kapslem. Dłaczego i po co kapsle, kiedy są korki i zakrętki, to wiedza na inny tekst, ale skromnie wyglądająca linia produkcyjna ma wszechstronność kombajnu.

Podczas zbiorów nie ma nic ważniejszego niż „wąskie gardło”, czyli prasa do winogron.

W Domu Charbielina powstają wina spokojne i musujące. Zespół winnicy zakłada, że jego wina będą miały stały smak. – Butelka kupiona w styczniu ma się nie różnić od butelki kupionej w grudniu. Dobrze „rozwinąć” konsumenci już tę różnicę wyczuwają, nie wspominając o profesjonalistach. To tak jak z gotowaniem rosółu, jednego dnia ma pani taki, a drugiego dnia inny, mimo że ta sama marchewka, kura z tej samej hodowli, wszystko to samo, ale zawsze jest drobna różnica – opowiada Wiktorski przy gigantycznych tankach na wino, do których można zlewać urobek z kilku pomniejszych i tym samym także

wyrównywać smak przyszłego wina. Tanki, których aktualnie się nie używa, podobnie jak dębowe beczki, są szczelnie otulone i zabezpieczone foliami.

Pole zweryfikuje

Koniec lata, winnice pachną obłądnie. Owoce prężą się na krzakach, gotowe do dalszej drogi. Za chwilę jedne zbiory, może z końcem października kolejne odmiany. Enoturysty zaglądają coraz częściej, Dom Charbielina jest gotowy na przepustowość „300 kieliszków” jednocześnie. Gospodarze, wino, parkingi, stoły, toalety czekają. Szlak enoturystyczny i produkcyjny również. Zaczynają się pierwsze spotkania z ludźmi wina, otwarte dla publiczności.

– Mamy tutaj dużo rzeczy zaplanowanych do przodu, nie tracimy tej pasji, my się zaangażowaliśmy w przedsięwzięcie Dom Charbielina i to już trwa trzy lata. Sadzenie tej winnicy wymagało i czasu, i cierpliwości, ale już dziś wiemy, co mniej więcej będziemy robić w 2028 r. Mamy zarys, kierunek, niektóre rzeczy oczywiście mogą się zmienić; jak mówią winogrodnik Tomek i winemaster Mateusz, pole to zweryfikuje. Ale trzeba sobie postawić cel, żeby do niego dążyć – Marian

Wiktorski żegna mnie serdecznym uściskiem dłoni.

Dom Charbielina rośnie w urodziwą posiadłość, do której można zajrzeć, pospacerować po niej, pobyć; na życzliwe sąsiedztwo już zapracował. Każdy dom potrzebuje czasu, budowania atmosfery, wiernych przyjaciół, życzliwości otoczenia, a najmniej murów, ogrodzeń. Ciekawe, bo winnice zwykle w nazwie mają nazwiska lub pałace, rzadko są to domy. Dom Charbielina obiecuje coś więcej. Wino, jak tu mówią, łączy, nie dzieli.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Dominika Tworek

Namiętność, intymność i zobowiązanie do utrzymania związku – takie składniki miłości wyróżnił cztery dekady temu amerykański psycholog Robert J. Sternberg. Namiętność określił jako konstelację silnych emocji i pobudzenia seksualnego, których dynamika intensywnie rośnie i równie szybko opada. Pojawiająca się później intymność wzbogaca tworzący się związek o bliskość i przywiązanie. Z kolei zobowiązanie – rozumiane jako działania ukierunkowane na przekształcenie relacji w trwały związek oraz na utrzymanie go mimo różnych przeszkód – Sternberg uznał za najbardziej stabilny element w miłosnych relacjach.

Różowe okulary

Badacze podkreślają, że żyjemy w czasach upadku konceptu miłości romantycznej. Ten oparty jest na uczuciu namiętności i od lat 30. XX w., kiedy to w dużych miastach Zachodu przestaliśmy polegać na starych zasadach budowania stabilnych związków (wyborze partnera przez rodziców czy instytucji swatki), służył jako aparat społeczny łączący nas w pary.

– Miłość to społeczna maszyna, wynalazek kulturowy, składający się z paru zjawisk o charakterze biologicznym, który przez kilka lat zbliża nas do siebie, byśmy wspólnie zajęli się opieką nad dziećmi. W antropologii taka skłonność nazywa się monogamią społeczną. W zachodniej kulturze dodaliśmy do niej jeszcze wyłączność seksualną, która kojarzy nam się z romantyzmem – tłumaczy socjolog prof. Tomasz Szlendak.

Miłość romantyczna ponosi dziś fiasko głównie ze względu na coraz bardziej indywidualistyczne i pragmatyczne podejście do życia.

– Obecnie racjonalizujemy nasze kontakty, ekonomizujemy je, sprawdzamy, czy dla naszego indywidualnego interesu coś się opłaca – twierdzi badacz. – Tymczasem miłość w romantycznej wersji wiąże się z oddaniem jakiejś części siebie na rzecz drugiej osoby. Takie wyrzeczenie klóci się, zwłaszcza w przypadku kobiet,



SAMOTNOŚĆ roznosi się jak wirus

Kultura wmawia nam, że jesteśmy
wyjątkowi i powinniśmy
koncentrować się na sobie.
Dlatego zmienia się postrzeganie miłości

z ich rosnącymi ambicjami, impulsem do pracy, edukacji i samorozwoju. Kobiety dostrzegają, że nie da się zrealizować naraz jednego i drugiego.

We współczesność wpisana jest również chęć posiadania kontroli nad wieloma sferami życia, w tym nad obszarem emocji i relacji. A kiedy się zakochujemy, zakładamy różowe okulary i dużo łatwiej jest nam jakąś osobą zafascynować się czy ją zaakceptować. I tak tracimy dobrą ocenę rzeczywistości, odcinamy się od realnych bodźców czy rzetelnych informacji. Intensywność hormonów w czasie zakochania wiąże się z utratą kontroli nad tym, co się z nami dzieje. Z takiej perspektywy to może być bardzo niszczące, przytłaczające i w zasadzie niepotrzebne doświadczenie.

Stan zakochania oprócz uniesień dostarcza nam kłopotów i niechcianych emocji, takich jak niepokój, zazdrość, tęsknota czy nienawiść. Psycholożka dr Olga Kamińska stwierdza, że znamienne dla dzisiejszych czasów jest szukanie w miłości jedynie własnej przyjemności. Młodzi ludzie coraz częściej chcą przeżywać czysto hedonistyczne relacje, pozbawione trudnych momentów, które są naturalnym elementem pogłębionej więzi. Żeby ich uniknąć, wolą za bardzo się nie angażować, bo to może się skończyć zranieniem.

– Kultura karmi nas dziś przekazem, że to ty jesteś wyjątkową osobą i masz się koncentrować na sobie. Przy takim założeniu, że ta druga osoba wcale nie będzie o nas dbała,

tylko skupi się na realizowaniu swoich własnych celów, a kiedy przestanie to być dla niej wygodne czy przyjemne, może się wycofać, wielu młodych wykazuje ostrożność we wchodzeniu w relacje – mówi dr Kamińska.

Pojedynczy

Obecnie obserwujemy trend wiązania się w ramach związków monogamicznych, ale nie na całe życie, lecz na kilka lat. Od lat 60., kiedy Eurostat zaczął prowadzić badania nad rozwodami w Europie, ich współczynnik (czyli stosunek liczby rozwodów w ciągu roku do średniej liczby ludności w danym roku) wzrósł dwukrotnie: z 0,8 na 1 tys. osób w 1964 r. do 1,7 w 2021 r. Analizy Eurostatu z 2018 r. pokazują też, że odsetek rozwodów w Europie wynosi ponad 30%, przy czym jest o wiele wyższy w państwach Europy Zachodniej. W Polsce to 33%, ale już w Skandynawii ok. 50%, we Francji 55%, w Hiszpanii 56%, a w Luksemburgu aż 65%. – Badania jednoznacznie pokazują, że osoby do ok. 35. roku żyją w cyklu następujących po sobie związków, z coraz dłuższymi okresami bycia samemu. Natomiast skracają się epizody bycia z kimś – komentuje prof. Szlendak.

Życie w pojedynkę wydaje się szczególnie niebezpieczne w świecie trawionym przez samotność. Z przeprowadzonych w 2022 r. badań Instytutu Pokolenia wynika, że 53% Polaków doświadcza poczucia samotności, niemal dwóm piątym często lub czasami towarzyszy poczucie opuszczenia, a ponad jedna trzecia Polaków nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. Poczucie samotności dotyka niemal co drugą młodą osobę (46%), zwłaszcza mężczyzn do 24. roku życia. Według badań 55% z nich doświadcza silnego poczucia samotności. Statystyki te nie odbiegają od zachodnioeuropejskich. Co ciekawe, o ile jeszcze dwie dekady temu najbardziej samotne były osoby starsze, dzisiaj to problem głównie dwudziestokilkulatków. Okres, który dotychczas charakteryzował się rozbudowanym życiem towarzyskim, większości młodych dorosłych przynosi teraz cierpienie.

Samotność ma dewastujący wpływ na nasze funkcjonowanie społeczne. Wiele badań – m.in. psychologa i pioniera społecznej neuronauki Johna T. Cacioppa – pokazuje, że ludzie samotni są bardzo wrażliwi na negatywne sygnały płynące od społeczeństwa i interpretują rzeczywistość na swoją niekorzyść. Funkcjonują niejako cały czas w trybie obronnym, zwracając uwagę na wszelkie sygnały potencjalnego niebezpieczeństwa. Taka postawa odcina możliwość wchodzenia w kontakt z nowymi osobami, co tylko wzmacnia uczucie osamotnienia. Co więcej, trwające kilkadziesiąt lat badania Cacioppa i współpracowników ujawniły, że samotność roznosi się jak wirus. Jeśli jakaś osoba czuła się w jednym roku samotna, to

W internecie łatwo wejść w relację, a jeszcze łatwiej z niej się wycofać.

w następnym osoby z jej najbliższego otoczenia były bardziej samotne, potem kolejne i kolejne, a proces ten niezwykle trudno zatrzymać.

Według dr Kamińskiej to zanurzanie się coraz młodszych osób w świecie technologii powoduje, że tracą one umiejętność budowania relacji: – Pojawienie się komunikatorów sprawiło, że między dziećmi nie miały szansy zaistnieć podstawowe spontaniczne interakcje. A z badań wiemy, że internetowe kontakty nie dają nam poczucia bycia w bliskich relacjach; 20-latek, który dotychczas żył głównie w świecie online, doświadcza więc ogromnego lęku przed kontaktem twarzą w twarz, trudno mu wchodzić w pogłębione interakcje z innymi.

Maszyneria technologiczna

Do rozpadu konceptu miłości romantycznej przyczyniają się również aplikacje randkowe, które w założeniu miały pomóc w nawiązywaniu bliskich więzi. Ale – jak twierdzi prof. Szlendak – owa maszyneria wcale nie służy do zakochiwania się: – Przecież funkcją zakochania jest założenie nam kłapek uniemożliwiających dostrzeżenie kogokolwiek innego niż obiekt zakochania.

A w aplikacjach obserwujemy masę potencjalnie lepszych modeli. Odnosimy więc wrażenie, że zawsze znajdzie się ktoś ciekawszy.

Formuła aplikacji randkowych wyśrubowuje też oczekiwania wobec potencjalnych partnerów. W internecie zdecydowana większość ludzi przedstawia się z jak najlepszej strony, przesadzając w autoprezentacji.

– Kiedy przyglądamy się komuś w randkowej apce, to nie widzimy tylko i wyłącznie zamieszczonego tam profilu czy zdjęć. Natychmiast przeszukujemy sieć w poszukiwaniu wszelkich informacji o tym kimś. Próbujeśmy przeświecić go do kości, zanim w ogóle z tym kimś się spotkamy. Mamy wrażenie, że o wszystkich wiemy wszystko. Już na pierwszej randkę przychodzimy zatem znudzeni, pozbawieni naturalnej ekscytującej ciekawości. To sytuacja odmienna od spotkań w ramach miłości romantycznej, która bazowała na tajemnicy. Na tym, że stopniowo musimy odkrywać drugą osobę, że nie wiemy o niej wszystkiego – mówi socjolog.

Część młodych osób wybiera wchodzenie w relacje za pomocą świata wirtualnego. Jeżeli ktoś im się podoba w klubie, wcale do niego nie podchodzą, tylko najpierw sprawdzają, czy jest na jakiejś platformie online. Takie relacje są bezpieczniejsze, nie ma w nich bezpośredniego odrzucenia. Dopiero wejście w realny kontakt może sprawić, że nasze ego zostanie narażone na szwank. W internecie łatwo wejść w relację, a jeszcze łatwiej się z niej wycofać. W końcu nie trzeba konfrontować się z osobą, którą się opuszcza. Można po prostu zniknąć: przestać odpisywać, usunąć profil. Zjawisko to zwane jest ghostingiem.

– Spotykanie się w internetowej, anonimowej kulturze z osobami spoza naszego najbliższego otoczenia powoduje, że dużo łatwiej nam tak się zachować. Jeżeli ktoś mieszka w małej miejscowości, to nawet jeśli miałby ochotę uciec przed jakąś relacją, nie byłoby to do końca możliwe, bo natrafiałby na tę osobę na ulicy, a inni mogliby się dowiedzieć o tym, jak ją potraktował, i spotkałby się ze

► społecznymi konsekwencjami swoich działań – tłumaczy dr Kamińska.

W rzeczywistości, w której seks przestał już być tematem wstydlivym, a kultura popularna karmi nas erotyką, młodzi ludzie paradoksalnie uprawiają mniej seksu niż ich rodzice. Według Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób odsetek uczniów szkół średnich, którzy odbyli stosunek płciowy, spadł z 54% w 1991 r. do 40% w 2017 r. W ciągu jednego pokolenia seks wśród nastolatków stał się więc czymś, czego większość nie doświadczyła.

– Pierwszy seks, mimo przekonania, że dostarczy nam jakiejś niesamowitej przyjemności, to w praktyce często trudne, wymagające synchronizacji doświadczenie. W zbliżeniach wypracowuje się przecież kompromis i wycofuje kawałek ego nastawiony na zysk. Czyli mamy do czynienia z ele-

wyście na szybkie polowanie. Nie sprzyja miłości, bo przekreśla możliwość wzajemnego poznawania się.

Według ekspertów w życiu seksualnym młodych ludzi wcale nie pomagają aplikacje randkowe. Tinder odblokował wprawdzie w Polakach zbiorową fantazję o wolności seksualnej, w praktyce natomiast tego typu aplikacje wiążą się z bardzo dużą liczbą odrzuceń – dotyczy to zwłaszcza mężczyzn, którzy odrzucani są o wiele częściej niż kobiety, co prowadzi do narcystycznych zranień. – Niektórym osobom nigdy nie udało się tam nikogo poznać albo te spotkania nie były satysfakcjonujące, gdyż nie niosły żadnych treści poza seksem. To może powodować uczucie osamotnienia i bezradności. Bo jeżeli Tinder miał być rajem na ziemi, a dla mnie nie jest, pojawia się pytanie, co ze mną nie tak – twierdzi seksuolożka.

poliamorycznymi, które zakładają wzajemną czułość, szczerość czy lojalność, ale bez seksualnej wyłączonej. Poliamoryści, czyli osoby funkcjonujące jednocześnie w kilku miłosnych relacjach, w swoim podejściu widzą wolność od – w ich opinii – archaicznego i krzywdzącego konceptu miłości romantycznej.

Związki poliamoryczne to istic miejskie zjawisko. Z perspektywy socjologicznej coraz szersze zaciekanie tego typu relacjami może wynikać z sytuacji na rynku matrymonialnym w naszym kraju. O ile liczba kobiet i mężczyzn znacząco od siebie nie odbiega, o tyle już w małych miastach na 126 mężczyzn przypada 100 kobiet, ponieważ to głównie kobiety migrują do metropolii. – W dużych miastach mogą więc mieć kłopot z kurczącą się pulą mężczyzn o pożądanym cechach. Ci „lepsi” nierzadko są już zajęci. Dziś trudno młodym kobietom, częściej liberalno-lewicowym, poznawać mężczyzn. Bo, po pierwsze, w miastach jest ich zdecydowanie mniej, a po drugie – mają oni w 11-14% przekonania skrajnie odmienne, czyli konserwatywne na poziomie dzisiejszej Konfederacji – mówi prof. Szlendak.

Wielkomiejskie kobiety radzą więc sobie, zaczynając wchodzić w przeróżne polizwiązki, a na prowincji narasta problem samotnych, coraz bardziej sfrustrowanych mężczyzn.

Trend na poliamorię padł na podatny grunt kultury, w której relacje przybierają coraz częściej strukturę czysto narcystycznej przyjemności. Z konsumpcyjnym nastawieniem dużo łatwiej jest bowiem wchodzić w układy, w których jeden partner służy nam do osiągnięcia orgazmów, drugi do głębokiej rozmowy, trzeci – do relacji przyjacielskiej.

Aktualnie jeszcze nie wiemy, czy rzeczywiście rozpadają się mury starych konceptów ani co wyrośnie na ich ruinach. Ale dla ludzi w kulturze indywidualizmu zatrącenie się w miłości staje się coraz większym kłopotem. Coś, co kiedyś było atrakcyjne, teraz bywa rozumiane jako nieprzyjemne. Prawdopodobnie jednak nie pojawi się już nowa koncepcja tak silnie spajająca jak miłość.

Dominika Tworek

Obserwujemy trend wiązania się w ramach związków monogamicznych, ale nie na całe życie, lecz na kilka lat.

mentem, którego nie ma w kontakcie w sieci – zwraca uwagę seksuolożka dr Agata Loewe-Kurilla.

Badaczka dodaje, że instagramowa kultura sprzedaje nam złudną wizję życia, piękna czy atrakcyjności, przez co wielu nastolatków zwyczajnie boi się odstąpić przed drugą osobą ze swoimi niedoskonałościami: – W popularnych hasłach, w rodzaju „Kochaj siebie taką, jaka jesteś”, ukryta jest rynkowa chęć dyscyplinowania ciała, bo przecież najpierw musisz jakas być, mieć punkt startowy, a jest nim zdrowe, szczupłe i gładkie ciało. W pierwsze zbliżenia wpisane są więc niejedenkrotnie zbyt wysokie oczekiwania i mnóstwo lęku.

Charakterystyczny dla współczesnej kultury hedonizm uwidacznia się także w rozszczępieniu sfery seksualnej i uczuć. Nastawiony na realizację własnych potrzeb seks staje się ambulatoryjny (tzn. sprowadza się jedynie do wykonywania aktu) i nierzadko bliższy jest masturbacji niż wzajemnej bliskości. Jak podkreśla dr Loewe-Kurilla, seks, w który obie strony angażują się tylko po to, by wyszarpać dla siebie jakas przyjemność, przypomina

Świat aplikacji randkowych powoduje, że młodzi mężczyźni zaczynają postrzegać się przez pryzmat poczucia gorszości. – Im trudniej jest się zaprezentować w takich miejscach bazujących na fizyczności, bo cech społecznych, np. opiekuńczości – które są dla kobiet równie ważne jak wygląd – tam nie widać. Przeciętny 20-latek (a umówmy się, większość osób jest jednak przeciętna) nie ma zbyt wielu zasobów do pokazania. Mężczyźni raz po raz spotykają się więc z odrzuceniem albo są dla kobiet niewidoczni, ich frustracja rośnie. Taką frustrację łatwo zmobilizować politycznie – wskazuje prof. Szlendak.

Trend na poliamorię

Jako społeczeństwo jesteśmy dziś w momencie redefiniowania miłości. Wydaje się, że usilne utrzymywanie status quo miłości romantycznej może prowadzić jedynie do coraz większego niezadowolenia. Z drugiej strony ludzie chcą i będą się łączyć w pary. Coraz większą popularnością cieszą się różne układy polisymbiotyczne, zwane związkami

KURTYNA W GÓRĘ

Czyścicielka

Rzadko się zdarza, aby światowa premiera spektaklu teatralnego miała miejsce w gminnym ośrodku kultury. Tak było jednak w Gietrzwałdzie, gdzie dwójce aktorów Teatru im. Jaracza z Olsztyna zaprezentowało – w formule teatru przy stoliku – sztukę Jerzego Szczudlika „Czyścicielka”. Ewementem jest i to, że po kilkudziesięciu latach pracy jako bankowiec, m.in. w Luksemburgu, autor zjechał na początku XXI w. na Warmię i zajął się pisaniem utworów literackich. Zaczął od wierszy i limeryków, tworzył opowiadania, bajki dla dzieci, wreszcie powieści i sztuki teatralne. Jedną z nich, „Napoleonkę”, prezentowali w Polskim Radiu Anna Seniuk, Marian Opania i Krzysztof Wakuliński.



W Gietrzwałdzie koło Olsztyna aktorzy Alicja Kochańska i Marian Czarkowski przedstawili spektakl o wizycie kobiety w wieku balzakowskim u emerytowanego profesora. Ich zabawną rozmowę można by nazwać komedią pomyłek, gdyby nie zaskakujący finał, stanowiący humanitarne przesłanie: miłość jest najlepszym lekarstwem w każdej sytuacji.

Marek Książek

Jerzy Szczudlik, „Czyścicielka”, Teatr przy Stoliku pod opieką Elżbiety Lenkiewicz, Centrum Kulturalno-Biblioteczne w Gietrzwałdzie, premiera 16 września 2023



Królowe rządzą

Tego jeszcze na scenie musicalowej nie było: śpiewają i tańczą same kobiety, również zespół muzyczny składa się wyłącznie z kobiet. Co więcej, spektakl reżyseruje (i debiutuje w tej roli) kobieta – słowem mamy do czynienia z pokazem siły kobiecej sceny muzycznej, demonstracyjnym odwrotem od wieloletniej męskiej dominacji.

Sześć bohaterek, żon Henryka VIII, nie tyle przedstawia historię swoich związków z uciążliwym małżonkiem, ile demonstruje przewagę nad niemy, bo nieobecnym panem i władcą. Wyjątek od tej reguły stanowi liryczna partia zakochanej Jane Seymour (zachwycająca Marta Burdynowicz). Wszystko to jest spojęne dowcipem, dystansem, czasem lekkim pastiszem nawiązującym do muzycznych gwiazd.

Ewelina Adamska-Porczyk, sama mająca za sobą karierę musicalową, wyborna choreografka, debiutuje błyskotliwie jako reżyserka. Z różnych osobowościowo aktorek stworzyła pulsujący zespół, wylaniający co kilka minut nową liderkę, którą reszta wspomaga na scenie albo ustępuje jej, schodząc za kulisy. Oskarżenia i zwierzenia królowych powiązane są przemyślanymi układami choreograficznymi.

Pomysł spółki autorskiej musicalu, aby z rywalizacji członkiń popowej grupy uczynić spoiwo dramatyczne, dodaje opowieściom energii. Walczą przecież o sceniczne przywództwo. „Six” robi furorę na West Endzie i Boadwayu, rozpoczynając wędrówkę po świecie. Do Warszawy musical zawitał bardzo szybko i zapewne cieszyć się będzie długotrwałym powodzeniem.

Tomasz Miłkowski

„SIX”, muzyka, teksty piosenek i libretto Toby Marlow i Lucy Moss, przekład Jacek Mikołajczyk, reżyseria i choreografia Ewelina Adamska-Porczyk, Teatr Syrena, premiera 9 września 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

Michał Okoński
Stale fragmenty
Znak, Kraków 2023

Polska nie ma wielkiego szczęścia do piłkarzy, ale ma szczęście do piszących o piłce. To klasycy jak Bohdan Tomaszewski, znani komentatorzy jak Rafał Stec czy literaci jak Wojciech Kuczek. Możliwości i perspektywy wymienionych łączy w sobie Michał Okoński. Dziennikarz i niestrudzony fan Tottenhamu, kocha piłkę miłością najpiękniejszą, bo ostateczną i bolesną. Kocha i cierpi. Chociaż widzi jej wszystkie patologie, systemowe zepsucie, to, że sport robotników stał się esencją neoliberalnego kapitalizmu, rozumie, że poza wielkimi

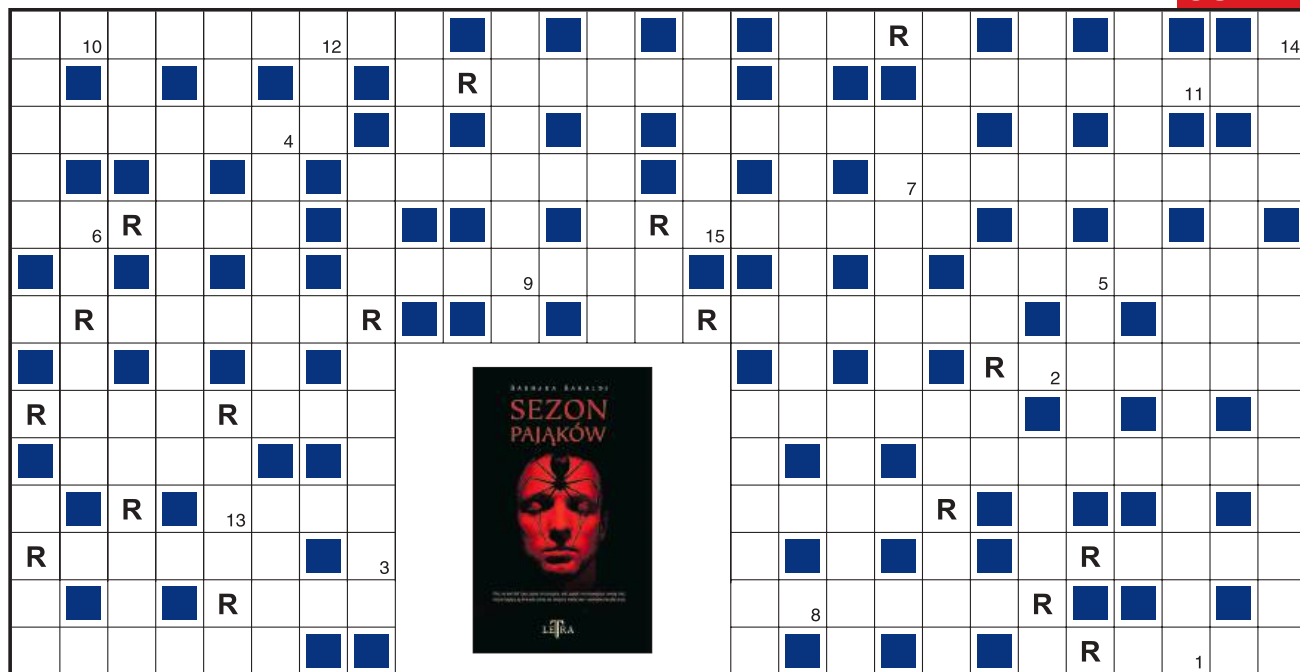


pieniężmi są pasja, geniusz, metafora świata i Wielkie, Nagie Piękno.

Zbiór „Stale fragmenty” to crème de la crème publicystyki sportowej autora. Teksty, które znają czytelnicy „Tygodnika Powszechnego” i magazynu „Kopalnia”, zostały uzupełnione i poszerzone o nowe refleksje. Dla inteligenta zainteresowanego futbolem to oczywiście pozycja obowiązkowa, ale ci, którzy uważają piłkę za głupie ganieanie za kawałkiem skóry, po lekturze tych esejów zmienią zdanie. W końcu piłka nożna pozwala mówić o wielkich prawdach, szczególnie tych, które nie są z nią związane bezpośrednio.

Rafał Pikuta

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- odbiorczyni przesyłki
- wizowa bagatelizowana przez PiS
- ach, co za zapach!
- grecka kraina z Atenami
- piętro widowni
- i bielik, i filmowy murarz Mateusz
- nie czyjaś... – nie czyjś biznes
- z wodorem tworzy kwas solny
- o czymś nadzwyczajnym, pięknym
- pobożna na pokaz
- wymiana zdań, dwugłos
- pismo papieża do biskupów i wiernych
- zapał, ekscytacja

- najłżejszy typ karabinu maszynowego
- nad pana najszcześliwszy jego los, hej wio!
- pochodzenie, źródło, rodowód
- Suffolk, Devon lub Kent
- szósty zmysł
- z polskich wierzb kwitnie najwcześniej
- Netanjahu tam premierem
- pije do niego Kuba
- wróżbita, profeta
- Ottawa jej stolicą
- duże naczynie do noszenia płynów
- pod lustrem lub ozdobny wspornik
- puszczone na sznurku w powietrze
- w latach przestępnych ma 29 dni
- płynie przez Drezno
- gdy piłka muśnie siatkę
- pierwiastek jak fundator nagrody
- całkowite przeciwieństwo
- Hypnos dla Morfeusza
- wole... – lukarna
- wysmażone śliwki
- ...wyborczy to 5% dla partii
- dżem, sok lub kiszonka
- promieniotwórczy pierwiastek
- faraon z „Faraona”
- przedstawia projekt szerszemu gronu
- pierwiastek o symbolu Hg
- bywa mylona z mewą
- Don Kichot – ... Smętnego Oblicza
- przewieszany przez ramię worek podróżny
- w mitologii rzymskiej jego uosobieniem Somnus

- suche w stogu
- daje złote na medale
- niejeden na dnie jaskini Raj
- o niezwykle wychudzonym
- zmiana na przodku
- sinus podzielony przez cosinus
- burząca belka
- Nadal lub Hurkacz
- klatka piersiowa, tułów
- ...Prawdy ze sceny w „Rzymskich wakacjach”
- najczęstsza operacja w bankomacie
- zwyczaj, intensyfikacja
- w berka lub w chowanego
- unieruchamiający element obrabiarki
- legendarny Madej
- uczciwy nie przywłaszczy zguby

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1136”. Do rozlosowania książki „Sezon pająków” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 października 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1133” z nr. 36: Co nowe, to lepsze. Nagrody otrzymują: Zenon Czajczyc z Olsztyna, Ewa Magierska z Łomianek, Izabela Walaszek z Gliwic.

Władcy IV RP

Lamentują niektóre gazety nad Gabriellą Słowińską, szefową Instytutu Polskiego w Madrycie. Że niedobra. Była oskarżana o mobbing wobec podległych jej dyplomatów, ale komisja z MSZ, która sprawę miała prowadzić, została rozwiązana. Czyli Słowińska górą. Mobbing zresztą to tylko pierwszy zarzut. Drugim, wymienianym już po cichu, była jej polityka – zaniechała bądź zredukowała współpracę z flagowymi instytucjami, a działania przeniosła do kościołów.

Cóż, znak pisowskich czasów. A jeśli ktoś zastanawia się jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, to odpowiedź jest prosta: pani Gabriela jest córką Gabriela Beszleja, ważnej postaci w międzynarodowych strukturach PiS. Pełni on funkcję sekretarza generalnego Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, w skład której wchodzi europostowie PiS. Żyje z Europy.

A wcześniej – lata całe – żył z nas. Najpierw u boku wojewody lubelskiego, potem kierował Biurem Zarządu TVP u Wiesława Walendziaka, a gdy jego pryncypał został szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Beszlej został szefem gabinetu premiera Jerzego Buzka. Dawne to były czasy.

Potem, w roku 1999, ni stąd, ni zowąd został ambasadorem w Meksyku. Na pięć lat. Nie czarujmy się, to była zwykła synekura, Beszlej wcześniej z dyplomacją nie miał nic wspólnego. Ale nie tym zastąpił.

W pamięci MSZ zapisał się dzięki żonie Grażynie i gromadce dzieci. Siódemce czy ósemce, to wiedzą księgowi. Otóż zanim objął ambasadę, państwo polskie musiało się przygotować logistycznie do ulokowania takiej gromady. Dotychczasowa rezydencja

ambasadora okazała się za mała, więc w trybie pilnym na rezydencję adaptowano gmach Biura Radcy Handlowego, specjalnie go remontując i przebudowując. Poza tym trzeba było nabyć dla dzieci ambasadora specjalny samochód, żeby kierowca ambasady mógł je zawozić do szkoły. A szkoła nie była miejscowa, tylko amerykańska. Po 10 tys. dol. od ucznia. Na miejscową państwo Beszlejowie się nie zgodzili. Państwo polskie ten kaprys spełniło, dzieci były wożone busikiem do szkoły, ambasador zaś przebiegał się ze swojej rezydencji do siedziby ambasady na drugim końcu Mexico City, co zajmowało dwie-trzy godziny. W ten sposób Beszlej zastąpił jako jeden z najdroższych, jeśli nie najdroższy ambasador w historii polskiej dyplomacji.

Zastąpiła i żona. Swoimi obyczajami. Miała zwyczaj podczas oficjalnego spotkania w ramach korpusu dyplomatycznego poprzedzać posiłek wspólną modlitwą. Było też tak, że ambasador wybrał się z żoną do teatru. No i nagle żona wstała, złapała męża i ostentacyjnie wyszli. Z jakiegoż to powodu? Oto aktorka na scenie pokazała nagą pierś.

Nie dziwmy się zatem, że Gabriela Słowińska, absolwentka uczelni ks. Rydzyka, tak dobrze się czuje w kościelnych salach. Ani że dla jej męża utworzono na placówce specjalne stanowisko specjalisty, choć nie zna hiszpańskiego.

Podobnie nie dziwmy się temu, że dzieci i inni krewni działaczy PiS dostają różne słodkie synekury, dla nich stoją one otworem. W końcu jak wymiana elit, to wymiana elit. Taki jest nowy porządek.

Attaché

Wizyta brytyjskiej pary królewskiej we Francji. Brigitte Macron towarzyszyła Karolowi III i Kamili podczas spotkania z młodzieżowymi stowarzyszeniami sportowymi w Saint-Denis pod Paryżem. 21 września 2023 r.





PENETRACJE

PRACOWNIK SPRAWNOŚCI KRAKÓW

MARIAN TURSKI,
LAUREAT MEDALU „ZA MĄDROŚĆ OBYWATELSKĄ”
MIESIĘCZNIKA „KRAKÓW I ŚWIAT”

Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Najwspanialszy człowiek. Najwspanialszy – ci, którzy narażali się do końca, narażali życie. Osobiście nie zawdzięczam niczego nikomu, po prostu taki był mój los. Ale uważałem tych ludzi zawsze za największych bohaterów. W latach 90. wielokrotnie występowałem w Sejmie, domagając się, ażeby uzyskali prawa kombatantów. To, co mieliby dostać, dostawał każdy goniec z konspiracji, każdy, kto uczestniczył w tajnym nauczaniu. Ale nie oni, nie Sprawiedliwi. I trzeba było jeszcze wiele lat czekać, żeby uzyskali prawa kombatantów.

MONDE
diplomatie

QUENTIN MÜLLER,
KORRESPONDENT

W Marib, gdzie przebywa ponad 2 mln przesiedleńców, co czyni z prowincji największe ich skupisko w Jemenie, władze lokalne są kataryczne, lecz trudności narastają. Od 2020 r. pomoc humanitarna znacznie się ograniczyła. Zmęczenie darczyńców, skutki pandemii COVID-19, mniej korzystna sytuacja ekonomiczna, skupienie się zachodnich organizacji na ukraińskim terenie operacji, wszystko to sprawiło, że w 2022 r. pomoc humanitarna zmniejszyła się o 75%. W Marib pozostała garstka międzynarodowych organizacji, które udzielają zapomóg pieniężnych, dystrybuują żywność i udzielają jakiegokolwiek wsparcia.

POLITYKA

MARCIN PIĄTEK,
PUBLICYSTA

Jego pozycja słabnie, nawet wśród niedawnych stronników. Uderza ich bezrefleksyjność Kuleszy, brak kompetencji menedżerskich (co – jak na człowieka, którego majątek szacowany był swego czasu przez „Forbes” na ćwierć miliarda złotych – jest dziwne), brak umiejętności przewidywania konsekwencji działań. Nie zapraszał Stasia? Przepraszał nie będzie. Gruha jako ochroniarz? Cemu nie, w końcu przedstawił zaświadczenie o niekaralności. Selekcjoner Michniewicz, który nigdy przekonująco nie wytłumaczył się z uwikłania w korupcję? Nic nie szkodzi, przecież prokuratura nie postawiła mu zarzutów.

THE
STYLE

ERYK KULM,
AKTOR

Niektórzy traktują aktorstwo jak wyścig. A z tego nic dobrego nie wynika. Szkoła też uczy współzawodnictwa, a na planie lepiej sprawdza się współpracownik. W Akademii Teatralnej miałem wielu profesorów, którzy wmawiali mi, że moja intuicja jest zła, bo tylko oni wiedzą, jak być powinno. Gdy przez cztery lata jesteś w ten sposób indoktrynowany, w końcu przestajesz ufać sobie. Wychodzisz ze szkoły wystraszony, niepewny i nie masz narzędzi, żeby sobie radzić. Musiałem się z tego wyzwolić.

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



* włoskie ciasto w Lombardii

- * uzbrojony w piłkę

- * walczy na planszy

ROZWIĄZANIA: MONZA, PIKADOR, SZABLISIA



Aby język giętki...

MARIAN TURSKI O OPTYMIZMIE

Czeka nas tej jesieni wielka próba. Musimy być optymistami, musimy wierzyć, że zwyciężymy.

HANNA KRALL O PISANIU

O rzeczach ważnych lubię pisać mimochodem. Chciałabym, żeby moje pisanie to był taki jeden wielki mimochód.

ANDRZEJ SKWORZ

O MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Wygrywają proste tezy, emocje i szybkie wnioski. Przegrywają intelekt i racja.

KRZYSZTOF VARGA O KONFEDERACJI

Do jej programu wpisałbym powszechne prawo do kanibalizmu. W końcu czym jest kanibalizm jak nie szczytowym osiągnięciem każdego wolnościowca.

MICHAŁ OGÓREK

O ŻONIE MATEUSZA MORAWIECKIEGO

Jej piekłem, ale w jeszcze większym stopniu piekłem całego naszego kraju, byłoby, gdyby premier mógł mieć więcej żon... i kupić na nie kolejne działki.

BOGUSŁAW WOŁOSZAŃSKI

O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Spotykaliśmy się w domu prof. Ehrlicha, który był niekonwencjonalnym naukowcem i pedagogiem. Robił nam świetny barszczyk zakwaszony porzeczkami.

MAJA POPIELARSKA

O DOBRYM ŻYCIU

Jest wtedy, gdy problemy, które się pojawiają, a muszą się pojawiać, można rozwiązać. Przed problemami nie ma ucieczki.

**ADRES REDAKCJI**

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodęk, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest.

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: skleg@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeklad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karna.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





NIE MARUDŹ



BETWEEN FEAR AND COURAGE



DESZCZOWY DZIEŃ

HOMO SENTIENS

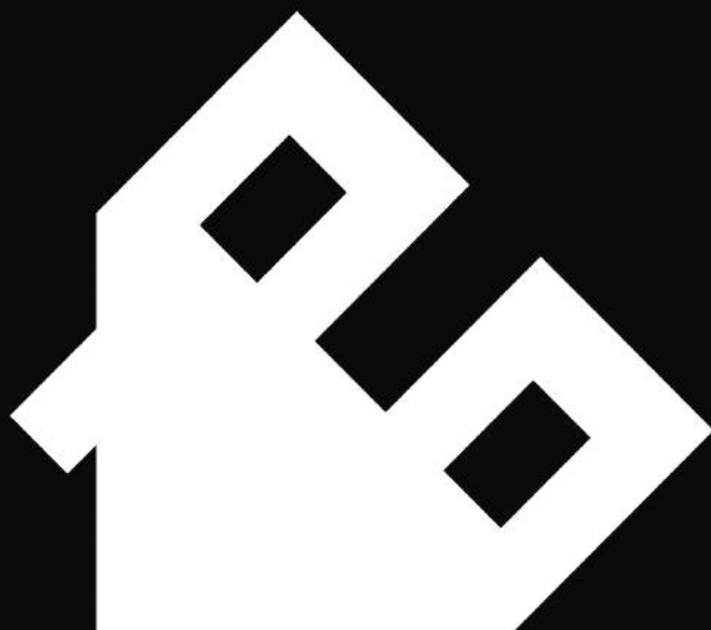
Ula Dzwonik to artystka wizualna, uprawiająca malarstwo i rysunek. Absolwentka ASP we Wrocławiu. Ma na koncie wiele nagród, jest m.in. laureatką grand prix V Triennale Polskiego Malarstwa Współczesnego (2019) i Międzynarodowego Biennale Obrazu Quadro Art (2016), otrzymała też nagrodę Fundacji im. I.J. Paderewskiego w Krakowie i nagrodę specjalną Palm Art Award w Lipsku, finalistka V Ogólnopolskiego Konkursu Malarskiego im. Leona Wyczółkowskiego (2022). Retrospektywnej wystawie nadała tytuł „Homo sentiens” (Człowiek czujący). Trafia on w sedno dorobku artystki, wręcz mógłby stać się mottem jej twórczości.

**Narodowe Forum Muzyki
im. Witolda Lutosławskiego
we Wrocławiu
plac Wolności 1
do 30 listopada**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Co gryzie Gilberta Grape'a

Peter Hedges

Bożek, Buchner, Fornalik, Jarmicki,
Kłak, Kowalczyk, Krajewski, Kruk,
Królak, Lange, Marciniak, Skoczylas,
Tymańska, Żeglicka

premiera: 21 września 2023
pokazy popremierowe:
22, 23 września i 25, 26, 28 listopada

Co gryzie Gilberta Grape'a to przypowieść
na styku dramatu ciała i dramatu rodziny,
próba przyjrzenia się życiu, w którym miłość
zniknęła pod warstwą uwikłania, bólu i traumy.
Czy całkowicie?

Twórcy sięgają po kultową powieść, żeby odkryć
jaką prawdę opowiada potraktowana z troską
i uważnością prosta historia rodzinna. Prawdę,
a nie nasze wyobrażenie o niej.



Spektakl powstaje w ramach projektu
Zmiana – Teraz!, realizowanego przez
Rządową Teatralną im. Aleksandra
Zelwerowicza w Warszawie



www.powszechny.com



JUDYTA

TRIUMFUJĄCA

ANTONIO VIVALDI

KIEROWNICTWO MUZYCZNE **HUGO REYNE** • REŻYSERIA I INSCENIZACJA **MARIA SARTOVA**
SCENOGRAFIA I PROJEKCYJE ANIMACJI **DAMIAN STYRNA** • KOSTIUMY **ANNA CHADA**
CHOREOGRAFIA **EMIL WESOŁOWSKI** • ANIMACJE I MAPPING **ELIASZ STYRNA**
REŻYSERIA ŚWIATŁA **PAULINA GÓRAL** •
PREMIERA 5 PAŹDZIERNIKA 2023

BILETY: [OPERAKAMERALNA.PL](https://operakameralna.pl) | KASA TEATRU WOK, AL. SOLIDARNOŚCI 76B WARSZAWA

25. Mazowsze

eBilet.pl

kicket

Bilety